

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Dragan: Skąd odwaga, by pytać o naturę Boga?
- Żiżek: Ukryta paranoja cancel culture
- Dobraczyński: Kto jest twoim domem?
- Dubois: Nigdy prawa nie naprawimy zemstą



WYSOKIE
OBCASY

Michelle Williams
Jak zostałam
matką Spielberga



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Nowa rodzina

Dlaczego zwierzęta zastępują nam dzieci

według
prof. Zbigniewa Mikolejki

FOT. NEIL BUCHAN GRANT/GETTY IMAGES

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Rozwód Czechów i Słowaków

Oba narody darzą się dziś większą
sympatią niż wtedy, gdy żyły razem



Pełna autarkia nie istnieje

**Jak tu mieszkać
w Dupinach albo
Cipkach?** I stycznia kilka
miejscowości zmieniło nazwy

Agnieszka
Kublik

A ja mam nadzieję

Dobrze by było.

Dobrze by było, gdyby w 2023 r. zaczęło się układać.

Żeby wojna w Ukrainie się skończyła.

Żeby Putin się wykończył.

Żeby PiS przegrał.

Żeby Kaczyński odszedł z polityki.

Żeby opozycja nie tylko zebrała więcej głosów niż PiS, ale żeby umiała się dogadać i ugrać tyle mandatów, ile potrzeba nie tylko do obalenia prezydenckiego weta (267), ale i zmiany konstytucji (307).

Żeby opozycja, jak już wygra, dała radę utworzyć rząd i skutecznie rządzić.

Żeby inflacja zaczęła spadać.

Żeby wygasł konflikt z Komisją Europejską o praworządność.

Żeby pieniądze z KPO popłynęły.

Żeby Polska zaczęła być postrzegana nie jako religijno-nacjonalistyczny zaścianek.

Żeby ludzkość się porozumiała, jak walczyć z kryzysem klimatycznym.

Żeby skończył się kryzys energetyczny.

Niech każdy tu dopisze swoje marzenia, w skali makro i mikro.

Ale nawet gdyby to wszystko się wydarzyło – a nie jest to prawdopodobne – i tak nasze życie się nie zmieni.

Nie od razu.

Żaden sukces nie oznacza końca ani jednego kryzysu. Tylko szanse na początek zmian. Możliwych, bo niemożliwych bez zaufania. A mamy potężny kryzys zaufania, tu u nas i w ogóle na świecie.

Ludzie nie ufają władzy.

Władza nie ufa nauce.

Nikt nie ufa prawu.

Wszyscy nie ufają mediom.

Opozycja nie ufa władzy.

Opozycja nie ufa sama sobie.

Ludzie nie ufają ludziom.

Wyobraźmy sobie, że coś dobrego jednak się nam przydarzy. Może liderzy opozycji, zamiast liczyć, ile mają w sondażach, policzą, ile powinni uzyskać mandatów, by zacząć Polskę naprawiać. I może policzą, jak tego dokonać, bo samo się nie zrobi.

Może pójdą do wyborów zjednoczeni? Może nadejdzie koniec „drożyzny, złodziejstwa i niewiarygodnej głupoty władzy” (to z noworocznego przemówienia Tuska).

Ale gdyby nawet, to nienawiść nie zniknie. Ta w polityce. Ta uliczna. I ta w mediach społecznościowych.

Ba, pokonany PiS będzie atakował jeszcze bardziej zawzięcie. Po to sobie tyle mediów pokupował za państwowe pieniądze, żeby je wykorzystywać, ile wlezie.

Już teraz media władzy pokazują opozycję nie jako po prostu przeciwnika, ale jako wroga, zdrajcę, którego należy zniszczyć. Co będzie, gdy ten „wróg” wygra wybory? Pisowski szturm na nasz Kapitol?

Czeka nas eskalacja nienawiści i nieufności?

Więc dobrze nie będzie.

Ale...

Życie jest nieprzewidywalne.

Więc może będzie. ●

Andrzej rysuje

Sztuka zagrabiona i zwrócona
Powrót Zielonej Trumny

FOT. AP/MOHAMED SALAH

Kair, 2 stycznia 2023 r. Mostafa Waziri z Najwyższej Rady Starożytności ogląda sarkofag, który właśnie wrócił do Egiptu. Władze USA ustaliły, że starożytna „Zielona trumna”, która stała w Muzeum Nauk Przyrodniczych w Houston, wiele lat temu została skradziona. Zwrócili go.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Cytat dnia

W sprawie aborcji środowisko lekarskie szło i idzie pod rękę z Kościołem i prawicą



KATARZYNA WĘŻYK
w rocznicę ustawy z 1993 roku o odpowiedzialności lekarzy za cierpienie kobiet.
Więcej
► Wyborcza.pl/magazyn

Oscar i kicz
Spojrzenie Woody'ego Harrelsona

Często gra bohaterów na bakier z systemem: skorumpowanych, pozbawionych złudzeń. Ma twarz stworzoną do ról niejednoznacznych lajdaków: uśmiech faceta, który odda komuś w potrzebie ostatnią koszulę, i zimne spojrzenie, którym w ułamku sekundy może zatrzeć to wrażenie.

Jednym i drugim szasta w nagrodzonym m.in. canneńską Złotą Palmą „W trójkącie” (polska premiera 6 stycznia) – błyskotliwej komedii Rubena Östlunda o parze influencerów, którzy wraz z bajecznie bogatymi pasażerami wchodzi na pokład luksusowego statku. Harrelson jest jego kapitanem: zapijaczonym, cytującym Marksa. Pragnie sprostać swym ideałom, ale – jak sam mówi – „zbyt wiele w jego życiu dostatku”.

Amerykańskie media wymieniają go jako pewniaka do oscarowej nominacji. Do tej pory miał trzy – za pierwszoplanową rolę w biograficznym „Skandalisście Larrym Flincie” oraz drugoplanowe w „W imieniu armii” oraz „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri”.

Nie daje się zaszufladkować. W jednym sezonie potrafi zagrać wy-



FOT. SHUTTERSTOCK

bitne role w filmach uznanych na świecie. I role wybitne w gniotach, które bronią się tylko jego kreacjami. W minionym roku wystąpił we „W trójkącie”, a na Netflixie miała premierę głupawa komedia z nim i Kevinem Hartem „Człowiek z Toronto”. Harrelson był gburowatym zabójcą na zlecenie.

Zagrał w „Niemoralnej propozycji”, „Igrzyskach śmierci”, „Cienkiej czerwonej linii”, „Urodzonych mordercach”, serialu „Detektyw”.

Ma 61 lat, nazywa się Woodrow Tracy Harrelson. Urodził się w Teksasie, co słyhać w tym, jak charakterystycznie przeciąga głoski. Jego matka była sekretarką, ojciec zabójcą kontraktowym, który w 1979 r. dostał wyrok dożywocia za zamordowanie sędziego federalnego. ●

Marta Górna

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Cierpię, jeśli
nie jestem kobietą

Co mówi „Nasz Umiłowany Przywódca”? Że ja sobie jestem do osiemnastej Zbyszek, a po osiemnastej Zosia. No kurna! Ile można ludziom tłumaczyć, że to tak nie działa?

Z Edytą Baker, byłą prezeską fundacji Trans-Fuzja, współtwórczynią ruchu na rzecz osób transpłciowych, rozmawia Tomasz Kwaśniewski



Pomysł Kaczyńskiego na wygraną

Zabierzemy dużym, damy małym

PiS traci poparcie na wsi, ale Agrounia i PSL nie mogą otwierać szampana

Naszkowska

Lew Tolstoj w powieści „Śmierć Iwana Iljicza” tak mówił: „Jeśli opiszesz swoją wieś, to opiszesz cały świat”. W połowie XIX w. na wsi rosyjskiej, a i polskiej także, mieszkało ok. 80 proc. społeczeństwa i większość mieszkańców nosa ze swojej wsi nie wychylała. Była ich całym światem.

Od tej pory wiele się jednak zmieniło, dziś na wsi polskiej mieszka już tylko 40 proc. ludności, największe zagęszczenie jest na Podkarpaciu – aż 58,6 proc. mieszkańców mieszka na wsi, najsłabiej jest w woj. śląskim – tylko 23,4 proc. Do tego większość mieszkańców z rolnictwem niewiele ma wspólnego.

Mamy na wsiach sieć wodociągów, kanalizacji, gazociągi. Jest internet, są dobre drogi, mieszkają tu lekarze, nauczyciele, przedsiębiorcy. W połowie wsi nie ma już ani jednej krowy, zniknęły chlewiki z paroma świniami. Podział na wieś i miasto staje się coraz bardziej archaiczny. Dlatego prof. Jerzy Wilkin z PAN przekonuje, że i dziś można przyjąć tezę Tolstoja. Modyfikacja polega na tym, że kto dziś opisze i zrozumie wieś, zrozumie też miasto, a więc i cały świat.

30–44 lata

mają ludzie przenoszący się na wieś. Migracja stale rośnie, chociaż część wsi się wyludnia – to te popegeerowskie

Wedle GUS-u mamy w kraju 1,3 mln rolników – tyłu co roku składa wnioski o dopłaty bezpośrednio. A średnie polskie gospodarstwo ma ok. 11 ha. Ale z „Raportu o stanie wsi polskiej”, jaki co dwa lata publikuje Fundacja na rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa FDPA, pod redakcją prof. Wilkina, wyłania się inny obraz. Prawdziwych rolników mamy ok. 400 tys., a średnie gospodarstwo rolne w Polsce ma od 25 do 30 ha.

Według raportu z roku 2022 80 proc. biorących dopłaty to jedynie właściciele ziemi lub ich spadkobiercy, którzy niczego nie produkują. Dawno pozbyli się narzędzi, sprzętu, biorą tylko dopłaty, a ziemię wydzierżawiają sąsiadom, tym prawdziwym rolnikom. Do tego połowa z tych dzierżaw zawierana jest na gębę. Dzięki temu taki pseudorolnik bierze dopłaty i jeszcze dostaje pieniądze z czynszu dzierżawnego.

Utrzymując obecny stan, utrzymujemy faktycznie patologię, jaka funkcjonuje na polskiej wsi.

Ekonomiści od lat ubolewają, że z powodu powiązania dopłat z hektarami przepływ ziemi rolnej w Polsce jest bardzo słaby i jest to podstawowa bariera rozwoju produkcji żywności. Bo efektywnie i nowocześnie można produkować żywność w dużych gospodarstwach, a nie w kilku hektarowych. Tymczasem od czasu wejścia Polski do Unii i wprowadzenia systemu dopłat hektarowych praktycznie zahamowany został przepływ ziemi między rolnikami. W efekcie Polska jest w Unii krajem o najbardziej rozdrobnionym rolnictwie.

• Mamy ponad 43 tys. wsi, mieszka tu ok. 15 mln ludzi. Jest to więc potencjalnie bardzo ważny elektorat, który może decydować o wynikach wyborów. I tak się dzieje. PiS wygrywa na wsi systematycznie, począwszy od 2005 r. Wtedy pierwszy raz Kaczyński uzyskał na wsi przewagę nad innymi partiami – zdobył 23,3 proc. głosów, realnie zagroziła mu tylko Samoobrona z 20,5 proc. głosów.

Tylko 10 proc.

mieszkańców żyje z rolnictwa

W 2011 r. PiS na wsi miał już 36,4 proc. i stał się główną formacją na obszarach wiejskich, zdobywając serca narodowo-patriotyczno-tradycyjno-katolicką narracją, przy silnym wsparciu miejscowych proboszczów. A także obietnicami najrozmaitszych dotacji, w tym socjalnych, i cofnięcia wieku emerytalnego. Te obietnice PiS zrealizował z nawiązką, czym zdobył sobie wiarygodność.

Ale też właśnie wieś skorzystała najbardziej na całej polityce socjalnej Zjednoczonej Prawicy. To tu mamy największą rodzin wielodzietnych, dla których 500+ oznaczało niesamowity wzrost poziomu życia. To tu 13. czy 14. emerytura odgrywa znacznie większą rolę niż w mieście, podobnie jak „dodatki węglowe”. Do maja 2020 odsetek zwolenników PiS-u na obszarach wiejskich sięgał 50 proc. wyborców, a wśród rolników dochodził do 60 proc. Po 1990 żadna partia nie zyskała na wsi tak wysokiego poparcia jak PiS.

27 proc. poparcia

ma PiS wśród rolników. Dwa lata temu miał 52 proc.

Wygrana Andrzeja Dudy latem 2020 była jednak ostatnim momentem triumfu Zjednoczonej Prawicy. Od tego momentu coś niekorzystnego dla PiS-u dzieje się na wsi – poparcie dla tej partii, zarówno wśród ogółu jej mieszkańców, jak i rolników, ulega erozji. Bo zmieniły się nastroje społeczne. Jeszcze na początku 2020 mieszkańcy wsi optymistycznie patrzyli w przyszłość. Oczekiwali dalszej poprawy lub przynajmniej stabilności na ówczesnym dobrym poziomie. Ale już rok później nastąpił gwałtowny wzrost negatywnej oceny sytuacji w kraju. Do tego miłość rolników do PiS-u została osłabiona przez próbę wprowadzenia „piątki dla zwierząt” Kaczyńskiego, która uderzała w interesy kilku co najmniej branż rolnych. I kompletnie zaskoczyła rolników.



Duży dzierżawcy ziemi skarbu państwa po prostu wylecą ze swoich gospodarstw. Jest ich ok. 700, zatrudniają prawie 45 tys. ludzi

29 lat i 6 miesięcy

mają średnio kobiety rodzące pierwsze dziecko, tylko o 2 miesiące mniej niż te z miast. Wiek matek stale rośnie

Ale choć w mniejszej skali niż ostatnio, w najbliższych wyborach wieś i rolnicy prawdopodobnie znów poprą PiS. Czemu sprzyja także brak alternatywy – PSL, tradycyjna partia chłopska, nie wydaje się już rolnikom wcale chłopskie, tylko małomiasteczkowe. Zarzucają też ludowcom, że zgodzili się na podniesienie wieku emerytalnego.

Żadna z partii opozycyjnych nie jest w stanie konkurować w obietnicach, bo to PiS ma sprawczość w dzieleniu pieniędzy budżetowych. Agrounia z Michałem Kołodziejczakiem na czele, choć cieszy się na wsi sympatią, też tej sprawczości nie ma, koncentruje się więc na protestach, a nie na obietnicach – sondaże nie dają jej szans na wejście do parlamentu.

Nikt z opozycji nie ma dla wsi i rolników żadnego sensownego programu. Za to wielu mieszkańców wsi ogląda wyłącznie programy telewizji publicznej i słucha radiowej Jedynki, a stamtąd leje się zachwyty nad poczynaniami partii władzy i odsądzanie od czci i wiary opozycji. Przekaz jest spójny: jeśli opozycja przejmie władzę, będzie po prostu gorzej.

• „Chłopi są pazerni, da im się parę złotych przed wyborami, to na nas zgłoszą” – tak podobno powiedział prezes Kaczyński do poprzedniego ministra rolnictwa Jana Krzysztofa Ardanowskiego, obecnie odpowiadającego za sprawy rolne w kancelarii Dudy, z czego Ardanowski zwierzył się na antenie Polsat News.

Prezes wie, że bez poparcia wsi nie utrzyma władzy. I nie zamierza ryzykować, dlatego PiS stale coś wsi oferuje. Już w lipcu 2022 rząd zmienił ustawę o emeryturach rolniczych. Do tego momentu rolnik, który osiągnął wiek emerytalny, mógł otrzymać pełną emeryturę z KRUS-u, pod warunkiem że swoje gospodarstwo, czyli warsztat pracy, sprzeda, odda państwu lub przekaze następcy. Miało to skłaniać starszych rolników do przekazywania ziemi młodszemu, ale bu-

20 proc. urodzeń

jest pozamatrzeńskich. W mieście około 30 proc.

dzilo na wsi poczucie niesprawiedliwości, żadna bowiem inna grupa zawodowa nie musi wyzbyć się własności, by otrzymywać emeryturę. W efekcie wielu rolników, zwłaszcza takich, którzy nie mają dzieci chętnych do pracy na roli, nadal pracowało po przekroczeniu wieku emerytalnego. PiS to zmienić, wywołując na wsi szczyry entuzjazm.

Ale z prawdziwie szczodłą ofertą PiS właśnie ruszył w Polskę.

W połowie grudnia na Zgromadzeniu Polskiej Wsi w Przysusze na Mazowszu wierzchozka na czele z prezesem ogłosiła kolejny transfer w po-

staci „Programu dla wsi”. Program jest wedle słów Kaczyńskiego dopiero w fazie wstępnej, całość PiS ma przedstawić za kilka miesięcy. Nawet w tej wstępnej fazie sprowadza się do tego, co PiS umie robić najlepiej – do rozdawania pieniędzy. Obiecano m.in. umorzenie odsetek od kredytów tym rolnikom, którzy spłacą kapitał, waloryzację rent i emerytur krusowskich taką samą jak w ZUS-ie, zwiększenie kwoty wolnej od podatku w handlu detalicznym owocami rolnymi, bezpłatne miejsca dla rolników na targowiskach w piątki i soboty.

Koła gospodyń wiejskich mają dostać dwukrotnie większe dotacje niż dotychczas, a już po pierwszych datach dla tych kół ich liczba wzrosła z 6 tys. do 11,5 tys. Dopłaty do paliwa rolniczego mają wzrosnąć o 20 proc., z 1 zł za litr oleju napędowego do 1,20 zł. Będzie też wzrost dotacji dla pszczelarzy – z 20 do 50 zł dla każdej pszczoły rodziny, a także dodatkowe dotacje na leki dla pszczoł i potrzebny sprzęt. Ma być bezprecedensowe wsparcie dla hodowców stad podstawowych trzody chlewnej, dla małych gospodarstw z maciorami i prosiętami, gdyż mimo dotychczasowych dopłat cały czas świń nam ubywa.

78 proc. rolników

i 52 proc. mieszkańców wsi pomaga w swojej parafii

PiS odchodzi daleko od „piątki dla zwierząt”, bo zapowiada, że żadne organizacje nie będą mogły się wtrącać w to, jak rolnicy traktują zwierzęta, będzie mogła to robić tylko inspekcja weterynaryjna.

Generalnie program nastawiony jest na pomaganie gospodarstwom mniejszym niż 50 ha. Założenie jest takie, że ich dopłaty osiągną 102 proc. średniej unijnej. Za to duzi dzierżawcy ziemi skarbu państwa, którzy wbrew pisowskiej ustawie nie oddali „dobrowolnie” 30 proc. uprawianej ziemi, mają stracić prawo do odwołania umowy dzierżawnej. Po prostu wylecą ze swoich gospodarstw, a uprawiana przez nich ziemia zostanie rozdysponowana między drobnych rolników. Takich dzierżawców jest ok. 700, zatrudniają prawie 45 tys. ludzi na etatach. Likwidacja tych firm oznacza, że z polskiego rynku znikną najlepsi producenci żywności.

• Rolnicy cały czas mają do rządu pretensje, że wpuszcza do nas ukraińskie zboże, które miało być szybko wyeksportowane do Afryki, ale nikt tego nie pilnuje. Ziarno zostaje więc w Polsce, a nasi rolnicy nie mają gdzie sprzedać swojego. Tymczasem minister rolnictwa Henryk Kowalczyk zapewniał w Przysusze, że problemu nie ma, bo do Polski wjechało 2 mln ton zboża z Ukrainy, a Polska wyeksportowała już 6 mln ton. Michał Kołodziejczak, szef Agrounii, tak się wzburzył, słuchając ministra, że namówił swoich działaczy, by wyrzucili za okno telewizory, co też zrobili.

Spotkanie w Przysusze to dopiero początek wielkiej kampanii, którą PiS chce przekonać rolników, by na niego zagłosowali. • **Krystyna Naszkowska**

ŻUK NA PURCHAWCE PRZYGLĄDA SIĘ WSZECHŚWIATOWI

Kilka lat temu dziennikarze „Time” ogłosili wielki pośmiertny triumf Alberta Einsteina: zarejestrowano fale grawitacyjne powstałe w wyniku zderzenia dwóch czarnych dziur! A fale grawitacyjne i czarne dziury to przecież zatrważające konsekwencje ogólnej teorii względności stworzonej przez Einsteina ponad sto lat wcześniej. No więc triumf bez dwóch zdań, ziemia drży, szyszki spadają.

Tyle że Einstein nie wierzył ani w istnienie żadnych fal grawitacyjnych, ani w istnienie czarnych dziur. Nie wierzył też w rozszerzanie się Wszechświata, które także wynikało z jego własnych równań. Parę lat przed wybuchem pierwszej bomby atomowej zapytany o możliwość przekształcenia materii w energię zgodnie ze swoim słynnym „ $E=mc^2$ ” odpowiedział, że takie próby „przypominałyby strzelanie po ciemku do ptaków, w okolicy, gdzie jest ich tylko kilka”. O legendarnym wątpieniu Einsteina w teorię kwantową i powtarzanym przez niego „Bóg nie gra w kości” nawet nie wspomnę (wspominając niniejszym). Tegoroczny Nobel z fizyki został przyznany właśnie za eksperymenty pokazujące, że i w tym Einstein spektakularnie się mylił. Odpowiedź Nielsa Bohra: „Przestań wreszcie mówić Bogu, co ma robić”, wydawała się więc adekwatna.

No to podsumujmy. Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli naszego gatunku mylił się na potęgę. W dodatku na okoliczność najprostszych pytań z kategorii „tak czy nie”, jakie można w ogóle zadać w ramach jego własnej teorii względności. Skoro sam Einstein był aż tak omylny, to jak niby mielibyśmy wierzyć opiniom zwykłych śmiertelników i jaki z tej historii w ogóle morał? Ja w tym kontekście przywołuję badania statystyczne brytyjskich naukowców pokazujące, że ze wszystkich zwierząt hodowlanych świnia przechodzi przez jezdnię najinteligentniej, bo najrzadziej ginie rozjechana przez samochód. Człowiek w owym zestawieniu plasuje się na miejscu czwartym.

A jednak tę bolesną słabość naszych mózgów udało się przekuć w sukces! Sukces współczesnej fizyki. No bo jak to się w końcu stało, że naga małpa (jak pieszczotliwie określał nas Desmond Morris) potrzebowała niecałych 400 lat, żeby wydobyć się ze świata, w którym wierzono, że myszy rodzą się z brudu, i wylądować na Księżycu, dokonać teleportacji kwantowej na ponad 140 kilometrów i sfotografować czarną dziurę z drugiego końca Wszechświata? Otóż pogodziliśmy się z tym, że się ciągle mylimy i wszystko, co naszym wyrafinowanym umysłem się „wydaje”, należy po prostu sprawdzać, a nie robić mądre miny. „Szkielko i oko” to właśnie wyraz pokory i wyznanie naszej słabości: jesteśmy za głupi, żeby nazbyt często mieć rację, więc wszystko należy empirycznie sprawdzać. Nawet Einstein może się my-



Skoro grzęźniemy w pytaniach o tak elementarne obiekty jak czarna dziura, skąd w nas odwaga, by zadawać pytania o naturę Boga?

Andrzej Dragan*

lić, a ostatecznym rozstrzygnięciem jest nie autorytet, lecz eksperyment. „A jak ci się nie podoba rzeczywistość, to sobie idź gdzie indziej!” — jak mawiał Richard Feynman.

Cała współczesna fizyka, mimo sukcesów nieporównywalnych z czymkolwiek innym, to nauka ordynarnie prosta. Studenci czasem szydzą, że typowe zadanie, które dostają do rozwiązania, zaczyna się od słów: „rozważmy sferyczną krowę w dwóch wymiarach”, bo nawet przyciąganie grawitacyjne pary prawdziwych krów jest zbyt trudne do analizy. A i po tych wszystkich uproszczeniach fizyka wciąż czasem przerasta nawet najwybitniejszych fizyków, co pokazuje tylko ograniczoność naszego umysłu. Cała ta czarna dziura, co do której mylił się Einstein, to w gruncie rzeczy najprostszy obiekt, jaki można sobie w ogóle wyobrazić: nieskończenie mały punkt o pewnej masie, umieszczony w pustej przestrzeni. To wszystko! To właśnie jest czarna dziura, nic więcej! Skoro zaś grzęźniemy nawet w pytaniach o aż tak elementarne obiekty, to skąd bierze się w nas odwaga, by zadawać nieskończenie trudniejsze pytania: o naturę Boga, sens wszechrzeczy i tym podobne? I skąd nieprzebrana arogancja, żeby twierdzić, że możemy w tych sprawach mieć do powiedzenia cokolwiek wartego zapamiętania?

Moje ulubione podobieństwo między naukowcem a psem jest takie, że jak zadać mu jakieś trudne pytanie, to tak mądrze patrzy. A jednak siła fizyki tkwi właśnie w uzmysłowieniu sobie ograniczeń umysłowych nagiej małpy i niezawierzaniu jej prywatnym osądom. Dzięki temu, że wszystko sprawdzamy i niczego nie bierzemy na wiarę, a za skuteczne podważanie status quo przyznajemy Noble, a nie palimy na stosie, dokonaliśmy najbardziej oszałamiających odkryć, pchając cywilizacyjnie naprzód nasz cały gatunek.

Nauka polega na niewierzeniu. A żeby było jeszcze tragikomiczniej, nadal niczego nie wiemy „na pewno”. Fizyka w ogóle niczego nie „udowadnia”, bo nie wie jak. Nieszczęsne określenie „udowodnić naukowo” pokutujące w języku polskim to wynik pomieszania dwóch angielskich określeń „evidence” i „proof”. Możemy jakąś tezę „poprzedzić” obserwacjami, które są z nią zgodne, ale z matematycznym dowodem ma to tyle wspólnego, co „demokracja” z „demokracją ludową”. Zresztą jak jakieś prawo przyrody fizyk nazywa „fundamentalnym”, to ma na myśli tylko jedno — że nikt nie ma zielonego pojęcia, skąd to prawo się w ogóle bierze. Wiemy też, co robić, gdy odkrywamy jakieś zjawisko albo pojęcie, którego nie rozumiemy — nadajemy mu „mądrą” nazwę. Nie wiemy, czym jest „czas”, czym jest „przestrzeń” i dlaczego jest akurat trójwymiarowa, co to jest „masa”, skąd się biorą stałe fizyczne i ile wynoszą, czemu mion jest akurat 200 razy cięższy od elektronu? Mógłbym tak wymieniać i wymieniać. Drzewa wciąż zasłaniają nam las.

I można by popaść w depresję, ale przypomnijmy ewangeliczne kryterium oceny: nie po owocach! Bo oto nasza „rozzczarowująca” fizyka, albo nauka w ogóle, pozostaje jedynym skutecznym narzędziem mozolnego dochodzenia do prawdy o naszej rzeczywistości. Dzięki naukowemu podejściu odkryliśmy, że myszy rozmnażają się podobnie jak ludzie. Odkryliśmy teorię względności i kwantową teorię pola zgodną z wynikami wszystkich eksperymentów, jakie kiedykolwiek wykonano, czasami z dokładnością do kilkonnastu miejsc po przecinku. Równanie Schrödingera i zakaz Pauliego pozwalają w zasadzie zrozumieć strukturę całej chemii. A z niej podobno wynika cała biologia. Nauka dała też ludzkości wiele ważnych efektów ubocznych. Naukowcy szukający lekarstwa na zezę u szimpansów zauważyli, że testowany preparat co prawda na zezę niezbyt pomaga, ale po stosownej kuracji małpy stają się jakby piękniejsze. Tak odkryto botoks. Efektem ubocznym „fundamentalnej” fizyki jest też laser, tranzystor i internet. Wszystko dlatego, że przestaliśmy wierzyć, a zaczęliśmy sprawdzać.

I można by napawać się dumą, tyle że o świecie wciąż wiemy bardzo, bardzo niewiele. Wydaje się, że dopiero zaczynamy cokolwiek rozumieć. Nic dziwnego, skoro w skalach kosmologicznych zaledwie przed momentem zeszedliśmy mentalnie z gałęzi. Te 400 lat współczesnej nauki to tyle, co kot napłakał. Zresztą gdyby tyle wystarczyło nagiej małpie do odkrycia w fizyce czegokolwiek naprawdę „fundamentalnego”, to osobom religijnym zalecałbym rozczarowanie banalnością naszego świata tudzież ograniczenia mi umysłowymi jego twórcy.

Tymczasem pora przejść do zasadniczego tematu. Czy mianowicie fizyka mówi w ogóle cokolwiek na temat Boga? I niby jakim cudem miałaby to robić, skoro pytania zasadniczo dzielimy na łatwe i trudne, a fizyka zajmuje się wyłącznie tymi najprostszymi? Broń Boże z braku zainteresowania, tylko z konieczności. Badamy sferyczne krowy w dwóch wymiarach, a na temat trudnych pytań zasadniczo niewiele mamy do powiedzenia, dlatego większość fizyków w sprawach metafizycznych kulturalnie siedzi cicho. Zgadzam się z Markiem Abramowiczem, wybitnym kosmologiem, który napisał ostatnio na łamach „Wyborczej”, że:

„Fizyka nigdy, żadnym argumentem nie wykluczyła możliwości Bożej egzystencji, toteż żaden z solidnych fizyków deklarujących się jako ateista nie twierdzi, iż współczesna nauka dowiodła nieistnienia Boga”.

Ciąg dalszy jest nieco bardziej emocjonalny:

„Stwierdzenie, że »odkrycia współczesnej fizyki sugerują, a nawet dowodzą, że Boga nie ma«, jest hucpiarską bzdurą. Dlatego ludzie rozsądni i bardzo kompetentni w innych niż fizyka dziedzinach gotowi są tę modną bzdurę publicznie głosić? Dlaczego nie są świadomi, że robią z siebie komicznie napuszonych bufonów?”.

Fizyka rzeczywiście nie zajmuje się „udowadnianiem” istnienia albo nieistnienia tego czy tamtego, w szczególności Boga. Tymczasem Abramowicz kontynuuje następująco:

„Fizyka jest dziś o wiele bliżej uznania istnienia Boga jako aktywnego elementu obiektywnej rzeczywistości (...). Dokonane bowiem w XX i XXI wieku przełomowe odkrycia, zwłaszcza dotyczące względnej natury czasu i przestrzeni, kosmologii Wielkiego Wybuchu oraz kwantowej nieoznaczoności, znacznie nadwątyły (niektórzy twierdzą: całkowicie zakwestionowały) status materializmu i ateizmu jako oczywistego paradygmatu nauk przyrodniczych, który obowiązywał w wieku XIX”.

nie jest potrzebna”? A uprzejmość wymaga, by w naukowych artykułach nie pisać o rzeczach niepotrzebnych?

Fizycy, jak już mówią, to lubią coś przy tym powiedzieć, a nie tylko ciągle się odzywać. Ja bym obstawiał, że te trudne kwestie co prawda bardzo nas nurtują, ale większość z nas uważa się za zbyt głupich, żeby coś na ten temat wiedzieć, więc taktownie siedzi cicho. Przypominam, że z ewolucyjnego punktu widzenia jesteśmy pewnym tymczasowym stadium pośrednim pomiędzy rozwielitką a czymś, co zastąpi nas za miliony lat i co przekroczy nas intelektualnie w sposób trudny do wyobrażenia. W tej perspektywie bieżąca różnica pomiędzy człowiekiem a psem wydaje się raczej skromna, a psa o sens wszechrzeczy bym jednak nie pytał. Mimo że tak mądrze patrzy.

Marek Abramowicz nie jest gołosłowny i na poparcie tezy, że „Fizyka jest dziś o wiele bliżej uznania istnienia Boga jako aktywnego elementu obiektywnej rzeczywistości”, podaje trzy „główne (ale daleko nie jedyne) powody”:

„1. Wbrew temu, co większość materialistów twierdziła przez tysiąclecia, materia nie jest wieczna. Nasz Wszechświat powstał w Wielkim Wybuchu 13,8 mld lat temu”.

Zacząlbym od tego, że wspomniani „materialiści” „przez tysiąclecia” mogli wyznawać co najwyżej stosowne dla danego obszaru geograficznego tezy religijne, w innym razie czekał ich marny los. Czy to Sokrates otruty cykutą za religijne „deprawowanie” młodzieży, czy Giordano Bruno spalony na stosie za tezy, jakoby Ziemia nie była jedyną planetą w kosmosie, niespecjalnie motywowali „większość materialistów” „przez tysiąclecia” do stawiania jakichkolwiek tez sprzecznych z oficjalnymi dogmatami religijnych przywódców. O ile pamiętam, uczeni chrześcijańscy szacowali wiek Wszechświata na parę tysięcy lat, i to właśnie to był u nas dominujący pogląd wyrażany przez ostatnie dwa tysiące lat. Czyżby więc autorowi chodziło o najnowszy, krótki okres, w którym fizycy uzyskali wreszcie wolność do formułowania niezależnych hipotez na temat natury świata?

Tymczasem czy Wszechświat rzeczywiście powstał w Wielkim Wybuchu, jak obecnie wydaje się wielu kosmologom, czy sprawy miały się zgoda inaczej, zdania są wciąż podzielone. Wypadałoby uczciwie przyznać, że nie wiemy, jak to było na pewno, dane obserwacyjne wskazują, że paręnaście miliardów lat temu Wszechświat był niezwykle mały i gęsty i wydarzyło się wówczas coś bardzo szczególnego. Na przykład według

świat”. Tylko że tego typu wydzielina duchowa obok fizyki nawet nie leżała.

Drugim głównym powodem, by według Marka Abramowicza twierdzić, że „fizyka jest dziś o wiele bliżej uznania istnienia Boga”, jest następujący:

„2. Gdyby wartości stałych (fizycznych) były choć trochę inne, to we Wszechświecie nie mogłoby powstać życie”.

Powyższa obserwacja przypomina mi o powszechnej niechęci ludzi religijnych do darwinowskiej teorii ewolucji. Postawa ta dość boleśnie ukazuje, że fundamentem wiary są nie tyle przeżycia metafizyczne, co naiwnie wnioski z obserwacji zwierzęcej anatomii. „Gdyby wartości parametrów (biologicznych) wewnątrz ludzkiego oka były choć trochę inne, to w oku nie mogłoby powstać widzenie” — zachwycali się przed Darwinem ludzie wierzący. A jednak wiemy, że bezmyślne mechanizmy ewolucyjne bez problemu stworzyły oko, w dodatku kilkakrotnie w niezależnych procesach u różnych zwierząt. Najwyraźniej nie było to dla ewolucji niczym specjalnie trudnym. Podobnie powstały ogon, mózg oraz woreczek żółciowy. Odpowiednia selekcja i mechanizm dziedziczenia pomogły też nagim małpom przepoczwarzyć w krótkim czasie wilka stepowego w pekińczyka kanapowego. A obecnie algorytmny zbliżone do ewolucyjnych pomagają nam hodować niewiarygodne algorytmy AI, które leją nas w niemal każdym kognitywnym zadaniu, do którego je powołujemy.

Ptak czy owad, najpierw był argument z „wyjątkowością” oka, potem mówiono o „wyjątkowości warunków na Ziemi”. Dopóki, rzecz jasna, się nie okazało, że planet w obserwowalnym Wszechświecie jest więcej niż kombinacji liczb w trzech grach w totolotka z rzędu, a podobnych do Ziemi miejsc jest zapewne na pęczki. Zresztą skład chemiczny znanych nam organizmów nie różni się znacząco od składu chemicznego całego Wszechświata. Co sugeruje, że nasze życie powstało „z byle czego”, czyli z surowców, które były akurat dostępne w okolicy. W każdym razie ostatnimi czasy argument o naszej „wyjątkowości” został zepchnięty na „wyjątkowość stałych fizycznych”.

Więc jak jest z tą wyjątkowością stałych przyrody? Wydaje się bardzo nieoczywiste, jak dokładnie wyglądałby świat, gdyby stałe fizyczne miały inne wartości. Na razie nie za bardzo rozumiemy nasz bieżący świat, więc snucie hipotez o jego alternatywnych wersjach z innymi prawami fizyki, czy nawet innymi stałymi fizycznymi, wydaje się, delikatnie pisząc, mocno przedwczesne. Nawet jeśli znana nam konfiguracja stałych fizycznych

Skład chemiczny znanych nam organizmów nie różni się znacząco od składu chemicznego całego Wszechświata. Co sugeruje, że nasze życie powstało z surowców, które były akurat dostępne w okolicy

Niech mnie diabeł poniesie na oklep w otchłań hańby, ale teraz moje brwi znacząco się już unoszą. Jak nie wiadomo, od czego zacząć, trzeba zacząć od początku. Otóż skoro fizyka ma na powyższy temat coś ważnego do powiedzenia, to może należałoby o tym napisać do jakiegoś recenzowanego czasopisma fizycznego? W końcu pytanie wielkiej wagi, a żaden z kolegów dotąd się nie pokwapil.

Domyślam się, że nieustanny brak odniesień do Boga w prasie fizycznej stał się źródłem podejrzania, że w naukach przyrodniczych ateizm „obowiązywał” jako „oczywisty paradygmat”. Tylko czy nie jest przypadkiem tak, że, pisząc Laplace’em, w przyszłej pracy fizyka „hipoteza Boga po prostu

kosmologii pętlowej, jednego z kandydatów na teorię „grawitacji kwantowej”, nie było żadnego „Big Bang”, tylko raczej „Big Bounce”, czyli „Wielkie Odbicie”, które rozdzieliło kolejne fazy cyklicznego Wszechświata. Taką właśnie tezę postawili paręnaście lat temu moi koledzy z grupy Jerzego Lewandowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego.

Temat otwarty, zdrowa naukowa debata w toku, kolejny wybitni fizycy dołączają się do hipotezy cyklicznego Wszechświata, zapewne prędzej czy później temat się wyklaruje. Tylko jak się to ma do metafizyki? Być może żuk siedzący na wybuchającej purchasewce sądzi, że uzyskał „główny powód” do wiary w Boga, bo w końcu taka purchasewka to jego cały „obserwowalny Wszech-

realizuje jakieś „lokalne optimum”, na przykład ze względu na syntezę helu w gwiazdach, to jeszcze nie oznacza, że żadna zupełnie inna konfiguracja nie mogłaby prowadzić do całkiem innego, samokomplikującego się Wszechświata. Przypuszczenie, że jakakolwiek biologiczna złożoność możliwa jest tylko w dokładnie takim świecie, jaki się nam akurat trafił, brzmi nie tyle jak pogłębiona analiza, co jak objaw ograniczonej wyobraźni.

A palicho, nawet gdyby stałe fizyczne gwarantujące ewolucję złożoności były jedne jedyne w nieprzebranej przestrzeni wszystkich możliwości, to zupełnie jak w przypadku oka można by się spodziewać jakiejś formy kosmicznej ewolucji, któ-

ra doprowadziła do wytworzenia ich w takiej, a nie innej konfiguracji. Proszę bardzo, pierwszy z brzegu pomysł: w wariacie cyklicznej ewolucji, w której Wszechświat odradza się co jakiś czas w ramach Wielkiego Odbijania, stałe fizyczne mogą losowo zmieniać swoje wartości przy każdym „Odbiciu”, aż wreszcie trafią się takie, które doprowadzą do wyhodowania złożonych organizmów podobnych do nas.

Natomiast Abramowicz formułuje w tym miejscu dość zaskakujący pogląd:

„Różne wersje tej hipotezy mają jedną, fundamentalną cechę wspólną. Zakładają, że oprócz naszego Wszechświata istnieje jeszcze nieskończenie wiele innych z naszym rozłącznych — wszystkie razem tworzą wieloświat”.

Podany przed momentem pierwszy z brzegu scenariusz pokazuje, że powyższy pogląd ujawnia jedynie niedobory szerokiego widzenia. Możliwa jest masa wyjaśnień, w szczególności takie, które jeszcze nikomu nie przysły do głowy. Równoległe wieloświaty w ogóle nie są do czegokolwiek konieczne. Co ciekawe, Marek Abramowicz wyśmiewa niezbędną jego zdaniem hipotezę różnych alternatywnych światów z różnymi kombinacjami stałych fizycznych, pisząc:

„Zasada ta prowadzi do paradoksów wystawiających na śmieszność ideę ateistycznego wieloświata. Bowiem jeśli możliwe jest wszystko, to – na przykład – istnieć muszą wszechświaty, w których mieszkają krasnoludki”.

A gdyby Ziemia była kulista, tobyśmy z niej przecież pospadali. Logiczna rzetelność podanego argumentu prowadzi do pytania, jaka to konkretnie kombinacja stałych fizycznych prowadziłaby do świata pełnego krasnoludków? Czy autor powyższej tezy umiałby taką kombinację podać?

I wreszcie ostatni „główny powód”, że „fizyka jest dziś o wiele bliżej uznania istnienia Boga” – analiza zjawisk kwantowych, nad którymi sam się głowię od ćwierćwiecza. Niestety bez metafizycznych efektów.

„3. Rzeczywisty świat ukazuje zjawiska, które można interpretować jako zależne od naszej wolnej woli i naszej świadomości, obu autonomicznych względem świata materii. Anton Zeilinger, tegoroczny laureat Nobla, omawiając wyniki swoich eksperymentów dotyczących kwantowego splątania, stwierdza wprost: »Będziemy się chyba musieli pożegnać z naiwnym realizmem, zgodnie z którym świat istnieje sam z siebie, bez naszego udziału i niezależnie od naszych obserwacji«”.

Tegoroczny noblista miał na myśli fascynującą cechę teorii kwantowej sprawiają-

cą, że nie da się w skalach mikroskopowych prowadzić obserwacji jakiegokolwiek fizycznego układu bez zaburzania go. Ponadto uzyskiwane wyniki pomiarów są w ogólności determinowane dopiero w chwili dokonywania eksperymentu, a tuż przed nim pozostają fundamentalnie nieprzewidywalne. Fizycy mówią, że świat w skali mikro jest indeterministyczny, co u studentów stykających się z tym po raz pierwszy budzi zazwyczaj uzasadnione powikłania umysłowe. W dodatku przed dokonaniem pomiaru obiekty kwantowe zachowują się, „jak gdyby” robiły wiele rzeczy naraz. W słynnym eksperymencie z podwójną szczeliną pojedynczy elektron zachowuje się tak, jak gdyby poruszał się dwiema drogami jednocześnie.

Eksperymenty uhonorowane tegoroczną Nagrodą Nobla potwierdziły, że rzeczywistość w mikroskalach okazuje się kompletnie inna, niż wszyscy sobie wyobrażali jeszcze w XIX wieku. Nawet sam Einstein nie chciał „uwierzyć” w wizję świata malowaną przez teorię kwantową, zaś eksperymenty tegorocznych noblistów obnażyły, jak bardzo się mylił. To kolejny przypadek pokazujący, że nadmierna wiara zaślepia nawet najwybitniejsze umysły. I nie musi chodzić o wiarę „religijną”, problem jest o wiele ogólniejszy. W przypadku Einsteina była to wiara w określoną wizję świata zbudowaną na XIX-wiecznych przesadach. Wiara nauce po prostu nie służy. Na początku XX wieku takie właśnie opancerzenie na rzeczywistość dotknęło połowę twórców teorii kwantowej, Einsteina, de Broglie’a czy Schrödingera. Nie był to zresztą pierwszy raz – paręnaście lat wcześniej fizycy buntowali się w podobny sposób przed teorią względności. Zapewne jeszcze wiele takich razów przed nami.

Naiwny realizm rzeczywiście nie daje się obronić, świat jest o wiele dziwniejszy, niż komukolwiek wcześniej mogło się zdawać. A każda obserwacja układów kwantowych oznacza nieuchronną ingerencję w ich stan. W tym sensie urządzenie pomiarowe, chcąc nie chcąc, staje się częścią obserwowanego układu, a sposób wykonywania pomiaru ma kluczowy wpływ na przebieg eksperymentu. Fizyka kwantowa wymaga więc odejścia od naiwnego wyobrażenia o absolutnym obser-

watorze badającym niezależną od niego rzeczywistość.

Jakkolwiek intrygująca by była cała ta kwantowa nieprzewidywalność, to żaden znany mi fizyk nie twierdzi, że na wyniki pomiarów jakkolwiek wpływa to, czy obok stoi pan w białym fartuchu, czy też nie stoi. Pomiar jest jakimkolwiek oddziaływanie obserwowanego obiektu z zewnętrznym urządzeniem pomiarowym, a świadomość nie ma tu w ogóle nic do rzeczy. Co prawda rolę „świadomości” „obserwatora” dopowiadają sobie czasem różni naciągacze spod znaku „homeopatycznej jaźni kwantowej”, ale ani jeden wykonany przez ostatnie 100 lat eksperyment jakiegokolwiek związku fizyki kwantowej z „naszą wolną wolą” tudzież „naszą świadomością” nie stwierdził. Oczywiście gorąco zachęcam, by szukać dalej, bo za tego typu odkrycie Nobel byłby murowany.

Argument jednak dość często spotykany: zjawiska kwantowe są dziwne, wolna wola też jest dziwna, a Bóg zapewne jeszcze dziwniejszy, więc te trzy rzeczy muszą mieć ze sobą coś wspólnego. Marek Abramowicz tego nie robi, ale często spotykane jest ekscytowanie się wolną wolą, duszą i innymi metafizycznymi aspektami naszej jaźni przy jednoczesnym ignorowaniu roli mózgu, co zawsze przypomina mi rozmowę, którą przeprowadziłem ze swoim czterolatkiem:

- Igorku, zjedz zupkę.
- Tatusiu, nie smakuje mi!
- Jak to, przecież nawet nie spróbowałeś?
- Ale i tak wiem, że mi nie smakuje!

Nosimy 10 cm z tyłu nosa pewien dość skomplikowany organ, którego zrozumienie na razie nas przerasta. Nie mamy jeszcze zbyt głębokiego pojęcia, jak ta mokra papka w ogóle działa, ale niektórzy już teraz wiedzą na pewno, że owo urządzenie bez wątpienia nie jest odpowiedzialne za nasze procesy kognitywne. Zupki nie próbowałem, ale na pewno nie będzie smakować. A może, zamiast wyznawać myślenie z dala od mózgu, jednak poczekalibyśmy najpierw na głębsze naukowe zrozumienie tego, jak nasze sieci neuronowe w ogóle funkcjonują? Kto wie, może się przecież okazać, że nasz mózg rzeczywiście odpowiada tylko za część

naszych przeżyć. To by dopiero było ekscytujące naukowe odkrycie! I jakie pole do dalszych dociekań i naukowych badań! Tymczasem jak dotąd nic na to nie wskazuje i dobrze by było, żebyśmy zaczęli nieco pokorniej: od nauki elementarza fizjologii mózgu, której jeszcze prawie wcale nie znamy.

Na razie mamy jakiś skrajnie uproszczony obraz rzeczywistości, jesteśmy względnie umyćci i zatrudnieni, ale z używaniem tymczasowej fizyki do uzasadniania naszych metafizycznych wyobrażeń to ja bym się jeszcze wstrzymał. ●

PS Marek Abramowicz przywołał Einsteina, twierdząc, że ten „wierzył w Boga szczerze i głęboko”. Jako że od Einsteina zaczęliśmy, wypada na nim zakończyć. Zaledwie rok przed śmiercią Einstein wysłał bowiem do Erica Gutkinda list, w którym pisał:

„Słowo Bóg jest dla mnie innym jak tylko słowem i wytworem ludzkich słabości, a Biblia zbiorem czcigodnych, ale dość dziecinnych legend”.



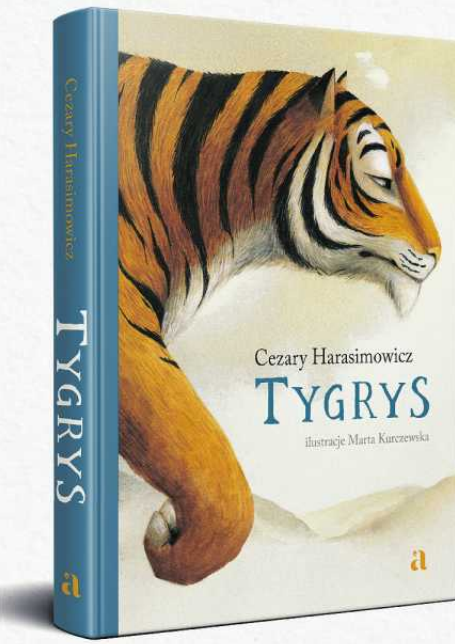
FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

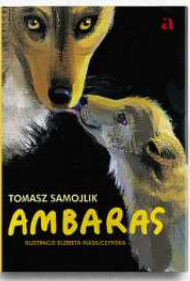
*Andrzej Dragan

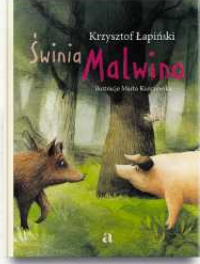
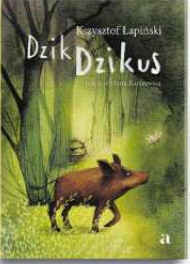
● jest fizykiem kwantowym, profesorem na Uniwersytecie Warszawskim i Narodowym Uniwersytecie w Singapurze oraz autorem książki **„Kwantechizm 2.0, czyli kłątka na ludzi”**. Książka dostępna w dobrych księgarniach oraz w formie e-booka na Publio.pl.

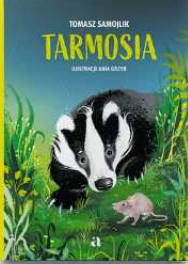
Skąd się wziął, dokąd zmierza i jak jest budowany. Co wiemy, a w zasadzie czego nie wiemy – opowiada kosmolog i astrobiolog Paul Davies w książce **„Co pożera wszechświat? I inne zagadki kosmosu”**.









HISTORIE DOBRE Z NATURY

- Wciągające historie o przygodach dzikich zwierząt
- Mnóstwo ciekawostek przyrodniczych
- Aktualne i ważne społecznie tematy
- Znani i lubiani autorzy, świetni ilustratorzy

WYJĄTKOWE OPowieści dla dzieci (i rodziców)

KSIĄŻKI DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA
 

W FORMIE E-BOOKA I AUDIOBOOKA NA
 



Pomoc od Czytelników „Wyborczej” w Tarnopolu

DZIECI WOJNY

Kucharki przygotowywały posiłki na kuchniach pamiętających czasy Habsburgów

**Agata Kondzińska,
Michał Olszewski**

Dzieci z oddziału paliatywnego do schronu nie da się znieść. Spędzają czas alarmów między grubymi ścianami na parterze.

– Drewniane chochle?

– Mamy!

– Worki na śmieci, gąbki do naczyń?

– Są!

– Gąbki do ciała?

– Też!

– Rękawiczki gospodarcze?

– Kupione!

– Lekarstwa? Tu nie dajemy, pójdą na front. – Katia ma rude, długie włosy, wśród loków zaplątane dredy. W beżowym kożuchu dyryguje rozładunkiem. Przyjechała ze Lwowa, jest naszą przewodniczką. Psycholożka, która od początku wojny organizuje pomoc. Kilka dni wcześniej Inha Kubei, dyrektorka sierocińca w Tarnopolu, podesłała listę najpilniejszych produktów. Pod opieką ma 70 dzieci do 12. roku życia. Wiele choruje. 57 przyjechało z sierocińca w Kijowie, gdy na miasto spadły pierwsze rakiety. 11 dzieci jest na oddziale paliatywnym.

– Przywieźliście mleko do karmienia sondą? – Inha podnosi niebieskie puszki. Z troską odkłada na bok. – To wielki skarb – mówi. Ale zaraz jej uwagę zwraca spożywcza waga. – Nie jest elektryczna? – upewnia się. Gdy znów zabraknie prądu, waga bardzo się przyda.

1,3 proc. wszystkich małych Ukraińców to mieszkańcy sierocińców i domów opieki dla dzieci niepełnosprawnych. W marcu organizacja Save the Children alarmowała, że w ukraińskich domach dziecka i ośrodkach opiekuńczych mieszka 100 tys. małych Ukraińców. Wielu z nich w kraju uwięziła wojna. Już dzień po agresji Rosjanie zbombardowali sierociniec w Ochtyrce. Jak informuje stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce, „od wybuchu wojny 264 sierocińce ewakuowano w całości lub w części, 83 w bezpieczniejsze rejony Ukrainy, a 181 za granicę”.

STRASZNE PIERWSZE DNI

Trawniki oprószone śniegiem, chodniki skul lód. Koloru przed wejściem dodaje czerwona kalina. Budynek jest spory, dwa piętra, długie korytarze i duże okna.



szym tylko kilka łóżeczek, są materace dla starszych dzieci, kilka krzeseł. Drugie, mniejsze, to typowa piwniczna sypialnia. Tapczan przy tapczanie, łóżeczko obok łóżeczka. Przejście na jedną osobę. – Pierwsze dni były straszne, mimo że sąsiedzi bardzo nas wspierali. Przychodziły tu zresztą całe rodziny pracowników, żeby nas wesprzeć w najtrudniejszym momencie, nie wiadomo było przecież, czy nie trzeba będzie zbierać się w kilka minut i uciekać – wspomina Inha Kubei.

W schronie mieszkali kilka dni, nie wiedzieli, czy na Tarnopol polecą bomby i rakiety. Czy uda im się przeżyć. Dzieci zrywały się, krzyczały, płakały, niektóre trzeba było usypiać na rękach.

Potem, w co trudno uwierzyć, przyszło przyzwyczajenie. Dzisiaj, prawie dziesięć miesięcy od wy-

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)



W domach dziecka i ośrodkach opiekuńczych mieszka 100 tys. małych Ukraińców

Ogromny dywan przykrywa każdy skrawek podłogi. Pod ścianą sześć kołysek, pod drugą łóżeczka, na wprost leżaczki. Troje dzieci w chodzikach. Spoglądają nieśmiało, zatrzymują chodziki. Jeden z chłopców krzywi się, opiekunka podbiega, by grymas nie przemienił się w płacz. – Nie są do was przyzwyczajone, nas już znają – mówi, a malec się uspokaja. Wychodzimy, nie chcemy już niepokoić dzieci.

Teraz Inha prowadzi nas z piętra do piwnicy. Betonowe ściany, na jednej zwisa obszarpana otulina rury ciepłowniczej. Grube dywany, żeby nie ciągnęło od podłogi, stoliki, czerwony kucyk z plastiku wciśnięty w narożnik między dwoma ścianami. W wiaderkach woda techniczna i do picia. Pomieszczenia są dwa. W wię-

buchu wojny, dzieci schodzą do schronu, tak jak przechodzą ze stołówki do sali zabaw. W schronie są już spokojne, nawet jeśli alarm trwa dłużej i trzeba zostać pod ziemią kilka godzin. Dzieci z oddziału paliatywnego do schronu nie da się znieść. Spędzają alarmy pomiędzy grubymi ścianami na parterze. – Najbardziej niepokoi mnie myśl, że możemy tu zostać na dłużej bez prądu – dodaje Inha. – To byłaby wielka katastrofa, bo generatora nie ma. Lista potrzeb? Mleko w proszku dla najmłodszych dzieci w każdej ilości.

Kilka godzin później Inha przysłała nam filmik i zdjęcia. Dzieci są już w holu, rozpakowują prezenty.

WIADRO HERBATY

Przystankiem na trasie naszego konwoju humanitarnego jest Lwowski Obwodowy Szpital Psychiatryczny Kulparków we Lwowie. To w tej chwili największa tego typu placówka w Ukrainie. Położony na prawie 20 hektarach jest starszym bratem krakowskiego Kobierzyna i zachowanym w niemal niezmienionej formie szpitalem ogrodem: oddziały cho-

wają się wśród starodrzewu, sale są przestronne, widne. Kulparków jest również wspomnieniem radzieckiej psychiatrii, nie tylko dlatego, że trafili tu dysydenci, ale przede wszystkim ze względu na rozmiar. Długo po odzyskaniu niepodległości Ukraina stawiała na wielkie szpitale psychiatryczne, w których ciężko chorzy pacjenci leżeli obok tych, którzy mogliby prowadzić życie poza murami szpitala, z pomocą psychiatrii środowiskowej.

Do wybuchu wojny w Kulparkowie mieszkało ok. 500 pacjentów. Rosyjska agresja zmieniła szpital nie do poznania. Do Lwowa przyjechali pacjenci ze zniszczonych placówek na wschodzie. 200 pacjentów z Charkowa i tyłu samo z Doniecka – ci szybko trafili do zaprzyjaźnionych zagranicznych placówek. Potem z Chersoniu, ostatnio z Chersonia. Dziś w szpitalu mieszka ponad 1200 pacjentów z różnych części kraju, w tym najtrudniejsi do prowadzenia więźniowie skazani na leczenie psychiatryczne. Schrony są w niskich, XIX-wiecznych piwnicach, część pacjentów alarmy przeczekuje pomiędzy najgrubszymi murami. Sale dla łżej chorych pacjentów zatłoczone są po brzegi – w największych śpi obok siebie nawet ponad 30 ludzi. Personelu nie przybyło.

Gdy w listopadzie Rosjanie przeprowadzili masowy ostrzał infrastruktury energetycznej, w szpitalu było bardzo źle: kucharki przygotowywały posiłki na kuchniach pamiętających jeszcze Habsburgów, przy wejściu piętrzyły się stosy drewna, w salach nie było ogrzewania, w schronach światła.

Postanowiliśmy działać. Dzięki prywatnym zbiórkom dziennikarzy „Gazety Wyborczej” i „Tygodnika Powszechnego” do Kulparkowa kupiliśmy dary za mniej więcej 150 tys. zł. Določyli się prywatni darczyńcy (również polscy psychiatrzy), przedsiębiorcy, fundacje. Lwowski szpital dostał generatory zasilające kuchnię, ciepłe ubrania, czapki, skarpety, szalik, rękawice, odzież termiczną, kurtki, żywność oraz 25 termosów – 20 litrów każdy. I to właśnie termosy pokazują, że nawet drobna z pozoru pomoc ma sens, bo dzięki nim życie pacjentów stało się odrobinę łatwiejsze. Bo jak nie było termosów, jedna osoba z oddziału szła do kuchni z wiadrem, kotłem lub kankami, w które kucharki nalewały herbatę. Droga powrotna to hektary, herbata stygła, nim dotarła na oddział.

Dr Jurij Zakał, zastępca dyrektora w Kulparkowie: – Takie punktowe działania bardzo nam pomagają. Pacjenci nie muszą biegać do kuchni i z powrotem, tylko mają herbatę na miejscu. Mają ciepłe ubrania, getry, czapki, skarpety. Dzięki tej pomocy przetrwamy najtrudniejszy miesiąc. ●

Jarosław Mikołajewski **TEKST**
Organizacja Lekarze bez Granic (MSF) **ZDJĘCIA**

Patrząc na zdjęcia tragedii humanitarnych na całym świecie, zebrane z całego roku, można się poczuć jak Bóg. Albo jak bóg. Ale jaki? Apodyktyczny pan sytuacji, który decyduje, kogo doświadczyć, a kogo ocalić? Które ziemie i których ludzi? Jak Bóg/bóg miłosierny ojciec, który dopuszczając ból, udziela też pocieszenia? Który zezwalając na głód i choroby, zsyła także anioły? Chłodny, paradoksalny obserwator, który – jak pisał Dino Buzzati – chciałby co prawda pewne okoliczności i zdarzenia odwrócić, ale nie może, bo sam już tak postanowił?...

Uprościmy i założymy, że dzięki pracy fotoreporterów możemy, jak bóg, co najmniej widzieć. Jak Światowid czy którykolwiek inny, bo wszystkim bogom wierni przypisują geniusz oglądu całości, najbardziej rozległej i jednocześnie najbardziej uszczegółowionej postaci i istoty świata. Ludzkości, narodów, społeczeństw, krajów, większości, mniejszości, rodzin, pojedynczych istnień.

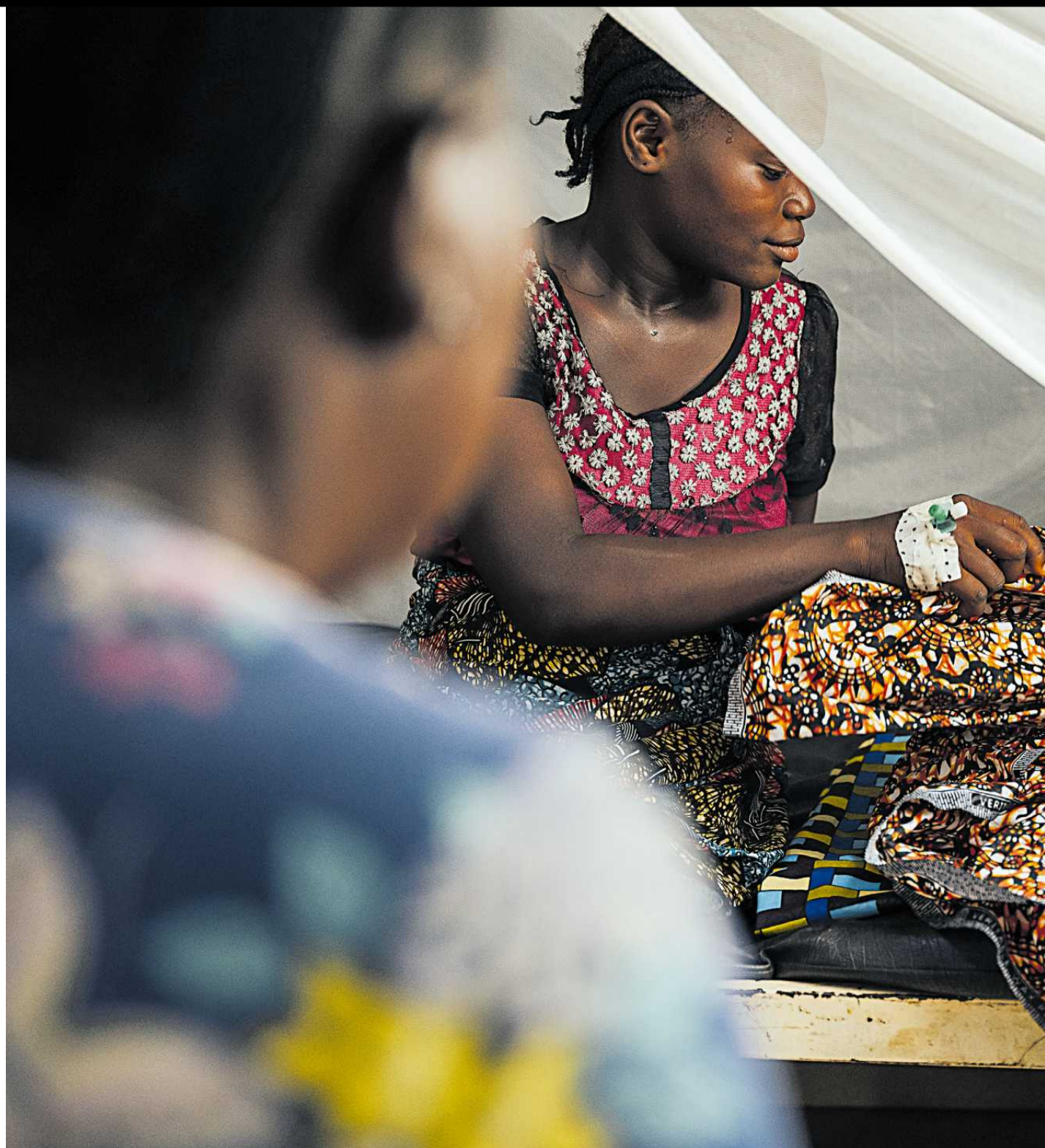
Kiedy pocujemy coś takiego – zdystansowaną, choć niepozbanioną wzruszenia – perspektywę ludzkich nieszczęść, dzielimy bożą moc, ale i winę. Milcząca odpowiedź czegoś wyższego na nieodzowne, konieczne pytanie: ty widzisz i milczysz? Na które mickiewiczowski Konrad ma słowa niezgody, a książę Piotr przed Bożym obliczem jest prochem i niczem.

Słyszając o działalności Lekarzy bez Granic, o ich twórczej, dobroczynnej obecności w każdym miejscu świata, w którym człowiek człowiekowi może udzielić pomocy, odczuwam ulgę, że oprócz pytań o sens cierpienia (ja sam uważam, że ono sensu nie ma i że zamiast pytać po co, lepiej pytać dlaczego, bo odpowiedź pozwala być mądrym po szkodzie) są ludzie o wysokich kwalifikacjach, którzy zadają sobie pytanie, czy nieszczęścia, gdziekolwiek się dzieją, można zlikwidować lub zmniejszyć i czy oni sami są w stanie jakoś się przydać.

„Lekarze bez Granic – czytam na stronie internetowej – to międzynarodowa, niezależna medyczna organizacja humanitarna prowadząca działania w ponad 70 krajach na świecie”. Jak informuje mnie Andrzej Jędrzejczak z biura prasowego, skupia ona nie tylko personel medyczny, lecz również specjalistów od spraw organizacyjnych czy technicznych, którzy swoją pracą umożliwiają pomoc medyczną. Którzy pragną nadać specyficzny sens swojej pracy. Dać znać, że najpoważniej traktują całą ziemię i wszystkich ludzi jako wspólną, jednorodną wartość.

Mają swoją tożsamość, swoje różnorodne uzasadnienia, lecz w ostatecznym rozrachunku to osobiste działanie na rzecz ludzi i ziemi jest dla nich najważniejsze. Jeśli czują się odbiciem Boga, podstawiają mu pierwotne, zagubione lub zapomniane lustro. Jeśli nie, czytam w nich znak doktora Rieux z „Dżumy” Alberta Camusa. Biskupa Benvenuto z „Nędzników”. Bohaterów naszej lepszej strony. ●

Lekarze bez Granic.
Jeśli czują się odbiciem
Boga, podstawiają mu
pierwotne, zagubione lub
zapomniane lustro



Ludzie ludziom

▲
Aminata patrzy na swoje nowonarodzone dziecko, które urodziła we wspieranym przez Lekarzy bez Granic centrum zdrowia Mile 91. Tonkolili, Sierra Leone, marzec 2022

FOT. OLIVER BARTH/MSF





▼ **Lekarze bez Granic zapewniają opiekę w klinice zdrowia psychicznego w Hadżdży. Tutaj pracowniczka pociesza pacjentkę. Jemen, wrzesień 2022**

FOT. JINANE SAAD/MSF



▼ **Uratowane z morza dzieci oglądają bajkę na pokładzie statku Lekarzy bez Granic, Geo Barents. Morze Śródziemne, marzec 2022**

FOT. KENNY KARPOV



▼ **Sera James czerpie wodę z dopiero co zainstalowanej przez Lekarzy bez Granic pompy. Pompa ma poprawić dostęp do wody dla tej społeczności podczas okresu suchego. Sudan Południowy, marzec 2022**

FOT. NJIIRI KARAGO/MSF



◀◀◀ **Na pokładzie statku Geo Barents uchodźcy wyłowieni z morza czekają na wyznaczenie bezpiecznego miejsca, aby zejść na ląd. W międzyczasie jeden z nich strzyże włosy innym. Morze Śródziemne, październik 2022**

FOT. MSF/CANDIDA LOBES

◀◀ **Pracowniczka Lekarzy bez Granic sprawdza stan ośrodka zdrowia Barangay, uszkodził go tajfun „Rai”. Surigao City, Filipiny, styczeń 2022**

FOT. REGINA LAYUG ROSERO/MSF

◀ **Pracowniczka Lekarzy bez Granic założyła sztuczne piersi, aby zademonstrować technikę ich samodzielnego badania. Bamako, Mali, marzec 2022**

FOT. MOHAMED DAYFOUR DIAWARA



▲ **Zespół Lekarzy bez Granic dystrybuje koce i kanistry na wodę ludziom zmuszonym do ucieczki z Agok przed przemocą. Sudan Południowy, kwiecień 2022**

FOT. SCOTT HAMILTON/MSF

▼ **Siedmioletnia pacjentka Vaishnavi rozmawia z pielęgniarką Lekarzy bez Granic, która odwiedziła ją w domu. Vaishnavi choruje na gruźlicę wielolekooporną. Bombaj, Indie, luty 2022**

FOT. PREM HESSENKAMP





◀ Ratownicy zabierają z przygranicznego lasu do szpitala mężczyznę, który nie był w stanie samodzielnie chodzić. Litwa, grudzień, 2021

FOT. VIDMANTAS
BALKUNAS/BNS



◀ Lekarze idą przez rzekę Baudó pomóc cierpiącym na odwodnienie, biegunkę, malarię i niedożywienie. Kolumbia, listopad 2022

FOT. MSF/SANTIA-
GO VALENZUELA

► Fizjoterapeuta LbG ćwiczy z pacjentem po amputacji palca. Ukraina, wrzesień 2022 FOT. HUS-
SEIN AMRI/MSF



◀ Gabriel, student pielęgniarstwa Akademii Lekarzy bez Granic w Old Fankak, przygotowuje się do operacji na manekinie. Sudan Południowy, czerwiec 2022

FOT. FLORENCE
MIETTAUX

▼ Dziecko bawi się balonem w obozie dla osób wewnętrznie przesiedlonych. To część działań z zakresu ochrony zdrowia psychicznego. Marib, Jemen, grudzień 2021

FOT. HESHAM AL HILALI



• Syn pomaga ojcu umyć dłonie w szpitalu Boost wspieranym przez Lekarzy bez Granic. Helmand, Afganistan, styczeń 2022 FOT. ORIANE ZERAH



APOSTAZJA



PRZYCHODZI NIEWIERNY DO KOŚCIOŁA

Co za czasy, żeby jezuici ułatwiali ludziom wyjście z Kościoła

JĘDRZEJ SŁODKOWSKI

Serce mi łopocze, wchodzę na teren parafii w Warszawie. Kancelaria czynna do 12, jest 11.55. Czy ksiądz jeszcze przyjmie? Myślałem, żeby akcję przełożyć na kolejny dzień, ale zrobiłem tak już kilka razy. Chcę już to mieć za sobą.

Marzyłem o tym, gdy usłyszałem to słowo. Może gdy przeczytałem w 2006 roku reportaż: „Kiedy taksówkarz z Olecka postanowił raz na zawsze wypisać się z Kościoła, proboszcz skrył się na plebanii”? Lektura instrukcji Episkopatu ostudziła jednak mój zapal – wymagała stawienia się z dwoma świadkami, jakby aposta był niespełna rozumu. Aż mój przyjaciel pochwalił się: – Stary, to bułka z masłem. Nie trzeba żadnych świadków, nie trzeba robić tego w kościele, gdzie cię chrzcili.

Faktycznie, w 2016 r. Episkopat wydał dekret, który znacznie ułatwił procedurę. Jedyne problem stanowi-

ło teraz uzyskanie świadectwa chrztu, które trzeba okazać w innej parafii niż ta, w której byliśmy chrzczeni. Aż zdarzył się fart: podczas jednej z niezliczonych przeprowadzek wpadł mi w ręce odpis aktu chrztu, sporządzony na potrzeby pierwszej komunii. Tygodniami go przekładałem i pewnie bym przekładał, gdyby nie Dawid Podsiadło.

FALA

A właściwie ogólnokrajowa awantura o cztery zdania, które piosenkarz wypowiedział w październiku w podcaście: „Jestem o krok dalej niż tylko przymierzania się do tego. Udało mi się zdobyć akt chrztu. Jak będę w rodzinnych stronach i wygospodaruję na to czas, poproszę o tę apostazję. Nie chcę zaburzać statystyk organizacji, z którą niewiele mnie łączy”. Przez media rządowe Podsiadło został pasowany na nowego Nergala.

– Myślę, że Dawid Podsiadło przede wszystkim promuje swoją najnowszą płytę – insynuował rapujący ksiądz Jakub Bartczak na wPolityce.pl. – Niektóre media i środowiska wytworzyły specyficzną modę, aby mówić źle o Kościele.

A abp Grzegorz Ryś dodał: – Mam nadzieję, że pan Dawid Podsiadło nie rozmawia z Kościołem tylko za pomocą mediów społecznościowych. Jeśli ktoś odchodzi od Kościoła, bo ma jego złe doświadczenie, to nie można mu powiedzieć, że powinien mieć inne. Można jedynie z pokorą przeprosić za to złe doświadczenie, a potem trzeba sobie postawić pytanie: jaki Kościół tworzymy?

Abp Ryś przyznał też, że „mamy do czynienia z jakąś falą apostazji, która wzbiera w ostatnich trzech, czterech latach”.

Łatwo zresztą ten czas określić, zaglądając do Google Trends, narzędzia, które pokazuje najczęściej wyszukiwane słowa w internecie. Pierwszy apostazyjny pik to sierpień 2019 r., kiedy piosenkarka ogłasza zamiar dokonania apostazji w „Playboyu”, bo nie podoba jej się podejście Kościoła do ciała i seksualności.

Druga fala zainteresowania apostazją to październik i listopad 2020 r. – czas masowych protestów po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej de facto delegalizującym aborcę w Polsce.

– Dzień po tym, kiedy Dawid Podsiadło ogłosił zamiar dokonania apostazji, oglądalność mojej strony wzrosła dziewięciokrotnie! – mówi Krzysztof Gwizdała, prowadzący serwis Apostazja.eu, na co dzień dziennikarz lokalnego portalu w Bolesławcu. Na Apostazja.eu można znaleźć wszelkie informacje praktyczne, odpowiedzi na pytania i wątpliwości oraz generator oświadczenia woli – pisma niezbędnego do dokonania apostazji. – Tylko tamtego jednego dnia wygenerowano ich 1,5 tys.

A kiedy fala zaczęła opadać, podbił ją kolejny popularny muzyk Tomasz Organek. – Bo mnie z tym Kościołem nic nie łączy oprócz pewnych wspomnień, tradycyjnych obrządków, które tam były w domu czy miejscowości – mówił Interii. – Kościół jest dla mnie instytucją, z której chcę się wydostać, ponieważ nie chcę autoryzować tego, w jaki sposób jest prowadzony.

Liderowi grupy Organek nie podoba się też stosunek papieża Franciszka do Ukrainy, tuszowanie pedofilii, niejasne sprawy majątkowe. A do tego, choć za młodu był ministrantem, „nigdy nie był w stanie zbudować relacji z Bogiem”.

Organek zdążył załapać się jeszcze do okładowego tekstu „Do Rzeczy”, „Groźna choroba apostazji” – z wizerunkami Podsiadły, Margaret, Artura Barcisia i Agnieszki Włodarczyk. W środku tekst: „W ciągu ostatnich kilkunastu lat opluwanie katolicyzmu stało się w naszym kraju tak powszednie, że dziś zwykle dezawuowanie Kościoła nie wystarcza. Trzeba bardziej zaszokować”.

– Skąd ta histeria? – pytam Tomasza Organka.

– Myślę, że takie wypowiedzi jak moja traktowane są przez stronę kościelną jako atak na instytucję. Absolutyzm moralny, który proponuje Kościół, nie przewiduje wolności wyboru. Może nie mieści się im w głowie, że można się czuć w życiu swobodnie?

I dodaje: – Po mojej deklaracji nie spotkałem się z wielkim ostracyzmem i agresją. Owszem, przyszło kilka maili, których autorzy wywodzili, że nie wiem, o czym mówię, ale jestem do tego przyzwyczajony. Najbardziej rozbawiły mnie oskarżenia, że jadę na popularności Dawida, że próbuję się wybić na jego plecach.

UNIKAM SŁOWA NA „A”

Tymczasem wracamy pod „mój” kościół jezuitów w Warszawie. Zanim tu przychodzę, sprawdzam jeszcze „recenzje” parafii w serwisie, w którym apostaci mogą zostawiać swoje rekomendacje lub ostrzeże-

nia. „Proboszcz załatwił sprawę niezwykle szybko. Nie próbował mnie odwiedzić od decyzji. Życzył wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Przypomniiał o możliwości powrotu np. w obliczu śmierci” – zachwala ktoś.

Kiedy wchodzę do kancelarii, podświadomie zamieniam się w petenta dziekanatów, rektoratów, sądów. Człowiek po drugiej stronie biurka jest około pięćdziesiątki, ma miłą, inteligentką powierzchowność, no i sutannę. Na biurku leży księga intencji; dzisiejszy dyżur nie był chyba zbyt intensywny, bo na dwóch stronicach dostrzegam tylko jeden wpis. Za księdzem z papierami krząta się starsza pani. – Dzień dobry, chciałbym złożyć oświadczenie woli wystąpienia z Kościoła – mówię, samemu nie wiedząc, dlaczego unikam słowa na „a”.

Pracownica patrzy na mnie z chłodnym dystansem, może z lekką niechęcią. Ksiądz prosi o dowód. Starsza pani odnajduje w szafie, która okazuje się kartoteką parafian, kartę właścicieli mojego mieszkania i podaje księdzu, który coś na niej notuje.

Jezuita zaprasza mnie do drugiego pokoju. Na biurku krucyfiks i gargantuicznych rozmiarów Biblia, na szafce obrazek z Janem Pawłem II. Ksiądz ogląda świadectwo chrztu. Prosi o trzy egzemplarze oświadczenia woli. Wygenerowałem wniosek ze strony Apostazja.eu, ale ostatecznie napisałem własny tekst: „Świadomie, z własnej i nieprzymuszonej woli, występuję z Kościoła katolickiego. Wiem, co ta decyzja oznacza. Podjąłem ją dawno temu i przez długie lata nie zmieniłem zdania. Proszę o jej uszanowanie i dokonanie odpowiednich zmian w księdze chrztu. Dziękuję. Załączam odpis świadectwa chrztu”.

Podczas jednej z niezliczonych przeprowadzek wpadł mi w ręce odpis aktu chrztu, sporządzony na potrzeby pierwszej komunii.

W końcu to zrobię

Duchowny czyta, wyciąga kartkę z napisem „APOSTAZJA”, informuje, z czym wiąże się wystąpienie z Kościoła i że zostaje obłożony ekskomuniką.

– Proszę księdza, ja to wiem, czytałem dekret Episkopatu – przerywam.

– Aha – mruczy ksiądz i od tego momentu zatrzymuje się tylko na najważniejszych punktach ściąg. Że rezygnuję z sakramentów, że nie mogę być członkiem organizacji kościelnych i że rezygnuję z katolickiego pogrzebu. – Właśnie, czy może pan dopisać na oświadczeniach: „Rezygnuję z pogrzebu kościelnego”? – prosi. Pi-

sze to z rozkoszą, bo najmocniej prześladowa mnie właśnie wizja księdza wyśpiewującego nade mną coś o anielskich orszakach. Wystarczy, że mój ojciec i dziadek zostali pochowani po katolicku, choć z pewnością nie byłoby z tego powodu najszcześniejsi.

Proboszcz informuje mnie, że gdybym się jednak rozmyślił, do Kościoła mogę wrócić, a na łożu śmierci to nawet ekspresowo. Sprawdza dane, przybija stemple, kładzie zawijasy podpisów. Jedno oświadczenie woli wraca do mnie, inne polecą do kurii w Łodzi, która zleci parafii, w której zostałem ochrzczony, zaznaczenie apostazji w księgach.

– A czy teraz nie powinien aby nastąpić moment, w którym duszpasterz namawia mnie do pozostania na łonie Kościoła? – dopytuję.

– Napisał pan, że jest pan świadomy konsekwencji i że podjął tę decyzję dawno temu.

ZEUS I BUDDA

To prawda. U pierwszej komunii byłem, a wcześniej u spowiedzi („Nigdy nie byłeś aż tak błądy” – powiedziała mama, przytulając mnie po odbiorze z konfesjonału, gdzie obdarzyłem księdza wiedzą o tak ważnych przewinach jak niesłuchanie pani ze świetlicy). Jako tzw. piątkowy uczeń czytałem nawet w baraku, który robił na moim blokowisku za tymczasowy kościół, jakiś fragment Biblii, ale przejęzyczyłem się i „kapłana” zamieniłem w „kalpana”. Próbowałem iść dalej, ale byłem zestresowany i ciągle wychodził mi ten „kalpan”...

Wiarę utracilem gdzieś w połowie podstawówki, bez żadnego specjalnego przełomu. Chyba po prostu uznałem, że skoro jest jakiś buddyzm, był jakiś Zeus, skoro mam kolegów o żydowskich korzeniach, a samych Kościołów chrześcijańskich jest multum, to dlaczego akurat papież ma być nieomylny? A może jakiegoś jednego Boga wcale nie ma? I dlaczego właściwie Bóg ma być facetem? – zastanawiałem się i nie było to wcale bezzasadne pytanie, bo i mnie, i multum moich znajomych wychowywały samotne kobiety.

Za zadawanie takich pytań katechetyka rzuciła we mnie kredą i pokrowcem na okulary. Kolejna desperacko próbowała zacytować lekcję religii od modlitwy, ale nas, siódmo-, ósmoklasistów, bardziej od tajemnic bolesnych interesowało robienie sobie kawałów albo gra w piłkę kapslem na końcu sali. Opóźnienia w rozporządzeniu katechety z powodu braku dyscypliny klasowej notowałem na końcu zeszytu od religii. Rekord wyniósł 42 minuty.

W pierwszej klasie liceum mieliśmy wspaniałego księdza, zresztą jezuity z mojej „chrzcielnej” parafii. Cóż to były za lekcje! Odgrywaliśmy śluby, żartowaliśmy, urządzaliśmy psychodramy, decydowaliśmy się na ciężkie wyznania – pamiętam płaczące z emocji koleżanki. Ksiądz jednak coraz częściej przychodził na lekcje, rozczajając wokół siebie charakterystyczną aurę. Wiedzieliśmy, co to za zapach. Mieliśmy po 16 lat i byliśmy pewnie ostatnim rocznikiem, który umiał sobie po lekcjach czas tanim winem; następne, już gimnazowe roczniki szły w browary i trawę. Tak bogaciła się Polska.

Fajny ksiądz pojawiał się coraz rzadziej, aż w końcu gruchnęła wieść, że przenieśli go na drugi koniec Polski. Nowy stosował bardziej konwencjonalne metody nauczania. Efekt był taki, że 30 z 36 uczniów mojej klasy wypisało się z religii. Ja też – i na tym właściwie skończyły się moje relacje z Kościołem katolickim. Dlaczego więc miałbym być jego członkiem?

– Co za czasy, żeby jezuici ułatwiali ludziom wyjście z Kościoła... – wzdycham.

Ksiądz łapie żart, ale nie wychodzi z roli: – Po prostu się rozchodzimy. I tyle.

– A jak ksiądz to widzi? Jest faktycznie ta fala apostazji?

– Trudno powiedzieć, bo jestem tu dopiero od roku. Wiem, że mój poprzednik

miał około dziesięciu przypadków po wydarzeniach z 2020 r.

– Strajk Kobiet?
– Tak. Potem był jeden przypadek. No i teraz znów kilka.
– Fala po Podsiadle?
– Tak. Wszyscy przyjezdni spoza Warszawy.

Wychodzę z kancelarii. Czuję, jak wzbiera we mnie dziki entuzjazm. Pędzę do swojego mieszkania, zamykam drzwi i wydieram się na cały głos: „Zrobiłem tooo!”.

RODZICE KIBICUJĄ

Nie wszystkim poszło tak lekko. – W mailach ludzie piszą mi o księżach, którzy ich unikali. Albo odmawiali apostazji bez podania przyczyny – mówi Gwizdała. – Sam dokonałem apostazji w 2016 r. Ksiądz próbował wywołać we mnie poczucie winy, pytając: „Co rodzice powiedzą?”. Jak się to ma do „miłości i roztropności”, z jaką ksiądz ma zachęcać mnie do rezygnacji z apostazji?

Pytanie „A co na to wasi rodzice?” usłyszał też Mateusz Pakuła, dramatopisarz, który w zeszłym roku zadebiutował jako prozaik głośną książką o umieraniu swego taty pt. „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”. O swojej apostazji opowie w kolejnej książce, tym razem komiksowej; „Musicale kwantowe” ukażą się na początku 2023 r. Z Kościoła wystąpił razem z żoną w Woli Justowskiej, willowej dzielnicy Krakowa.

Pakuła przedpremierowo pokazuje mi książkę. „Proszę pana, my mamy prawie po czterdzieści lat!” – odpowiadają z żoną na pytanie księdza o rodziców. „Moi rodzice nam kibicują”.

Pakuła: – Żałuję, że to trwało tak długo, ale takie są skutki indoktrynacji, której byłem poddawany w rodzinie, jak większość Polaków. Czy wiesz, że dopiero jako dorosły człowiek spotkałem ludzi, którzy nie byli wychowywani religijnie? Starszego syna zdążyliśmy jeszcze ochrzcić, dziesięć lat temu. Ale potem, za sprawą lektur, rozmów, przemyśleń, zaczęliśmy tracić wiarę. I drugiego syna już nie chrzciliśmy, co w naszym kraju jest jeszcze większym skandalem niż apostazja, bo przecież pozbawia się dziecka świętej ochrony. Przy okazji jakiejś rodzinnej uroczystości moja mama zresztą spontanicznie ochrzciła syna, kropiąc go wodą święconą, „bo co, jak coś się stanie?”. Ta sama, która dziś rozważa apostazję.

W „Musicalach kwantowych” Pakuła relacjonuje wyprawę jego matki do kieleckiej katedry po akt chrztu syna. „Czy pani wie, że on nie zostanie zbawiony?! – warczy na nią ksiądz. – Pójdzie do piekła! Będzie potępiony w piekle! Na wieczność! I jest to pani wina! Pani grzech! Jakżeś go pani wychowała?!”.

O swojej apostazji opowiada mi też inny człowiek teatru Jędrzej Piaskowski. Dokonał jej w tej samej dzielnicy co ja, dwa kościoły dalej. – Od nastoletności nie podzielałem światopoglądu Kościoła i tzw. wiary katolickiej, więc chciałem po prostu żyć w zgodzie z tym, co myślę i wyznaję – tłumaczy, zaznaczając, że samych wierzących szanuje, a „nauczanie Jezusa ceni bardzo wysoko”. – Bezpośrednim impulsem do wystąpienia były wypowiedzi hierarchów dehumanizujące i sprowadzające do poziomu stada baranów ludzi o odmiennych niż heteroseksualna. Wtedy, w 2020 r., coś się we mnie przelało. Do tego ten cały mariaż tronu z ołtarzem i roszczenie sobie prawa do wpływu na życie ludzi.

Dlaczego uprzywilejowani finansowo panowie, którzy nie mają zielonego pojęcia o tym, jak wygląda świeckie życie w Polsce w XXI w., mówią nam, jak mamy żyć?

Piaskowski nie wiedział, jak dokonać apostazji, więc po prostu zapytał o to proboszczą. – Ksiądz poinstruował mnie, że bym tylko „się nie rozpisywał” w oświadczeniu woli. A ja właśnie chciałem, by moje zdanie na temat Kościoła na wieki zna-

lazło się w kościelnych archiwach – wspomina Piaskowski. – Napisałem dwie strony A4 uzasadnienia, w którym opisałem swój stosunek do Kościoła. Kiedy ksiądz je zobaczył, spojrzał na nie z cierpieniem podsztytym cichą ironią. Zapoznał się z treścią i powiedział: „Przez pana musiałem to wszystko przeczytać”, a potem zapytał oskarżycielsko: „Dlaczego nikt z was, gdy tu przychodzicie, nie powie mi, że odchodzi z Kościoła dla jego dobra?!”. Byłem oszołomiony, dopiero po wyjściu zrozumiałem, co oznacza. Po pierwsze, że w mniemaniu księdza Kościół to twierdza, a wokół trwa obłężenie jakichś „onych”. Po drugie, w Polsce nie ma rzeczywistości bez Kościoła do tego stopnia, że nawet apostaci powinni odchodzić z Kościoła dla jego dobra! Takiej mentalności chciałem się sprzeciwić, więc w sumie ksiądz, chcąc mi podstawić na odchodne nogę, de facto zrobił mi prezent i potwierdził słuszność mojej decyzji.

NIEWIERZĄCY ANTYAPOSTACI

Kiedy opowiadał o własnej apostazji albo o tym, że przygotowuję tekst na jej temat, słyszę: „Serio zajmujesz się jakimiś kościelnymi głupotami? Przecież to nie twoja wiara, że starzy cię ochrzcili”, „To tylko jakieś papiery, co mnie to w ogóle obchodzi”, „Chciało ci się?!”.

Dobrze tę argumentację zebrała pisarka Sylwia Chutnik: „Część znajomych uważała, że to nie ma sensu, bo nie należy podporządkować się prawu narzuconemu. Grać w cudzą grę i tłumaczyć z czegoś, co jest prywatne. »Robiąc apostazję, przyznajesz, że wierzysz w te całe szopki«”.

Przykład? „Sam nie dokonałem aktu apostazji, nie zamierzam tego robić, a mimo to nie czuję się częścią Kościoła katolickiego oraz nie uważam, aby ktokolwiek miał prawo mnie do niego jakkolwiek przypisywać” – ogłosił Błażej Lenkowski, prezes Fundacji Liberte!, dyrektor Igrzysk Wolności w Łodzi.

– Rozumiem ten punkt widzenia – przyznaje Gwizdała. – Ale ważne są też symbole. Przecież cały Kościół opiera się na symbolach. Dokonując apostazji, mówię: „Nie zgadzam się z wami”. Kościół odnotowuje to we własnych statystykach. Dają tym samym symboliczny, ale ważny przykład.

Zawyżanie statystyk było też ważne dla Mateusza Pakuły. Ale nie tylko. – Z jednej strony robisz to dla siebie, by uporządkować własne życie, z drugiej to manifest: nie chcę mieć z wami nic wspólnego – mówi. – U nas motorem napędowym była Zuzia. Bardzo potrzebowała odciąć się od kolejnych fatalnych rzeczy, które wydarzały się w Kościele: skandali pedofilskich i finansowych, gangsterskich dealów z Rydzykiem, zakazu aborcji, nagonki na LGBT i in vitro. Ja długo się ociągałem, myśląc: „A po cóż mi ten papier?”. Wszystko zmieniła śmierć mojego ojca i praca nad książką o jego umieraniu. Zrozumiałem, że wiele zła, z którym się przy tej okazji zetknąłem, ma źródło w tzw. wartościach katolickich, które są nam narzucane na prawa konstytucyjne. Przykład? Podejście do eutanazji.

– Jasne, że apostazja to granie w grę Kościoła. I co z tego? Codziennie gramy w cudze gry, chociażby idąc do urzędu czy do sklepu – uważa Jędrzej Piaskowski. – Hierarchowie codziennie powinni być konfrontowani z faktem, że w Polsce żyją setki tysięcy, jeśli już nie miliony ludzi, którzy sprzeciwiają się ich wpływowi na życie świeckiego państwa i jego obywateli.

MŁODZI W POTRZASKU

Liberał Błażej Lenkowski w przytoczonym wpisie zaproponował dokonanie przewrotu kopernikańskiego w statystykach. „Oczywistym wydaje mi się, że osoba pełnoletnia powinna w sposób czynny potwierdzić chęć przynależności do danego

Kościoła. (...) Sądzę, że prawo na poziomie państwa powinno tę sprawę w nowoczesny sposób regulować. Jeśli dorosła osoba nie zadeklarowała chęci udziału w danej organizacji, nie może być uważana za jej część i powinna nie mieć skąd się wypisywać”.

– To nie jest fantazja – Lenkowski rozwija myśl w rozmowie z „Wyborczą”. – To jest jak najbardziej do zrobienia. Wraz z osiągnięciem pełnoletności obywatel mógłby dokonać aktu zapisania się do konkretnej instytucji religijnej. W jaki sposób byłoby to zorganizowane, to już sprawa wtórna. Jeśli ktoś chce należeć do Kościoła – OK, a jeśli nie, to nikt nie ma prawa go w tej organizacji trzymać.

Krzysztof Gwizdała zwraca uwagę na inny problem: apostazję ludzi poniżej 18. roku życia. Zwłaszcza że przez polskie szkoły przechodzi tsunami rezygnacji uczniów z uczestnictwa w lekcjach religii. – Ochrzczeni, ale niewierzący młodzi są w potrzasku. Według dekretu Episkopatu z Kościoła mogą wystąpić tylko pełnoletni. Nie ma jednak żadnej procedury przewidującej wypisanie dziecka przez rodziców. Każdy ochrzczony musi być więc członkiem Kościoła do 18. urodzin. A to przecież niezgodne z konstytucją, która gwarantuje każdemu prawo do wolności wyznania.

Prowadzący stronę Apostazja.eu od lat dostaje maile od nastolatków i ich rodziców. – Pisałem w tej sprawie do Rzecznika Praw Obywatelskich i Rzecznika Praw Dziecka – mówi. – Z biura RPO odpisali, że znają temat, ale nic nie mogą zrobić, bo zajmują się wyłącznie relacjami obywateli z instytucjami publicznymi. Ludzie Rzecznika Praw Dziecka długo mnie zlewali, aż poinformowali, że nikt takiego problemu nie zgłaszał. – Niech sobie Kościół istnieje, ale chcę, by był traktowany jak każda inna instytucja w tym kraju. Żeby księża podlegali normalnej odpowiedzialności karnej, płacili takie same podatki i składki jak inni obywatele i nie byli faworyzowani przy obrocie ziemią. Zbiórki pieniędzy w Polsce podlegają regulacjom prawnym, tymczasem w Polsce Kościół codziennie przeprowadza tysiące niekontrolowanych przez nikogo zbiorów w ramach tzw. tacy.

I potem jest tak jak u nas, w Bolesławcu: ksiądz za te pieniądze jeździ z młodym kochankiem na wakacje, kupuje mu ubrania Versace. To nie ploty, proszę pana, znam osobiście i księdza, i kochanka.

ODWAGĄ JEST BYCIE KATOLIKIEM

Marek, tak jak Jędrzej Piaskowski i Mateusz Pakuła, jest moim rówieśnikiem. Naprawdę nosi inne imię, ale jest księdzem i o zgodę na wypowiedź dla „Wyborczej” musiałby wystąpić do kurii, a nie chce nam się w to bawić. Pełni posługę w średniej wielkości mieście w centralnej Polsce.

– Pierwsza myśl, która mi przychodzi do głowy, gdy słyszę „apostazja”? Że to wcale nie jest zjawisko masowe – mówi. Próbuje policzyć apostatów, których „obsługiwał”, i wychodzi mu, że było ich plus minus pięcioro. Rocznie daje to jeden, dwa przypadki. – Ale na pewno są osoby, które dokonują „cichej apostazji” – po prostu przestają przychodzić do kościoła, ale nie występują w sposób formalny.

Co czuje, gdy spotyka w kancelarii kandydata na apostatę? – Nigdy nie spotkałem się z wrogością czy jawną niechęcią wobec Kościoła. Sam staram się być grzeczny i kulturalny, choć to spotkania trudne i bolesne. Od razu chcę porozmawiać, zapytać o motyw, a może nawet spróbować nakłonić do przemyślenia raz jeszcze swojej decyzji. Budzi się we mnie misjonarski zapał, by człowieka zatrzymać w naszej wspólnotcie... Niestety, ludzie są oszczędni w wyjaśnianiu przyczyn. Traktują mnie raczej jak urzędnika, z którym trzeba załatwić sprawę. Szanuję to, bo zakładam, być może naawnie, że decyzja o apostazji jest jednak czymś trudnym i w pewnym sensie drama-

tycznym dla człowieka. Może chce on też coś przez apostazję pokazać?

Po wyjściu apostaty z kancelarii jest księdzu Markowi smutno. Zastanawia się, co Kościół robi źle i co może poprawić, aby apostazji było jak najmniej. – Nie chodzi o spadające statystyki; patrzę na to od strony duchowej. Apostata będzie odcięty od wielu dobrych rzeczy i rzeczywistości, które daje Kościół. Na przykład sakramentów. Oczywiście wiem, że wielu apostatów wcale nie traci wiary, tylko denerwuje i rozcza-

Opluwanie katolicyzmu stało się w naszym kraju tak powszednie, że dziś zwykle dezawuowanie Kościoła nie wystarcza

rowuje ich Kościół jako instytucja. Ale dla mnie oczywiste jest, że chrześcijaństwo ma najgłębszy sens wtedy, kiedy człowiek trwa we wspólnocie Kościoła. Nie wyobrażam sobie wierzenia w Boga bez Kościoła. Cała nasza wiara opiera się na tym, że tworzymy wspólnotę: najważniejszy jest oczywiście Jezus, ale on sam chciał, żebyśmy tworzyli wspólnotę Kościoła – wyjaśnia, przeprasząc mnie za „teologiczną nowomowę”.

Zdaniem ks. Marka apostazja jest dziś trendy. – Głośno odejścia celebrytów mogą tę modę podtrzymywać, zwłaszcza wśród młodych – uważa, ale osobiście nie przecenia znaczenia tych gestów. Jest też rozczarowany „mainstreamowymi mediami”: wiem, że pije także do mojego tytułu. – Nie ma równowagi w opisywaniu życia Kościoła i jego ludzi. O każdej złej rzeczy, osobie i zjawisku pisze się obszernie na jedynce, a o dobrych – zdecydowanie mniej.

Można odnieść wrażenie, że w Kościele nie ma absolutnie nic i nikogo dobrego, szlachetnego. Jak ludzie mogą chcieć być w takim Kościele?

Jego zdaniem trendy na pewno nie jest dziś przyznawanie się do Kościoła. – Porozmawiaj z młodymi katolikami działającymi we wspólnotach czy nawet chodzącymi na religię! Zobaczysz, ile w nich poczucia, że są dziwakami, „moherami” i „katotalibami”. Dzisiaj to chrześcijaństwo zaczyna być, a może już jest, kontrkulturowe.

Z OPŁATKIEM CZY BEZ

Jak święta spędzą apostaci i apostaci in spe? Jędrzej Piaskowski: – Zobaczę jakiś film, popracuję nad scenariuszem, program na fortepianie. Kreatywny relaks. Barszcz. U nas w domu święta od dziesięcioleci miały charakter wybitnie świecki, z elementami tradycji minimalizowanej do rodzinnego spotkania i odpoczynku. Mam jednak cichą nadzieję na jakieś nieoczywiste spędzenie świąt. Może zdarzy się jakaś randka?

Organek: – Z rodziną i bliskimi. Jest choinka, prezenty, barszcz itp., ale nie jest to dla mnie w żadnej mierze przeżycie metafizyczne czy religijne.

Miłość i bliskość to dla mnie uczucia, które lokuję na Ziemi, tu i teraz, z tymi, których kocham. Innych światów nie znam.

Gwizdała: – To dla mnie czas odpoczynku, spotkania z rodziną, przyjaciółmi i znajomymi. Nie ma w moich świątach nic z religii, bo historia o narodzinach boga Jezusa to mit.

Pakuła: – Jasne, że będzie choinka, ale kolęd śpiewać nie będziemy. Spotkamy się całą rodziną: będą apostaci, wierzący niepraktykujący oraz mocno wierzący – jak

moja siostra z jej mężem. Życzenia sobie złożymy, ale opłatkami nie będę się z siostrą łamał, w zeszłym roku, już po apostazji, także tego nie robiłem. Ale synom nie zabraniam, nie ma co przeginać w drugą stronę.

Na wszelki wypadek o to, jak powinni spędzać święta Bożego Narodzenia apostaci, spytałem niezwykle popularnego w ostatnich tygodniach bota ChatGPT. To program, w którym rozmawia się ze sztuczną inteligencją.

Oto odpowiedź: „Każdy ma prawo do własnego wyboru, jeśli chodzi o to, w jaki sposób chce spędzić święta Bożego Narodzenia. Niektórzy mogą wybrać spędzenie czasu z rodziną i przyjaciółmi, inni zaś mogą zdecydować się na wolontariat lub podróż. Ważne, aby robić to, co daje nam radość i sprawia, że czujemy się dobrze. Każdy sposób spędzenia świąt jest dobry, jeśli czujemy się z nim dobrze”. Amen.

Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego podaje, że w latach 2006-09 apostazji dokonało 1057 Polek i Polaków. W 2010 r. – 459. Potem „w związku ze stosunkowo niewielką skalą zjawiska – czytamy na stronie Instytutu – ISKK nie kontynuował prac badawczych aktów apostazji w Polsce”.

W ostatnich latach niektóre kurie informowały o liczbie dokonanych apostazji. Np. między styczniem a listopadem 2020 r. w obu warszawskich archidiecezjach apostazji dokonało 587 osób, mniej więcej dwukrotnie więcej niż rok wcześniej. W poznańskiej w całym roku 2020 – ok. 370, a w krakowskiej – 445.

Jakiegoś wyobrażenia o zainteresowaniu apostazją dostarcza licznik wygenerowanych oświadczeń woli ze strony Apostazja.eu – pokazuje 42 tys. wniosków. Z kolei już 2,8 tys. osób zrecenzowało swoją apostazję na stronie MapaApostazji.pl.

W spisie powszechnym z 2011 r. przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego zaznaczyło 87,58 proc. Jako „nienależący do żadnego wyznania” określiło się 2,41 proc., a odpowiedzi odmówiło 7,1 proc.

Najgorliwsi katolicy mieszkają w diecezjach: tarnowskiej (70,8 proc.), rzeszowskiej (62,1 proc.) i przemyskiej (58,5 proc.). Najrzadziej formalni katolicy chodzą do kościoła w diecezjach: szczecińsko-kamieńskiej (23,3 proc.), łódzkiej (23,6 proc.) oraz koszalińsko-kołobrzeskiej (23,8 proc.).

Według danych CBOS z maja 2022 r. już jedna czwarta osób w wieku od 25 do 34 lat w ogóle nie chodzi do kościoła. ●

Z JACKIEM DUBOIS*
ROZMAWIA AGNIESZKA KUBLIK

Panie mecenasie, jaki dziś jest prestiż prawa?
– Prestiż prawa jest odbiciem prestiżu państwa i społeczeństwa.

I instytucji prawa...

– ...więc jaki prestiż? Niedawno w felietonie opisałem wyrok z lat 90., gdy jakiś rozdrażniony oskarżony został skazany za nazwanie sądu cyrkiem, a sędziów kłownami. W tej chwili kłowni powinni pozwać kogoś, kto by ich nazwał sądem, bo doszło do zdeprecjonowania wymiaru sprawiedliwości.

Podstawowy problem to brak autorytetów. Zniszczyliśmy je. Oceniamy ludzi wyłącznie przez pryzmat tego, jakie stanowisko zajmują, czy zostali obsadzeni przez dobrą zmianę czy nie. To tragedia.

Pełniący funkcje ministerialne, czyli cały establishment Ministerstwa Sprawiedliwości, to ludzie nieposługujący się w pracy wiedzą o prawie i zasadami tworzenia prawa. Ta choroba rozprzestrzenia się wszędzie, na prokuraturę, na Trybunał Konstytucyjny, na sądy.

Nie jest przeciwnie? Że umiejętnie posługują się prawem, bo skutecznie z ich punktu widzenia?

– Jeżeli byśmy mieli mecz bokser-ski, w którym jeden z bokserów zakłada kastet zamiast rękawicy, to on wygrywa.

Powinien zostać zdyskwalifikowany.

– Ale nie ma prawdziwego sędziego. W normalnym państwie sędzią jest Trybunał Konstytucyjny, sędzią jest sąd rejonowy, okręgowy, najwyższy. Teraz te instytucje często tracą walor bezstronności. Mówię o ich nowych obsadach. Przestaliśmy mieć kontrolera ustaw, bo w zasadzie parlament jest w stanie puścić wszystko w obieg.

Mają mandat wyborczy. Widać walenie kastetem w przeciwnika działa.

– Oczywiście, że ludzie, którzy wygrywają, mają prawo tworzyć państwo według swojego modelu, ale w ramach konstytucji i poszanowania prawa mniejszości.

Lecz podobne procesy – gdy ludzie zyskują poparcie, choć posługują się przestępstwem, po czym korzystając z mandatu, naruszają kolejne normy – zachodzą w Stanach, w Izraelu, w Brazylii. To nie jest syndrom polski: przypomnę szturm na Kapitol.

U nas szturm na Sejm nie było. Kaczyński i Duda rządzą drugą kadencję.

– Opozycja nie potrafi walczyć z populizmem.

Populizm może iść w kierunku terroru albo populizmu rozdawczego. My mieliśmy populizm rozdawczy. Dlatego protestowała garstka tych, którzy postrzegają historię jako proces, widzą powtarzalność zjawisk, natomiast dla przeciwnego zjadacza chleba liczyły się korzyści ekonomiczne. Jedynym antidotum była trafa diagnoza.

Nie mamy jej?

– Opozycja po pierwsze działa, opierając się na negacji, a po



PRZESTAŃMY ŚMIAĆ SIĘ Z PiS

Zaostrzenie kar to moment, kiedy człowiek przestaje szanować państwo

drugie nie jest w stanie się połączyć, czyli daje władzy przestrzeń na populizm.

No i mamy kolejną populistyczną zagrywkę. Właśnie zaostrzyli kodeks karny, wprowadzając m.in. bezwzględne dożywocie, choć jest zakazane w Europejskiej Komisji Praw Człowieka. Duda to podpisał mimo apelu aż 173 ekspertów od prawa prawnego.

– By zostać przy sportowych analogiach – to celowe nieczyste zagranie, zwykły faul. Prawa używa się jako narzędzia politycznego? Te zmiany niszczą prawo, ale podobają się elektoratowi rządzących.

Oglądał pan noworoczne orędzie prezydenta?

– Nie, odpuszczam sobie takie przyjemności.

Ja nie. O kompromisie z UE mówił tak: „Zakończenie tego sporu leży zarówno w interesie Polski, jak i Unii Europejskiej jako wspólnoty. Bo w tych trudnych czasach najważniejsza powinna być jedność. Ale to musi być mądry i uczciwy kompromis, który nie narusza zapisów konstytucji i gwarantuje bezpieczeństwo prawne Polaków”. Duda broniący konstytucji. To pana bardziej irytuje czy śmieszy?

– Patrząc na to z punktu widzenia socjologii. Napoleon mówił, że powtarzanie czegoś po wielokroć

jest najlepszą figurą retoryczną. A kłamstwo wielokrotnie powtarzane staje się prawdą.

Sprytny złodziej krzyczy: „Łapać złodzieja!”.

– Ależ to najskuteczniejsze działanie w ramach samoobrony. W tej organizacji – mówię o PiS – przyjęto jako metodę działania przypisywanie sobie tych wartości, które najbardziej się niszczy i burzy, licząc na nieumiejętność dokonywania ocen przez elektorat. I walka jest o ten elektorat, który nie do końca jest w stanie połączyć zdzierzenia.

Socjolog prawa Adam Podgórecki w latach 60. analizował prestiż prawa i wyszło mu, że wysokie kary podnoszą go w tych grupach społecznych, które dziś popierają PiS – najstarsi, niewykształceni, ze wsi, małych miast.

– Oczywiście, że jest duża grupa wyborców, która chce, by było dożywocie, a nawet kara śmierci. To prezent dla nich. Zapewne z tych powodów sam premier stał się zwolennikiem kary śmierci.

Bo uwierzyli, że trzeba zaostrzyć kary, bo sądy orzekają zbyt łagodnie.

– Cała współczesna nauka wskazuje, że zaostrzenie kary nigdy nie skutkowało spadkiem przestępczości, a wręcz przeciwnie, to jest moment, kiedy się przestaje szanować państwo, bo ono staje się

nie przyjacielem, tylko naturalnym wrogiem. Na końcu tej drogi możemy dojść do stanu jak w PRL, kiedy państwo było naturalnym przeciwnikiem człowieka samodzielnie myślącego, a milicjant był wrogiem praworządnego obywatela, bo miał niekontrolowaną władzę.

Sądy naprawdę nie orzekają zbyt łagodnie?

– Nie odpowiem. Bo nie da się przyłożyć jednej miarki do każdego. Są sądy bardzo surowe i są czasem zbyt łagodne.

Są głośne sprawy, gdy np. dochodzi do bardzo brutalnego gwałtu, a potem przestępca wychodzi.

– Tylko że te sytuacje na ogół nie są wynikiem łagodnego orzekania. Zaczyna się od tego, że prokuratura wypuszcza w przestrzeń publiczną fałszywy obraz sprawy. I nikt już nie słucha uzasadnienia, tylko skupia się na wyroku.

Jeżeli prokuratura mówi, że był brutalny gwałt, a wyrok jest w zawieszeniu, to może poruszyć opinię publiczną. Tylko czy opinia publiczna zna tło? Miałem sprawę, gdzie było 26 zarzutów przestępstw o charakterze seksualnym, a skończyło się na 5 tys. grzywny. I to był surowy wyrok wobec rzeczywistych zwinień.

Nie był gwałcicielem?

– Nie był, padł ofiarą pomówień, a prokuratura nie potrafiła prawidłowo ocenić dowodów.

Są przypadki, że sąd kogoś wypuszcza, a potem on zabija rodzinę.

– Są. Błędna decyzja sądu nie może skutkować zmianą całego prawa. Bo idąc tym tokiem myślenia, możemy stwierdzić, że człowiek, który ukradł dzinsy w sklepie, po odbyciu kary może te dzinsy ukraść ponownie. Więc można oczywiście zapobiec tej kradzieży poprzez jego wyeliminowanie w ogóle ze społeczeństwa, czyli skazanie go na dożywocie. Nie surowość kary, tylko jej nieuchronność działa odstraszająco. A tu PiS zrzucał wymiar sprawiedliwości, bo na orzeczenie czeka się teraz dużo dłużej.

Populizm prawniczy, jaki uprawia PiS, jest znany od tysiącleci, bo każda władza autorytarna powtarza to samo hasło: surowsze kary. Na populizmie penalnym tak naprawdę zrobił karierę pan Lech Kaczyński, potem pan Ziobro.

Tylko że spadek przestępczości wynika z dojrzewania społeczeństwa, bogacenia się, większego szacunku dla wolności. I tego, że zmienia się charakter przestępczości – jest mniej zabójstw, rozbojów, działań z użyciem przemocy, za to mamy przestępczość komputerową, narkotykową, seksualną. I to jest trend na całym świecie.

Trudno będzie przekonać społeczeństwo, że potrzebujemy dyskusji i edukacji, a nie

• **Lipiec 2017 r., podczas masowych protestów w obronie niezależności sądownictwa młodzi manifestanci ustawili w poprzek Wiejskiej kontener na śmieci, blokując wyjazd z Sejmu**

FOT.DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

ostrzejszych kar. Nie cenimy dzisiaj sędziów.
– Nie tylko dzisiaj. Sądy z automatu są skazane na dużą niechęć. W sądzie zawsze jest spór, obie strony uważają, że mają rację, więc zawsze po wyroku 50 proc. będzie niezadowolonych.

To teraz będzie jeszcze gorzej. Bo przed erą PiS, idąc do sądu, nie sprawdzał pan, czy ma do czynienia z sędzią czy z neo-sędzią. I nie zakładał pan, że jeśli z neo-sędzią, to on może być niekompetentny. Albo nie być bezstronny.
– Co oczywiście może być mylące, bo jest bardzo wielu neo-sędziów, którzy są bardzo porządnymi, świetnymi, merytorycznymi ludźmi.

Ale jednak ma pan tę wątpliwość, gdy wchodzi na salę sądową.
– Mam.

Lecz ta choroba wymiaru sprawiedliwości trwa już siedem lat. Naturalne, że przez ten czas ludzie dojrzewają, zdobywają doświadczenie życiowe, zawodowe, idą gdzieś wyżej. Jeżeli ktoś przechodzi z sądu rejonowego do okręgowego, a zatwierdza to nielegalny KRS, on siłą rzeczy staje się neo-sędzią.

I akceptuje to.
– Tak. Ale też trudno oczekiwać, że społeczeństwo składa się z samych bohaterów.

Nie chodzi o bohaterstwo, ale o bezstronność. Sędzia, o którym możemy przyjąć założenie, że nie jest bezstronny, niszczy wiarę w sprawiedliwość, nawet jeśli osobiście byłby kompetentny i uczciwy.
– Taki był ich cel. A drugim była wymiana elit. W dziedzinie prawniczej PiS nie miał żadnych rozpoznawalnych nazwisk, więc nie mógł wprowadzić swoich klasycznie, przez rywalizację intelektualną, jedynym wyjściem było zdeprecjonowanie wcześniejszego dorobku prawniczego Rzeczypospolitej. Czyli spostponowanie nazwisk ludzi, którzy robili kariery, tworzyli kapitał intelektualny w wolnej Polsce. Dopiero po powiedzeniu społeczeństwu: „To wszystko złodzieje, ludzie złej woli, w najlepszym razie niekompetentni”, można było wprowadzić ludzi nie rozpoznawalnych i bez dorobku.

Teraz już rozpoznawalnych. Piebiak, Iwaniec, Radzik, Schab... Gdyby pan na sali sądowej zobaczył, że któryś z nich ma rozpatrywać sprawę pana klienta, to od razu wniosek o wyłączenie?
– Tak.
To wszystko jest już tak nieprzewidywalne, że wręcz kabaretowe. Naprawdę człowiek nie jest w stanie przewidzieć, co się stanie.

Na sali sądowej?
– Teraz akurat mówię o Izbie Dyscyplinarnej i sprawie sędziego Igora Tulei. Uważam, że prokura-

torzy, którzy chcą postawić mu w tej sprawie zarzuty, sami weszli w konflikt z prawem karnym.

Zarzut był taki, że zgodził się na udział mediów w posiedzeniu.
– Miał do tego prawo. A prokuratura postanowiła oskarżyć sędziego, zabrać mu immunitet, zrobić mu sprawę karną.

W obronie PiS. Bo Tuleya uchylił decyzję prokuratury, nakazał ponowne śledztwo i pozwolił mediom nagrywać orzeczenie, w którym cytował zeznania złożone w prokuraturze przez posłów PiS. A ci zeznali, że w Sali Kolumnowej blokowano posłów opozycji, że przerabiano protokoły z głosowania i że na sali mogło nie być kworum, bo posłowie ciągle wychodzili na korytarz.
– Dlatego w mojej ocenie mamy do czynienia z przestępstwem prokuratora polegającym na przekroczeniu uprawnień, czyli oskarżeniu osoby niewinnej.
Potem jest jeszcze gorzej.

Zbrodnia sądowa, mówił pan.
– Tak. Bo mamy do czynienia z Izbą Dyscyplinarną i niespodzianką, w pierwszej instancji jest odmowa. Czyli nawet człowiek z tej nowej elity ma na tyle resztek przyzwoitości albo kieruje się strachem przed odpowiedzialnością w przyszłości, że odmawia. Następnie jest odwołanie, trzy-osobowy skład, jeden z członków składa zdanie odrębne, dwie osoby uchyłają immunitet. I tu moim zdaniem mamy do czynienia ze zbrodnią sądową. Jeżeli te osoby nie zostaną w przyszłości postawione przed sądem, to odradzające się państwo prawa straci zupełnie autorytet.

Później jest kwestia zatrzymania Tulei. Członek Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego Adam Roch wydaje świetne, konstytucyjne rozstrzygnięcie, że w ogóle nie ma podstaw do zatrzymania.

„Brak jest możliwości uznania podejrzenia popełnienia przestępstwa przez Igora Tuleyę za dostatecznie uprawdopodobnione”.
– A później nowa Izba Odpowiedzialności Zawodowej w składzie orzekających złożonym z tzw. starych sędziów podtrzymuje to, mówiąc, że nie może być mowy o żadnym przestępstwie. Czyli mamy sytuację, kiedy człowiek nie jest w stanie przewidzieć niczego.

Mówi pan, że wśród nowej elity zdarzają się osoby przyzwoite, mimo że to środowisko pisało o panu między sobą w nieparlamentarnych słowach?
– Świat nie może być traktowany jako czarno-biały i nie można oceniać pojedynczych ludzi przez pryzmat całego systemu, w którym są. Ale tak, pisali o mnie, cytując...

Zna pan na pamięć?
– Nie, mam notatki pod ręką, bo jeżeli kiedyś będę miał przyjemność stanąć przed panem Przemysławem Radzikiem, to będę miał podstawę do złożenia wniosku o wyłączenie. Bo pan Radzik pisał np. tak: „Mecenas Dība to debil wyjątkowy, a ponieważ wyciera se ryja chłopskim mym nazwiskiem, odpowiadam krótko: pocałujże mnie w dupę”. Na to pan sę-

dzia Dariusz Drajewicz: „Bibula, to rasowy debil ek merytoryczny, ale pyskaty”. Radzik odpowiada: „Jaki merytoryczny, nie zna elementarnych przepisów”.
To jest poziom obecnej państwowej elity prawniczej.

Tzw. kasta wypiera się wszystkim. Nie tylko, że istniała, ale nawet, że pisali to, co pisali.
– Wedle zasady „jeżeli cię złapią za rękę, mów, że to nie twoja ręka”. I pan Radzik, i jego koledzy na pewno oglądali kilka gangsterskich filmów.
Problem polega na tym, że nie mogę złożyć wniosku o wyłączenie ze względu na stan intelektualny, bo taka przesłanka w kodeksie nie istnieje. Mogę jedynie stwierdzić, że sędzia nie będzie bezstronny.
Ale mogę się śmiać. Więc można się śmiać z pana Radzika, tak jak śmiejęmy się z komendanta policji z jego wybuchającym granatnikiem.

Tylko że on nadal jest komendantem głównym policji.
– No tak. Pan Radzik, pan Drajewicz, pan Piebiak, pan komendant główny policji, pan Sasin, premier Morawiecki utworzyli model państwa, w którym nie ma poczucia obciachu.
Wie pani, napisałem książkę. „Pożegnanie dobrej zmiany”, ma się ukazać latem, przed wybora-

Zemsta jest najgorszym doradcą. Ma charakter osobisty. Nigdy prawa nie naprawimy zemstą

mi. To satyra polityczna i złapałem się na tym, że piszę tę książkę na pożegnanie, bo jeżeli już wszystkie te komiczne osoby pójdą w niebyt, a niektóre do zakładów penitencjarnych, to nam ich nagle zabraknie.

Serio?
– Tej bezmyślności Sasina, tego lokajstwa Suskiego, tego całego kręku.
Dlatego wydaje mi się, że konieczna jest zmiana narracji. Śmiech oczywiście osłabia, odziera z powagi ten typ ludzi, ale jednocześnie oswaja, ociepla, łagodzi oceny. Czyli musimy mniej się śmiać, a więcej mówić wprost, że mamy do czynienia z gangster-

stwem politycznym. Ze znową w złych zamiarach w elicie władzy.
W mojej książce głównym bohaterem jest postać Prezesa. I to też jest zabawne, że komiczni intelektualnie populiści próbują kreować się na przywódców z cechami nadzwyczajnego wizjonerstwa. Ale zastosuję się do własnej rady i przestanę się śmiać. Otóż wydaje mi się, że pan Kaczyński, który jest twórcą systemu, ma świadomość swojego zła i tym złem się posługuje w sposób wyrafinowany.

Powiedział pan: będą siedzieć. Wierzy pan w to?
– I tak, i nie. Przede wszystkim nie bardzo wierzę w odpowiedzialność za przekroczenie uprawnień, bo to mogło ulec przedawnieniu. Na przykład Beata Kempa jako szefowa kancelarii premiera nie opublikowała wyroku TK. I niezależnie od tego, czy ocenić jako tylko przekroczenie uprawnień, czy przekroczenie uprawnień w celu osiągnięcia korzyści osobistych, sytuacja wygląda inaczej. Bo jeżeli było motywowane korzyściami własnymi, to się przedawnia po 15 latach, jeżeli nie było, to po pięciu. Nie do końca wierzę też w ich odpowiedzialność konstytucyjną, bo ta przy obecnej ustawie o Trybunale Stanu jest praktycznie nie do wyegzekwowania.
Ale wierzę w odpowiedzialność za nadużycia finansowe.

Czyją? Premiera, ministrów, szefów państwowych fundacji?
– Wszystkich, którzy naruszyli prawo. Na miejscu każdego nowego ministra pierwszą rzeczą, którą bym zrobił, byłby pełen audyt, czyli zbadanie wszystkich przepływów finansowych.
Analizując grzechy obecnej władzy, widzę dwa podstawowe ich rodzaje. Mamy do czynienia z uderzeniem w konstytucyjny ustroj państwa, prof. Wojciech Sadurski nazywał to zorganizowaną grupą przestępczą. Tu chodzi przede wszystkim o działania związane z przekroczeniem uprawnień. Uporządkowanie skutków tego będzie bardzo trudne, bo istnieją instytucje, w których przywrócenie stanu zgodnego z prawem będzie wymagać niezbędnej większości w sejmie: przykłady to KRS czy TK. Ale mamy też zwykłe działania, które będzie można ocenić jako przestępstwa przeciwko mieniu – niegospodarność, przywłaszczanie mienia, tego typu rzeczy.
I to mogą pokazać audyty. Jeżeli od razu do każdego ministerstwa, do każdej spółki państwowej, fundacji wchodzi audytorzy, a gdy wychodzą, natychmiast, gdy jest podstawa, idzie wniosek do prokuratury, to mamy szansę pokazać, co się działo z państwem.

Audyt? Pół roku minimum.
– Można płakać, a można myśleć, co zrobić, i działać. Wierzę, że jeżeli nowa władza pokaże skalę nadużyć, postawi konkretne zarzuty, wiara wyborców tych ludzi posypie się.

Ale po wyborach TVP nadal będzie istniała w obecnej formie i jej przekaz nie zmieni się z dnia na dzień. Nawet jak nowa władza zmieni ustawę o Radzie Mediów Narodowych, to Duda ją zawetuje, a zwycięska obecna opozycja albo się nie dogada i nie będzie większości do oba-

lenia weta (267), albo dogadanie się zajmie jej trochę czasu. A TVP będzie cały czas sączyła, atakowała, kłamała, podkopywała nowy rząd.
– Proszę pamiętać o jeszcze jednym zjawisku – szczura uciekającego z okrętu. Spodziewam się, że piwowi władzy obecnej staną się admirałami władzy następnej. Jak po każdej zmianie rządzących.
I głęboko wierzę, że pojawi się instytucja świadka koronnego, czyli kogoś, kto opíše cały ten system od wewnątrz.

Dzięki czyjejś zemście uda się naprawić państwo?
– Nie dzięki zemście, tylko strachowi. Jeżeli w ministerstwach pojawiają się audyty, to ludzie, którzy pewne rzeczy podpisywali, będą wiedzieć, że na nich spadnie pierwsze prokuratorskie podejrzenie, i zaczną opowiadać, z jakich inspiracji czy poleceń działałi i jaki był rzeczywisty obieg tych pieniędzy. Tak działa świat przestępczy.
A w panu nie ma chęci zemsty za to, że pana nazywają „debilem”?
– Nie.

Uśmiecha się pan.
– Zemsta jest najgorszym doradcą. Ma charakter osobisty. Jestem wielkim przeciwnikiem zemsty, bo uważam, że nigdy prawa nie naprawimy zemstą.
Zresztą nie traktuję pewnych rzeczy osobiście. Bo trudno je traktować osobiście. Pan Radzik był podrzędnym rejonowym sędzią bez żadnego awansu, którego znaczną część wyroków uchylano, środowisko niespecjalnie go szanowało i nagle pojawiła się oferta: niszczyć, ścigać kolegów, a wejdiesz na dziesięć poziomów wyżej, niż mógłbyś dojść normalnie. Więc wszedł w miejsce, które intelektualnie nie pasuje do niego. Podobnie jego koledzy. I używają narzędzi intelektualnie im dostępnych, czyli obelg. A że argument w postaci kaleczenia nazwisk jest objawem pewnej intelektualnej niemocy, to ci ludzie sami sobie wystawiają złe świadectwo, a nie komuś innemu.

Wierzy pan, że pożegnamy się z PiS w tym roku?
– Na pewno się nie pożegnamy, bo to nie jest tak, że coś można unicestwić. Nawet w zdrowym społeczeństwie ugrupowania cynicznie populistyczne utrzymują się na poziomie 10-15 proc. Więc PiS zostanie, jeśli nie ten sam, to jakiś podobny. Ale jeśli uda się sprawić, że poniosą odpowiedzialność za uczynione zło, to przynajmniej PiS jako taki stanie się złym znakiem firmowym. ●



FOT.DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jacek Dubois

• adwokat, publicysta, członek Trybunału Stanu od 2012 r., członek rady Fundacji im. Profesora Bronisława Geremka

CORAZ DŁUŻSZE CHIŃSKIE TORY



Pożyczą Kirgizom miliardy na eksterytorialną kolej, którą wywiozą złoto i aluminium.

Emilia Sułek

Na spotkaniu Szanghajskiej Organizacji Współpracy w uzbeckiej Samarkandzie politycy Kirgistanu, Uzbekistanu i Chin podpisali porozumienie o budowie wspólnej linii kolejowej. Miałaby być częścią południowego korytarza transportowego między Chinami a Europą i Bliskim Wschodem. Z Kaszgaru w Turkiestanie Wschodnim (chińska prowincja Xinjiang) pociągi jechałyby do Taszkentu w Uzbekistanie, a następnie łączyły się z liniami biegnącymi przez Turkmenistan i Zakaukazie. Odcinek chiński i uzbecki są gotowe. Odcinek kirgiski to wciąż brakujące ogniwo. To o ten fragment torów tu chodzi.

Pomysł budowy linii z Chin przez Kirgistan do Uzbekistanu (w skrócie CKU) pojawił się w 1997 r. podczas spotkania Transport Corridor Europe-Caucasus-Asia (TRACECA), eurazjatyckiego programu wspierania transportu. Powstała myśl, że usprawniłoby to transport do Europy i lepiej połączyłoby wnętrze Azji z liniami morskimi poprzez koleje w Afganistanie, Iranie i Turcji. Wkrótce ruszyły rozmowy między Kirgistanem a Chinami.

Nowe tysiąclecie przyniosło sporo zamieszania w polityce. W wyniku tulipanowej rewolucji w 2005 r. urząd stracił Askar Akajew, pierwszy prezydent niepodległego Kirgistanu. W sąsiednim Uzbekistanie w masakrze w Andiżanie zginęły setki demonstrantów niezadowolonych z rządów Islama Karimowa. W 2010 r. upadł kolejny kirgiski prezydent – Kurmanbek Bakijew. W położonej na południu Kirgistanu prowincji Osz doszło do zamieszek uzbecko-kirgiskich, co pogorszyło nastroje dotyczące wspólnej kolei.

Mimo to przedstawiciele Kirgistanu w 2012 r. podpisali umowę z China Road and Bridge Company (CBRC), która zobowiązała się do analizy technicznej projektu. Raport koncentrował się na przebiegu linii, za którą – mówiąc ogólnie – Kirgistan nie przepada. W 2013 r. prezydent Almazbek Atambajew ogłosił, że linia nie przy-

nosi korzyści Kirgistanowi i ten nie będzie w nią inwestował.

Kryzys finansowy w Rosji w 2013 roku przyniósł kolejny zwrot akcji i popchnął Kirgistan ku Chinom. W tym czasie Pekin ogłosił inicjatywę „Jeden pas, jedna droga”, co rozpoczęło okres wzmożonych inwestycji w infrastrukturę nowego Jedwabnego Szlaku. Przejęcie władzy w Uzbekistanie przez Szawkata Mirzijojeva w 2016 r. wpłynęło też na poprawę stosunków w regionie. W temacie CKU wciąż jednak konkretnych było mało.

Z pełną mocą linia CKU wróciła na stół po rosyjskiej agresji na Ukrainę. W maju kirgiski prezydent Sadyr Dżaparow ogłosił, że budowa ruszy za rok. Ta zaskakująca deklaracja padła w zupełnie nowym geopolitycznym świecie. W związku z sankcjami przewóz towarów wygodnym korytarzem północnym przez Kazachstan, Rosję i Białoruś przestał być atrakcyjny. Droga południowa miała mniej walorów – ciągle przekraczanie granic w przypominającej patchwork Azji Środkowej kojarzyło się z nadmierną biurokracją i utrudnieniami w logistyce – ale teraz okazała się atrakcyjną alternatywą. A analitycy stwierdzili, że po zbudowaniu kirgiskiego odcinka CKU kontenery z Chin do Europy jechałyby trasą krótszą o 900 km i 7-8 dni szybciej niż przez Rosję. Nawet jeśli trasa przez Kir-

gistan nie ma na celu zastąpienia korytarza północnego, umożliwiłaby uniezależnienie się od Rosji. To sprzyjałoby nie tylko gospodarce chińskiej, ale i chińskim partnerom w Europie czy na Bliskim Wschodzie.

Górzysty Kirgistan nie jest eldorado kolejnictwa, ale dwie linie kolejowe ma. Po ZSRR w sumie 424 km, na północy i na południu. Z położonej na północy stolicy Biszkeku dojedzie się do Taszkentu, stolicy Uzbekistanu, oraz Almaty w Kazachstanie. Sezonowo działa też połączenie nad popularne turystycznie jezioro Issyk-Kul. Północna linia służy także ruchowi towarowemu. Wyłącznie pociągom cargo służy za to odcinek południowy: między kirgiskimi miastami Osz i Dżalalabad a uzbeckim Andiżanem w ważnej gospodarczo Kotlinie Fergańskiej.

Teoretycznie wszystkim trzem państwom zależy na usprawnieniu transportu. W praktyce ich interesy są różne. Chiny i Uzbekistan pragną intensyfikacji handlu nie tylko z bardziej oddalonymi rynkami, ale i między sobą. Uzbekistan, z 30 milionami mieszkańców, to najbardziej zaludniony kraj Azji Środkowej. Dla chińskich producentów to niewielki, ale wygodny rynek. W drugą stronę, do Chin, jechać ma uzbecka bawelna oraz ropa. Dzięki linii CKU państwowa spółka China National

Petroleum Corporation zdobędzie lepszy dostęp do szacowanych na 30 milionów ton pól naftowych w uzbeckim Mingbulak. Wprawdzie te złoża to kropla w morzu chińskich potrzeb, jednak kropla ważna, zważywszy na chińską politykę dywersyfikacji importu ropy.

Dla leżącego pośrodku Kirgistanu linia CKU obniżyłaby koszt importu wielu towarów, które dziś podróżują ciężarówkami. Sprawa to niebagatelna, bo Kirgistan importuje więcej, niż eksportuje; ponad połowa handlu odbywa się właśnie z Chinami. – Liberalowie i konserwatyści, rząd i opozycja, niemal wszyscy chcą lepszego transportu. Dzięki kolei można będzie przewozić szybciej i taniej – mówi Emilbek Dżuraew z kirgiskiego oddziału Fundacji Sorosa. Do Chin kolej ją jechałaby kirgiskie surowce mineralne, produkty zwierzęce oraz żywność. Kirgistan liczy też na zyski z opłat przewozowych, szacowane są na 200 mln dolarów rocznie – choć krytycy mówią, że to sumy zawyżone.

Jest też inny powód kirgiskiego zainteresowania: CKU poprawiłoby komunikację wewnątrz kraju. Dawniej zintegrowane z radziecką siecią kolejową dwie kirgiskie linie zostały w geograficznej próżni. Rząd w Biszkeku marzy, by je połączyć.

Jak w wielu megaprojektach infrastrukturalnych także i tu słychać obietnice, że inwestycja ta stworzy nowe miejsca pracy. Chińskie firmy budowlane woła jednak własnych podwykonawców. – Infrastruktura sama miejsc pracy nie generuje – mówi Dżuraew. – Trzeba by je dopiero aktywnie tworzyć wzdłuż linii kolejowej, i byłoby to zadanie dla Kirgistanu, a nie dla Chin.

Początkowe rozważania dotyczyły kilkunastu tras. Ostatecznie na stole zostały dwie. Wybór tej jednej okazał się kością niezgody. Chiny od początku optowały za krótką trasą. Pociągi wjeżdżałyby do Kirgistanu przez przełęcz Irkesztam (2950 m n.p.m.) w prowincji Osz i możliwie najprostszą drogą zmierzały do Uzbekistanu. W interesie Kirgistanu leży jednak dłuższa trasa od przełęczy Torugart (3752 m n.p.m.) w środkowej części granicy z Chinami, która zahaczałaby o miejscowości Kara-Suu, Arpa i Kara-Keche w centrum kraju i łączyłaby się też z linią kolejową biegnącą do Bałykczy nad jeziorem Issyk-Kul. Taki wariant CKU zintegrowałby północ z południem.

Dla Kirgistanu pożytki z dłuższej linii są wielorakie. Przeciągnięcie jej przez centrum kraju daje szansę na spillover effect: pozytywne efekty kolei rozlałyby się na większy teren. I usprawniłyby przewozy pasażerskie – obecnie w Kirgistanie dominuje transport kołowy, który w górzystym terenie bywa trudny. Na drodze z Biszkeku do Chin na przełęczy Dolon (3030 m n.p.m.) mijają się tiry z marszrutkami pełnymi pasażerów. Droga jest niebezpieczna, w zimie często nieprzejezdna. To samo dotyczy drugiej drogi z Biszkeku do Osa, przez przełęcz Ala-Bel (3175 m n.p.m.). Podróż tę można odbyć samolotem, ale to przywilej mieszkańców głównych miast.

Interesy Kirgistanu odpowiadają zatem temu, co chińska inicjatywa „Jeden pas, jedna droga” ma w oficjalnej narracji: nowy Jedwabny Szlak służy wszystkim uczestnikom, łącząc, niczym ten dawny, ludzi i rynki w odległych regionach. Krótsza, forsowana przez Chińczyków linia, takiemu ożywieniu nie sprzyja. – Nie potrzebujemy kolei, która ani razu nie zatrzymuje się na terytorium Kirgistanu – mówił prezydent Atambajew w 2017 r.

W dyskusjach o linii CKU uczestniczy jeszcze jeden aktor schowany za kulisami. To Rosja, która z uwagą śledzi i chętnie kontroluje poczynania Kirgistanu i krajów sąsiednich. Choć Kirgistan gospodarczo skłania się ku Chinom, politycznie uzależniony jest od Rosji. To Moskwa jest dla Kirgistanu gwarantem bezpieczeństwa (albo jego braku) i miej-

scem pracy tysięcy kirgiskich obywateli i obywateli. Niemal jedna trzecia kirgiskiego PKB pochodzi z pieniędzy przesyłanych przez gasterbeiterów.

Opinia Rosji o CKU przez lata była negatywna. Korytarz kolejowy na południu Azji Środkowej jest konkurencją dla transportu jadącego przez Kazachstan i Rosję: poprawa komunikacji na południu Kirgistanu odbiera Rosji wpływy z opłat przewozowych.

Urzędnik Kolei Kirgiskich Murat Sadybekow zapytany, dlaczego rozmowy o nowej kolei tak długo trwają, przyznaje, że to „Wielki Brat z północy blokował temat”. Temat jest delikatny, dlatego Sadybekow woła wystąpić pod zmienionym nazwiskiem. Jeszcze w 2013 r. Rosja sugerowała budowę własnego połączenia Rosja–Kazachstan–Kirgistan–Tadżykistan.

Po latach uników Rosja zaakceptowała projekt linii CKU. O czym świadczy ta zmiana? – Na pewno nie chodzi tu o nas – twierdzi Dżuraew. Kirgistan jest, według niego, zbyt małym graczem, by Rosja chciała mu się przypodobać. W związku z sankcjami i wycofaniem części transportu z tras przez Rosję Kreml może chcieć „podłączyć” się pod trasę południową. W kontekście wojny w Ukrainie Rosji zależy na dobrych stosunkach z Chinami. Zmiana opinii o CKU jest ruchem taktycznym i sygnałem, że Kreml nie będzie się mieszać w chińskie interesy w regionie.

Za zielonym światłem dla CKU stoi też lobbings Uzbekistanu. Pod rządami Mirzoweja kraj przeżywa ożywienie gospodarcze, kolej do Chin pozwoliłaby zwiększyć wymianę handlową. Naciski Mirzoweja na Kreml mogą mieć znaczenie.

– Linia CKU ma też znaczenie militarne – zauważa Sadybekow. Wspomina, że jeszcze dekadę temu Rosja sugerowała, że kolej do Chin niesie ryzyko dla sytuacji wewnętrznej w regionie. To, że Rosja poparła CKU, również należy widzieć w tych kategoriach. – Jeśli konflikt w Ukrainie rozszerzyłby się na Azję Środkową, łatwiej byłoby przerzucać wojsko. Nagle okazałoby się, że to nie telewizory, bawełna i ropa, ale czołgi i wojsko pojadą tą trasą.

Również dla Kirgistanu linia CKU ma znaczenie strategiczne. To kraj z wyraźnym podziałem na linii północ-południe. Regiony różnią się sytuacją demograficzną i gospodarczą. Południowe prowincje są gęściej zaludnione i uboższe. Południe czuje się też słabiej reprezentowane: językiem urzędowym jest dialekt z północy, z północy była większość prezydentek i prezydentów kraju.

Słaba komunikacja na płaszczyźnie politycznej odbija się na słabej komunikacji przestrzennej. Cierpi na tym interior: miasta takie jak Kazarman, mimo że położone w centrum, zdają się na uboczu. Budowa autostrady z Biszkeku przez Kazarman do leżącego na południu Osa jest jednym z elementów świadomej polityki lepszej integracji kraju. Nowa linia kolejowa mogłaby tu pomóc.

Południowe prowincje są dla Kirgistanu newralgiczne. O ile północna granica z Kazachstanem ustalona została jeszcze w 2001 r., o tyle południowe granice z Uzbekistanem, a zwłaszcza z Tadżykistanem, pozostają sporne. Na granicy tadżyckiej regularnie dochodzi do starć, które w ostatnich latach przybierają na sile. Krwawe walki w prowincji Batken, gdzie we wrześniu tadżyckie wojsko kilkakrotnie zaatakowało granicę, są tego przykładem. Sytuacji nie ułatwia złożona struktura etniczna oraz konflikty o ważny w upalnej Kotlinie Fergańskiej surowiec, czyli wodę.

W debatach o CKU Kirgistan sprowadzany jest do pozycji problemu. Pekin i Taszkent wytykają rządowi w Biszkeku brak decyzyjności i funduszy. Dbanie o własne interesy nie musi być jednak złe, zwłaszcza gdy jeden z graczy w tej kolejowej grze, czyli Chiny, znany jest z kolonialnych zapędów.

3000 m n.p.m.,
48 tuneli
i 90 mostów
na 280
kilometrach
za 4,1 mld
dolarów.

Chiny zaczną
na tym zarabiać
od razu,
Kirgistan
niekoniecznie
i nie od ręki

Projekty realizowane w ramach „Jednego pasa, jednej drogi” nie są infrastrukturalną filantropią. Mają generować zyski dla Chin. I tak gdy Chiny na CKU zarabiać zaczęłyby od razu, zyski Kirgistanu są mniej oczywiste i bardziej rozłożone w czasie. Wysokie za to są koszty. Kirgiski odcinek – około 280 km – oznacza budowę aż 48 tuneli i ponad 90 mostów, często na ponad 3000 m n.p.m. Koleje Kirgiskie wyceniają koszty na 4,1 mld dol. Kolosalna suma dla każdego kraju, nie tylko o budżecie tak niewielkim jak kirgiski.

Kirgistan funduszy na budowę nie ma. Zresztą większość projektów pod egidą „Jeden pas, jedna droga” nie jest opłacana przez państwa, na których terenie się znajdują. Nadzieje Biszkeku, że Rosja wesprze budowę, okazały się płonne. Pomysł, że Kreml finansowałby trasę, która nie biegnie przez Rosję, może zaskakiwać, jednak rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow jeszcze w 2020 r. deklarował, że Kreml jest gotów partycypować w kosztach.

Chiny gotowe są pieniądze pożyczyć. Kłopot w tym, że kirgiski dług publiczny już przekracza 5 miliardów dolarów, a ponad jedna trzecia to dług wobec Chin. A „Jeden pas, jedna droga” w wielu częściach świata okazywał się maszynką do produkcji długów, które dają się wykorzystać w polityce. Przypadki takie jak port Hambantota, który z powodu niewypłacalności rządu Sri Lanki przejęty został w 99-letnią dzierżawę przez Chiny, dobrze znane są w Biszkeku. Sąsiadujący na odcinku 858 km z Chinami niewielki Kirgistan ma prawo obawiać się pożyczek od drapieżnego sąsiada. W razie niewypłacalności bogaty w surowce naturalne kraj musiałby scedować na rzecz Chin grunty lub prawa do kopalin.

NAGRODA
LITERACKA
GDYNIA

Zgłoszenia do

18.
EDYCJI
NAGRODY
LITERACKIEJ
GDYNIA

Prezydent Gdyni Wojciech Szczurek ogłasza 18. edycję ogólnopolskiego konkursu Nagroda Literacka GDYNIA dla najlepszych książek ubiegłego roku w 4 kategoriach: proza, poezja, eseistyka, przekład na język polski.

Książki muszą być napisane w języku polskim i wydane po raz pierwszy w 2022 r. Nagroda w każdej kategorii wynosi 50 tys. zł. Finał konkursu odbędzie się jesienią 2023 r.

Kandydatury do Nagrody mogą zgłaszać w nieprzekraczalnym terminie 31 stycznia 2023 roku wszystkie osoby, które ukończyły 18 lat, a także: wydawnictwa i osoby reprezentujące instytucje kultury oraz media o charakterze literackim.

Zasady zgłaszania kandydatur określa Regulamin Nagrody dostępny na stronie: www.nagrodaliterackagdynia.pl w zakładce „Nagroda”.

Wszelkich informacji udziela Sekretarz Kapituły: Natalia Gromow e-mail: sekretariat@bibliotekagdynia.pl telefon: (58) 622 73 55

Miejska Biblioteka Publiczna w Gdyni ul. Świętojańska 141-143, 81-401 Gdynia



MECENAS
NAGRODY LITERACKIEJ
GDYNIA

REKLAMA 34222683

Zadłużenie kraju to pierwszy główny motyw krytyki CPU. Drugim jest środowisko. Budowa linii oznacza potężną ingerencję w wysokogórski krajobraz. Znacznie bardziej niż budowa samej infrastruktury sceptyków martwi ułatwiony dostęp do złóż, które znajdują się w zasięgu kolei, więc będą intensywniej eksploatowane.

Ten wątek w debatach o linii CKU pojawia się często: kirgisy politycy lubią podkreślać plany zwiększenia eksportu złota, aluminium czy żelaza. Eksport surowców naturalnych stanowi podstawę kirgiskiego PKB, lecz przeciwnicy wytykają rządowi, że nie ma innych pomysłów na gospodarkę niż eksploatacja zasobów naturalnych.

Transport na trasie CKU odbywa się na razie w tzw. trybie multimedialnym. Dojeżdżające pociągami z Chin kontenery przeładowuje się na ciężarówki. Tak dojeżdżają do Uzbekistanu, gdzie znowu trafiają na tory. Transport z Lanzhou w Chinach do Taszcentu (4380 km) zajmuje od siedmiu do dziesięciu dni. Gdyby kontenery jechały koleją, podróż byłaby szybsza. Jednak wcale nie gładka: Chiny i Kirgistan mają bowiem inny rozstaw torów.

Chińskie tory mają 1435 mm, Kirgistan – jak i inne tereny byłego ZSRR – jeździ po torach 1520 mm. To oznacza konieczność budowy stacji, na której składy przedstawiane byłyby z jednych torów na drugie. To, gdzie stacja ma się znajdować, było kolejnym przedmiotem sporu. Kirgistan widział ją na granicy z Chinami. Pekin uważa, że państwu, z którymi Chiny budują nowe linie kolejowe, powinny stosować się do chińskich standardów. Chiny miałyby więc niejako własne eksterytorialne tory na terenie państw ościennych. Dla tych Kirgizów, którzy ZSRR wspominają jako okres kolonialny, wizja, że Chiny pożyczają Kirgizom pieniądze na budowę torów pasujących do ich, a nie kirgiskich potrzeb, wygląda jak powtórka z rozrywki, tyle że w neoliberalnym świecie.

Szczyt w Samarkandzie przyniósł „tak” dla linii CKU. Moskwa nie zawetowała projektu, potwierdzono, że budowa ruszy za rok i że trwają kolejne analizy techniczne.

**Rosji nagle spodobała się
chińska kolej
przez Kirgistan i Uzbekistan,
choć na niej straci**

Ale znakomita większość konkretnych pozostaje nieznana. – Analizy techniczne robione są u nas od lat – mówi Sadybekow. – Na tym etapie oczekiwałbym szczegółów. Istotnie, dotąd nie ogłoszono ani kalendarium prac, ani sposobu finansowania. Oznajmiono jedynie, że linia CKU pobiegnie od przełęczy Torugart przez miejscowości Arpa, Makmal i Dżalalabad, gdzie połączy się z istniejącą od czasów ZSRR linią z Uzbekistanu. W Makmal CKU połączy się też z kirgiską linią kolejową biegnącą na północ kraju.

Sprawy wydają się więc iść po myśli Kirgistanu. W Makmal znajduje się jednak kopalnia złota używana jeszcze w czasach ZSRR. Zamknięto ją w 1998 r., bo była nierentowna. Zaraz potem przetarg na jej modernizację i dalsze wydobywanie wygrała chińska firma Manson Group LLC, która ma obecnie 70 proc. udziałów. Okazuje się, że dopiero w Makmal chińskie pociągi przedstawiane będą na kirgiskie tory. Do Makmal, odległego (w prostej linii) niemal 150 km od granicy, dojadą bez utrudnień.

Ta garść szczegółów ujawniona po szczycie w Samarkandzie świetnie ilustruje wiązany charakter transakcji towarzyszących projektom „Jeden pas, jedna droga”. Może dlatego nastroje w Kirgistanie są stonowane. Według badań instytutu Central Asia Barometer w Biszkeku niemal 90 proc. społeczeństwa krytycznie odnosi się do chińskich inwestycji w Kirgistanie, obawiając się pułapki zadłużenia.

Czy budowa naprawdę ruszy w 2023 roku i czy spełni oczekiwania? – Zbyt wiele razy słyszałem, że budowa ruszy łąka chwila – stwierdza Murat Sadybekow z Kołei Kirgiskich. ●

NAJKRÓCEJ

Jonasz

Kardynał
Joseph Ratzinger

Benedykt XVI – kardynał Joseph Ratzinger: postać właściwie olbrzymia. Myślę, że o Jego pokorze świadczy dostatecznie owo przejście na emeryturę, niespodziewane, dziesięć lat temu. A jednak znalazł się ktoś, kto swoim czynem zaznaczył powagę sytuacji: sam nie daje sobie rady, może inny zdoła.

Widział wyjątkowo wiele. Ot, chociażby molestowanie nieletnich. Wrażliwość. To On dał sygnał stosowny. Bogu dzięki. ●



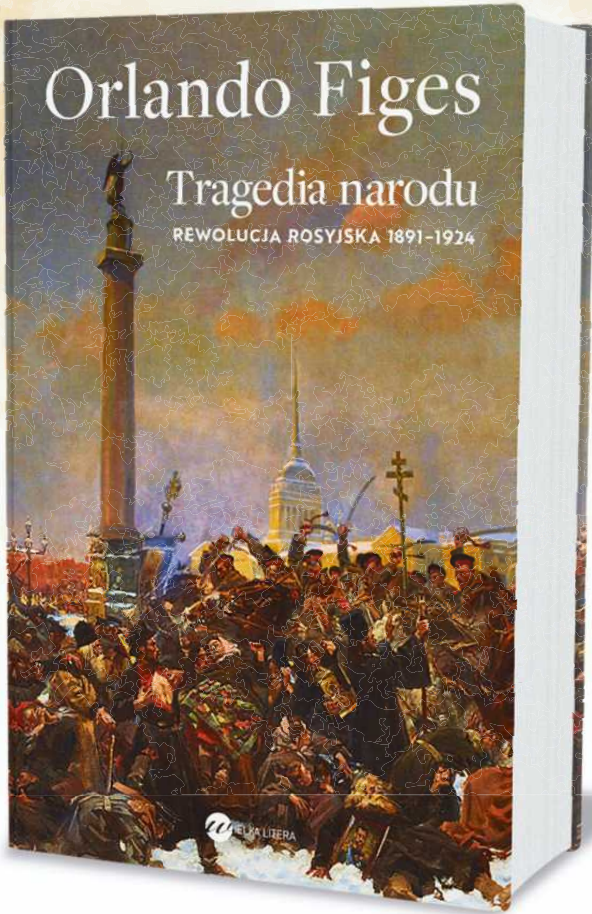
Z TYM WYDANIEM
DOSTAJĄ PAŃSTWO
DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki „Tragedia
narodu” Orlanda Figes



*Panorama wydarzeń, które doprowadziły do upadku
caratu i powstania sowieckiego państwa. Obraz
imperialnego społeczeństwa, w którym autor nie stroni
od anegdot i humoru. Pokazuje też dworski przepych,
nędzę chłopskiego obejścia oraz koloryt rewolucyjnej
bohemy.*

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Tragedia narodu” Orlanda Figes
oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

OFTGN22

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywować dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytać na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 7.01.2023 r. do 8.01.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34225719

1RP

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebioda

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy jest zabronione.



Czerwone wino i trochę szczęścia

Nie chciałem zabijać.

Ale to było konieczne, być złem przez 272 dni

MARTA BŁĄŻEJOWSKA

W

W filmie o sobie tak wspominał pierwsze kroki: „Kiedy byłem w liceum, bardzo chciałem zostać fotografem – korespondentem zagranicznym. Poszedłem do sklepu i powiedziałem, że chciałbym mieć aparat, z którym będę mógł podkradać się do ludzi, a oni nie będą mnie zauważać. Sprzedawca powiedział: Mam coś dla ciebie. Argus C3, kosztuje 47,5 dolara. »A możesz go dla mnie wypełnić?«. Powiedziałem »wypełnić«, bo nie znałem właściwego słowa. Wyszedłem ze sklepu, poszedłem na Manhattan i w okolicach Rockefeller Center zobaczyłem wielką makietę Hitlera, a za nią posągi maszerujących gęsiego niemieckich dzieci z karabinami. To była antynazistowska demonstracja. To było pierwsze zdjęcie, jakie zrobiłem w moim życiu”.

Tony Vaccaro, jeden z najlepszych fotografów, zmarł 28 grudnia, tuż po swoich setnych urodzinach. Jako żołnierz piechoty wykonał ponad 8000 zdjęć podczas II wojny światowej, w czasie walki i pod ostrzałem. Świat poznał je po 50 latach.

Urodził się w rodzinie włoskich imigrantów w 1922 r. w Greensburgu w Pensylwanii jako Michelantonio Celestino Onofrio Vaccaro. Rodzinie żyło się dobrze, ojciec Joseph zajmował się obsługą miejskich autostrad. Ale lokalna mafia zaczęła go nękać, aby pozwolił czerpać z nich zyski. Postanowił odesłać żonę Marię i trójkę dzieci do rodzinnej wioski Bonefro we Włoszech. Tuż przed wyjazdem Maria, będąc w ciąży z bliźniakami, robiła dla dzieci popcorn w kuchni. Upadła i zmarła. Trzypięcioletni Tony, tuląc się do niej i trzymając rękę na jej brzuchu, czuł, jak jego rodzeństwo umiera.

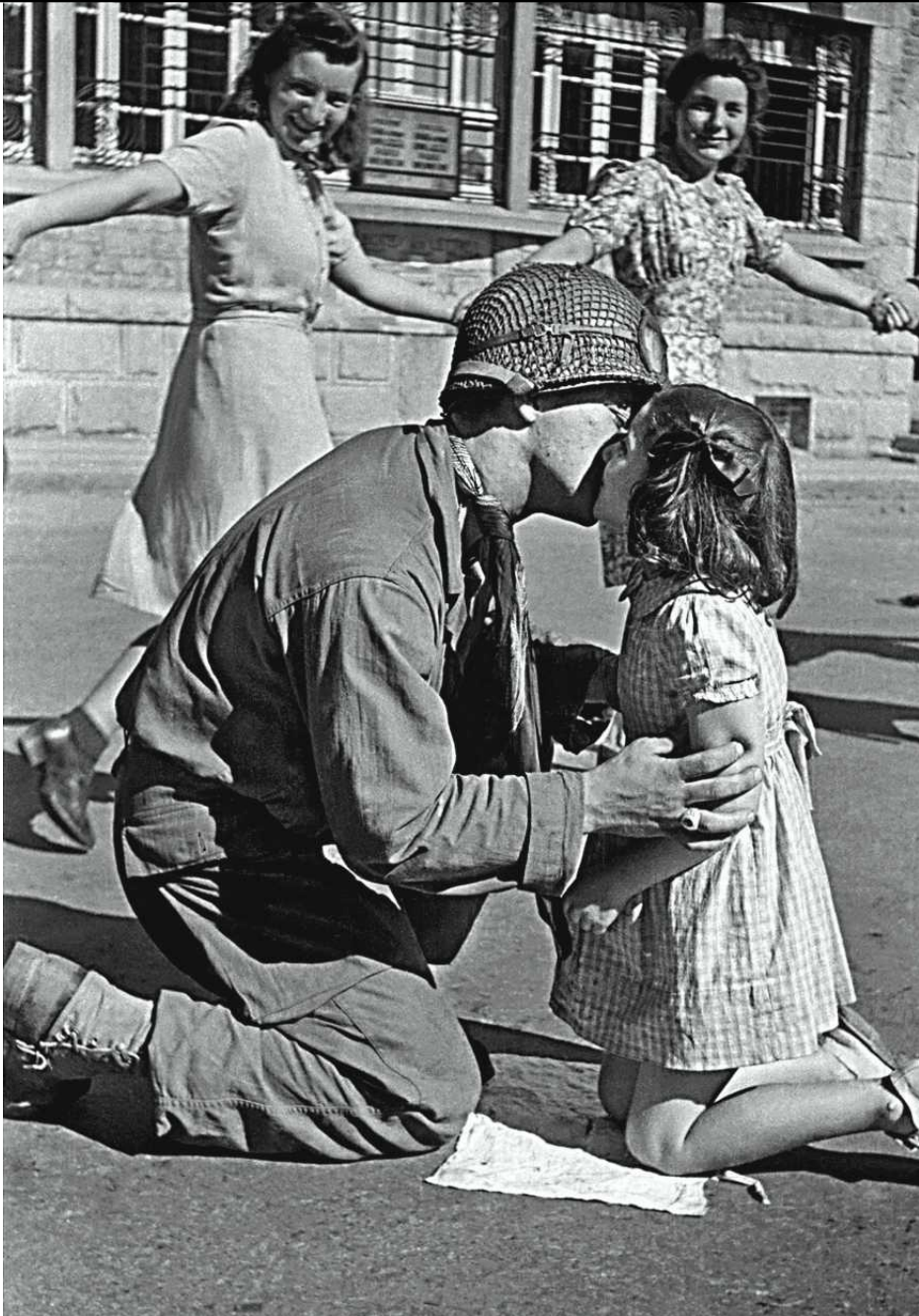
Ojciec zmarł niedługo po niej. Siostry Tony’ego, Sue i Gloria, zostały umieszczone w sierocińcu, a on spędził dzieciństwo we Włoszech, z babcią oraz wujkiem, który się nad nim znęcał.

Po wybuchu wojny 17-letni Tony bał się, że wciela go do włoskiego wojska. Pojechał z Bonefro do Rzymu, do konsulatu amerykańskiego, po paszport. Coś zaprowadziło go do Muzeum Watykańskiego. „Wszedłem i zobaczyłem grecką rzeźbę; bez nóg, bez rąk, bez głowy, tylko tułów. Ale tors był tak wyrzeźbiony i potężny. O mój Boże, można tak wiele zrobić z marmurem, chcę zostać rzeźbiarzem”. Wrócił do Ameryki, zamieszkał u ciotki i zapisał się na zajęcia z rzeźby; do śmierci trzymał w domu popiersie Lincolna, które wykonał w liceum. Ale pewnego razu jego nauczyciel nauk ścisłych, pan Bartram Lewis, który założył w szkole klub fotograficzny, powiedział: „Tony, twoje rzeźby są cudowne, ale obserwowałem cię. Myślę, że fotografia jest dla ciebie lepsza, ponieważ nigdy nie widziałem chłopca, który ma tak wiele pomysłów. Jesteś urodzonym fotografem”. To wtedy Tony poszedł do sklepu po Argusa C3.

Pod koniec szkoły był najlepszym biegaczem długodystansowym w Westchesterze i marzył, żeby wystartować na 3000 metrów na igrzyskach olimpijskich. Ale wtedy dostał powołanie do 83. Dywizji Piechoty. Ze swoimi szkolnymi zdjęciami poszedł do komendanta obozu szkoleniowego z nadzieją, że zostanie oficjalnym fotografem wojennym. Usłyszał: „Zdjęcia są świetne, ale jesteś za młody”. „Byłem wystarczająco dorosły, żeby naciskać spust, strzelając do ludzi, ale zbyt młody, żeby naciskać spust migawki”.

Postanowił udowodnić, że jest lepszy niż inni fotografowie wojenni. Okazało się, że miał nad nim przewagę w postaci swojego 35-milimetrowego argusa – pozostali pracowali na aparatach, do których 36 klisz ważyło prawie 10 kilogramów.

Jego dywizja po przybyciu do Europy rozbiła obóz w Southampton w Anglii, przygotowując się do inwazji na Normandię. Aby zabezpieczyć aparat przed słoną wodą, Tony użył 10 warstw celofanu. 18 czerwca 1944 roku wylądował na plaży Omaha. Dowództwo zabroniło robienia zdjęć, ale Tony’emu udało się, jeszcze z łodzi desantowej, wykonać jedno zdjęcie przez dziurkę od guzika płaszcza przeciwdeszczowego.



FOT. COPYRIGHT TONY VACCARO/COURTESY MONROE GALLERY

A potem zobaczył tysiące ciał zebranych z plaży i ułożonych wzdłuż drogi, gdzie czekały na transport. I poczuł zapach, jakiego nigdy nie czuł. Tak zaczęła się jego trwająca 272 dni droga do Berlina.

Na przedmieściach Sainteny stoczył pierwszą bitwę. Najpierw rzucił broń i uciekł, ale szybko wrócił i zaczął strzelać do wroga. W ruinach sklepu fotograficznego znalazł negatywy i akcesoria do obróbki negatywów. Na postoju udało mu się wywołać pierwsze 10 rolek. Odczynniki mieszczą w czterech helmach, wywołane filmy suszył na gałęziach.

31 lipca 1944 roku znalazł się pod murami właśnie wyzwolonego Saint Michelle. Chciał uwiecznić tę radość, ale miał tylko osiem wolnych klatek w aparacie. Powiedział sobie: „Tony, nie jesteś tu jako turysta, zachowaj zdjęcia na wojnę”.

6 grudnia dotarł z dywizją do lasu Hürtgen na granicy belgijsko-niemieckiej, gdzie przez 19 dni przeżył piekło najdłuższej bitwy w historii amerykańskiej armii. „Aparat pomógł mi przetrwać. Niosłem coś, co rejestrowało moje kroki. Ale było coś jeszcze. Wierzyłem, że opiekują się mną moi zmarli rodzice”.

W styczniu 1945 roku w Belgii cudem uniknął śmierci, kiedy został na straży w kwatery, a jego pluton został rozбит przez Niemców. Wtedy powstało jedno z najbardziej przejmujących, a zarazem pięknych ujęć wojennych: ciało jego kolegi Henry’ego R. Tanenbauma, leżące na pustym polu, przykryte lekko śniegiem.

Aż nadszedł 8 maja: „Byliśmy jakieś 100 kilometrów od Berlina, kiedy około dziesiątej obudzili nas i powiedzieli, że wojna się skończyła”.

Postanowił zostać w Niemczech. Za 300 dolarów kupił dżipa z demobilu i jeździł po Europie, dokumentując powojenny kontynent dla armijnej gazety „Stars and Stripes”, aż w 1949 roku postanowił wrócić do USA, aby poznać wreszcie kraj, dla którego ryzykował życie.

Pewnego dnia w San Diego kupił niedzielną gazetę, gdzie zobaczył coś, co ponownie zmieniło jego życie. Okładkę magazynu mody „Flair”. To było to: chciał zostawić za sobą ponurą przeszłość i otaczać się pięknem. Spakował się i wrócił do Nowego Jorku, gdzie udało mu się umówić z Fleur Cowles, założycielką „Flair”.

Przez dekady pracował dla największych: „Looka”, „Life’a”, „Harper’s Bazaaru”, „Newsweeka”. Wykonał ponad 2000 portretów królów i królowych, prezydentów i papieży, pisarzy i aktorów, artystów i naukowców. Przed jego obiektywem stali: Kennedy, królowa Elżbieta, Jackson Pollock, Leonard Cohen, Marlena Dietrich, Picasso, Frank Lloyd Wright, Sophia Loren. Prywatnie też został w świecie piękna i marzeń – ożenił się z fińską modelką Anją Lehto, którą poznał podczas sesji dla domu mody Marimekko.

Tony do dziś – pisałam ten tekst kilka tygodni temu, gdy żył, a redaktor uznał, że w tym akapi-

cie czas terazniejszy więcej mówi o bohaterze niż przeszły – jest wierny analogowej fotografii. Leicę M3, której nadal używa, dostał w prezencie od dyrektora fabryki Leiki, kiedy w połowie lat 50. pojechał do Wetzlaru, żeby kupić aparat. W domu w Long Island ma 70-metrową ciemnię, uważaną za najlepszą w Nowym Jorku.

Swoją długowieczność przypisywał „ślepem szczęściu, czerwonemu winu” i determinacji. Miał jedno marzenie: chciał swój najsłynniejszy obraz wojenny, żołnierza całującego dziewczynkę, zamienić w pomnik, który stanie na centralnym placu jego ukochanej wioski Bonefro. Marzenie Tony’ego ma nadzieję zrealizować rodzina.

Kolekcja zdjęć, dokumentująca drogę z plaż Normandii do Berlina, to jedno z najbardziej realistycznych, graficznych i najsurowszych obrazów z II wojny. Ale nie chciał na nie patrzeć. Zgodził się na publikację dopiero w 2001 roku. Nie wszystkich – 4000 negatywów przypadło, kiedy w 1947 roku w ciemni „Stars and Stripes” pękła rura. Te uratowane noszą ślady zalania.

Po maju 1945 już nigdy nie robił zdjęć podczas wojny lub konfliktu zbrojnego. ●

Zdjęcia Tony’ego można oglądać do 15 stycznia w Santa Fe na wystawie „Tony Vaccaro: The Centennial Exhibition” albo na Instagram.com/tonyvaccarophotographer. W tym roku będzie miał premierę film Marca i Maura La Villa „Vaccaro by La Villa”.

NASZA EUROPA

Nowa równowaga sił

EUROPA WKRÓTCE ZAMI
W WIOSKĘ ASTERIXA

– A zasady będą ustalać Chiny – chyba że zaczniemy działać według wspólnie ustalonego planu i z większą determinacją – przekonuje nowy szef Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa.

Daniel-Dylan Böhmer
Philip Volkmann-Schluck

WELT

Christoph Heusgen to nowy dyrektor Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, której tegoroczna edycja odbędzie się w dniach 17-19 lutego. To największe na świecie tego typu spotkanie szefów państw, rządów i organizacji międzynarodowych, wojskowych, naukowców, przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego, biznesu i mediów. Wcześniej był m.in. ambasadorem Niemiec przy ONZ.

...

Kiedy rozpoczynał pan służbę dyplomatyczną, trwała zimna wojna, a ministrem spraw zagranicznych RFN był Hans-Dietrich Genscher, liberal i zwolennik odprężenia. Timothy Garton Ash określił kiedyś idealną politykę zagraniczną następująco: przyjazne stosunki z niebem, pogłębione partnerstwo z ziemią, ale także owocna współpraca z piekłem. Czy Niemcy nie muszą dziś dokonać wyraźniejszego wyboru? CHRISTOPH HEUSGEN: Trudno przenieść w czasy obecne politykę, którą z powodzeniem prowadził Genscher. Jego zaangażowanie w Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (dziś OBWE), w której kraje Wschodu i Zachodu w latach 70. uzgodniły standardy praw człowieka, stworzyło przestrzeń dla opozycji politycznej w Europie Wschodniej. Przyczyniło się to do upadku żelaznej kurtyny. Ale kreowanie dobrych relacji z rywalem było tylko jednym z elementów układanki. W latach 80. byłem delegatem do organizacji COCOM, gdzie głosowano nad listami twardych sankcji zachodnich. Uzbrojenie, komputery i wysoka technologia nie mogły w żadnym wypadku trafić do bloku wschodniego. Związek Radziecki upadł również dlatego, że brakowało mu bazy gospodarczej. A zerwanie żelaznej kurtyny to w równym stopniu zasługa Genschera, jak i prezydenta USA Ronalda Reagana, który postawił na zbrojenia i surowy kurs wobec Moskwy.

W 2023 roku potrzebujemy więcej Genschera czy więcej Reagana?



• Kanclerz Scholz na poligonie w Saksonii
– w październiku 2022 prezentowano mu tam czołgi Leopard 2 w najnowszej wersji

FOT. MORITZ FRANKENBERG/PICTURE-ALLIANCE/DPA/AP IMAGES

– Potrzebujemy więcej Reagana. To prawda, że rząd niemiecki już jasno stwierdził, że nie wolno nam lekceważyć rosyjskiej agresji i że Niemcy muszą w większym stopniu objąć przywództwo, wziąć odpowiedzialność. Brakuje jednak realizacji zarysowanej już nowej polityki. Fakt, że prawdopodobnie nie osiągniemy celu NATO, jakim jest wydawanie dwóch procent naszego PKB na obronę w nadchodzących latach, jest moim zdaniem niewybaczalny. Nie może się to udać, jeśli nie stoją za tym i społeczeństwo, i parlamentarzyści. Elity polityczne nie mogą nadal działać połowicznie. Muszą mieć odwagę, by mówić ludziom, jak jest. Słynne już przemówienie Olafa Scholza wygłoszone w Bundestagu krótko po inwazji Rosji na Ukrainę, w którym kanclerz mówił o Zeitenwende, historycznym punkcie zwrotnym, było dobrym początkiem, a ludzie popierają ten zwrot. Wydaje się jednak, że rząd boi się własnej odwagi, gdy przychodzi do realizacji zawartych w wystąpieniu Scholza postulatów.

Ale po raz pierwszy rząd federalny w Berlinie chce przedstawić strategię bezpieczeństwa narodowego. Co powinna ona zawierać?

– Niemcy muszą być bardziej aktywne w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa, a także wzmocnić ją strukturalnie. Jesteśmy jednym z ostatnich krajów Zachodu, które prowadzą politykę zagraniczną i rozwojową oddzielnie w trzech ministerstwach. W MSZ, w resorcie współpracy gospodarczej, które autonomicznie decyduje o wielu miliardach euro pomocy rozwojowej, oraz w ministerstwie gospodarki, które kontroluje handel zagraniczny. Instrumenty te powinny być połączone w pakiet. Tak właśnie postąpiły Kanada i Australia, aby przetrwać w wojnie handlowej z Chinami.

Pomijając struktury, jak chciałby pan, żeby działały Niemcy?

– Musimy bardziej konkretnie określić obszary, w których bronimy naszych strategicznych interesów. Na przykład w Sahe-lu w Afryce musimy zapobiegać napływowi uchodźców do Europy i w ten sposób zwięk-

szać nasze bezpieczeństwo. W Mali już zostaliśmy pozbawieni jakichkolwiek wpływów, ponieważ tamtejszy rząd niedawnych puczystów postawił na współpracę z Rosjanami, którzy szybko i aktywnie ją zaoferowali. Z drugiej strony w Nigrze demokracja nadal działa i może się stać kotwicą stabilności dla regionu. Musimy wzmocnić nasze zaangażowanie w pomoc rozwojową i militarną. Ludzie potrzebują bezpieczeństwa i perspektyw, aby nie ulec pokusom dżihadyzmu. Ale chodzi też o surowce. Ponieważ Francja nie chciała się angażować w rozwój szybów naftowych w Afryce, zrobiły to Chiny. I teraz Niger często głośnie w ONZ zgodnie z linią Pekinu. Nie można pozwolić, aby to trwało. W przeciwnym razie wkrótce będziemy siedzieć tutaj, w naszej zamkniętej wiosce Asterixa – a to Chiny będą tworzyć zasady nowego świata wokół nas.

Według Olafa Scholza Niemcy powinny się stać głównym gwarantem bezpieczeństwa w Europie. Ale w jaki sposób?

– Przede wszystkim Niemcy muszą mieć znowu realne zdolności wojskowe, klucz tutaj to dwa procent PKB na zbrojenia. Niemcy zgodziły się na europejskie siły interwencyjne, ich zrąb ma powstać do 2024 r. – i to my musimy wziąć za to współodpowiedzialność. Aby jednak Berlin mógł przyjąć wiodącą rolę, musimy dostosować nasze przepisy. Którego partner powierzyć się naszemu przywództwu, jeśli nie wiadomo, czy rząd niemiecki może być pewny zgody Bundestagu na wysłanie sił interwencyjnych w teatr konfliktu? Zanim zaczniemy twierdzić, że jesteśmy liderem, musimy udowodnić, że potrafimy nim być. A przecież do niedawna rząd i parlament odmawiały armii nawet pozyskania uzbrojonych dronów.

Niektórzy w CDU – dziś głównej partii opozycyjnej – pytają, czy Niemcy jako gwarant bezpieczeństwa w Europie nie potrzebowałyby broni jądrowej.

– To niewłaściwa droga. Podpisaliśmy układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i nie wolno nam przy tym manipulować. Ważniejsze jest, abyśmy odrobili lekcję z dziełnia się odstraszać bronią jądrową w ra-

mach NATO, dzięki czemu odrzutowce Bundeswehry mogłyby przenosić amerykańską broń jądrową. Cieszę się, że to podejście, po dekadach krytyki, najwyraźniej zyskuje szerszą akceptację w Niemczech i że niemiecki rząd nabywa teraz amerykańskie F-35. Jednocześnie powinniśmy wreszcie wypowiedzieć się na temat oferty Emmanuela Macrona, który chce rozmawiać o dzieleniu się francuskim arsenałem jądrowym. Powinniśmy skorzystać z tej oferty i uczynić z niej projekt europejski, który umożliwi także udział Brytyjczyków. Skoro USA koncentrują się bardziej na Azji, a Europa musi zadbać o własne bezpieczeństwo, to nie powinien to być już temat tabu.

Polska działa szybciej w zakresie zbrojeń i nadaje ton rozwojowi polityki bezpieczeństwa w UE. Czy Warszawa stanie się nowym głównym partnerem dla Waszyngtonu?

– Tak, o tym się mówi. To świetnie, że Polska i USA dobrze współpracują. Ale z perspektywy Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa widzę wyraźnie, jak poważnie Amerykanie nadal traktują nasze transatlantyckie relacje. Najwięcej żołnierzy USA poza granicami kraju stacjonuje w Niemczech, tu jest ich najważniejsza baza lotnicza, w Ramstein. Teraz ważne jest, abyśmy stworzyli wiarygodną obronę wschodniej flanki NATO i postawili tam Putinowi realną zaporę, także w postaci wojsk niemieckich.

Był pan doradcą kanclerz Merkel. Z perspektywy czasu wielu zarzuca jej, że doprowadziła Niemcy do niebezpiecznej zależności od Rosji i do zbyt bliskich relacji gospodarczych z Chinami. Żałuje pan tego?

– Gdybyśmy nie użyli naszego weta, gdy prezydent USA George W. Bush chciał w 2008 r. przyjąć Gruzję i Ukrainę do NATO, już wtedy wybuchłaby wojna. Po rosyjskiej agresji w 2014 r. to Merkel wraz z prezydentem Francji doprowadziła do porozumienia mimoskierowego, które umożliwiło drogę do realnego dyplomatycznego rozwiązania. Do Putina porzucił tę drogę. Jeśli chodzi o energię: Nord Stream 1 został uzgodniony przez Gerhar-

NASZA EUROPA

Slavoj Žižek:

Cancel culture jako przejaw etycznego rozkładu

Tak zwana obudzona lewica opowiada się za akceptacją wszystkich tożsamości seksualnych i etnicznych z wyjątkiem jednej: heteroseksualisty z Zachodu

Slavoj Žižek

EL PAÍS

Postęp etyczny wytwarza korzystną formę dogmatyzmu. Mam przez to na myśli, że zdrowe społeczeństwo nie dyskutuje o dopuszczalności gwałtów i tortur, bo ludzie „dogmatycznie” przyjmują, że są one niedopuszczalne. Podobnie społeczeństwo, którego przywódcy mówią o „legalnym gwałcie” (jak to kiedyś uczynili byli republikańscy kongresmeni w Stanach Zjednoczonych) lub o kontekstach, w których tortury są tolerowane, jest społeczeństwem wykazującym wyraźne oznaki rozkładu etycznego, w którym czyny kiedyś uznawane za niewyobrażalne mogą w bardzo krótkim czasie stać się możliwe i akceptowalne.

Weźmy pod uwagę dzisiejszą Rosję. W niezwykłym nagraniu, które niedawno krążyło w sieci, widzieliśmy byłego najemnika Grupy Wagnera, który został schwytany i oskarżony o przejście na drugą stronę, aby „walczyć z Rosjanami”, a następnie jego egzekucję poprzez rozbicie głowy młotem przez niezidentyfikowanego kata. Kiedy Jewgienij Prigożyn (założyciel Grupy Wagnera i bliski współpracownik Władimira Putina) został zapytany o opinię na temat tego nagrania (w rosyjskim internecie opatrzonego jako „młot zemsty”), powiedział jedynie, że to „psia śmierć dla psa”. Jak wielu zauważyło, Rosja zachowuje się dziś podobnie jak Państwo Islamskie.

Pomyślmy również o coraz bliższym sojuszniku Rosji, Iranie, gdzie dziewczynki są aresztowane za protesty przeciwko reżimowi – i istnieją doniesienia, że są one przymusowo wydawane za mąż za swoich strażników, którzy je następnie gwałcą, ponieważ egzekucja nieletniej, która jest dziewczcą, jest niezgodna z prawem w Iranie.

Weźmy też pod uwagę Izrael, który choć szczyci się tym, że stanowi liberalną demokrację, coraz bardziej przypomina niektóre inne kraje w swoim sąsiedztwie, gdzie panuje religijny fundamentalizm. Najnowszym dowodem tego trendu jest wiadomość, że Itamar Ben-Gwir wejdzie w skład nowego rządu Beniamina Netanjahu. Do niedawna Ben-Gwir miał w swoim gabinecie portret izraelsko-amerykańskiego terrorysty Barucha Goldsteina, który w 1994 r. zabił w Hebronie 29 Palestyńczyków.

Netanjahu, najdłużej z przerwami urzędujący premier Izraela, jest w pełni zaangażowany w ten etyczny upadek. W 2019 r. wezwał do „zwalczania” rosnącego muzułmańskiego i lewicowego antysemityzmu w Europie, zaledwie godziny po tym, jak izraelski rząd opublikował raport dowodzący, że największym zagrożeniem dla Żydów na kontynencie jest skrajna prawica. Dlaczego Netanjahu pomija skrajnie prawicowy antysemityzm? Bo uważa, że musi. Ponieważ wprowadzić nową radykalną prawicą na Zachodzie może być antysemicka

u siebie w domu, ale jest również zagorzałym obrońcą Izraela, który przestrzega jako jedną z ostatnich barier przed „muzułmańską inwazją”.

Niestety, to tylko jedna strona medalu. Coraz bardziej widoczny jest również rozkład etyczny lewicy spod znaku woke, która staje się coraz bardziej autorytarna i nietolerancyjna w swoim opowiadaniu się za akceptacją wszystkich poza jedną formą tożsamości seksualnej i etnicznej. Socjolog Duane Rousselle charakteryzuje ową nową cancel culture jako „rasizm w czasach wielości minus jeden”. Tradycyjny rasizm szkaluje intruza, który stanowi zagrożenie dla jedności dominującej grupy; lewica woke ze swej strony stara się zrobić to samo każdemu, kto nie porzucił całkowicie starych kategorii płci, seksualności i etniczności. Teraz wszystkie orientacje seksualne i tożsamości płciowe są akceptowalne – chyba że jesteś białym mężczyzną, którego tożsamość płciowa odpowiada twojej biologicznej płci w momencie urodzenia. Członkom tej cisdgenderowej grupy nakazu-

Lewica woke, choć broni pluralizmu, sama nie toleruje dyskusji na temat jej prób narzucenia arbitralnych wykluczeń, które wcześniej, w tolerancyjnym i liberalnym społeczeństwie, zostałyby uznane za niedopuszczalne

je się poczucie winy za to, kim są (za to, że „dobrze czują się w swoim ciele”), choć wszystkich innych (w tym cisdgenderowe kobiety) zachęca się do bycia tymi, kim się czują.

To „budzenie nowego porządku” jest dostrzegalne w coraz bardziej absurdalnych przejawach. Nie dalej jak miesiąc temu Gender and Sexuality Resource Center w Gettysburg College w Pensylwanii chciało zasponsorować zorganizowane przez studentów wydarzenie skierowane do każdego, kto był „zmęczony białymi mężczyznami cis”. Uczestnicy zostali zaproszeni do „pisanie i malowanie” o swoich frustracjach związanych z białymi mężczyznami, którzy czują się „komfortowo w swoim ciele”. Ale po oskarżeniach o rasizm wydarzenie zostało przełożone.

Istnieje paradoks w sposobie, w jaki płynność niebinarna woke zbiega się z nietolerancją i wykluczeniem. W Paryżu prestiżowa École normale supérieure debatuje nad propozycją stworzenia korytarzy w akademikach zarezerwowanych dla osób, któ-

re wybrały zróżnicowaną tożsamość seksualną (mixité choisie), z wyłączeniem cisdgenderowych mężczyzn. Proponowane zasady są surowe: każdy, kto nie spełnia kryteriów, nie będzie mógł nawet postawić stopy w tych korytarzach. I, oczywiście, ten pomysł otwiera drzwi do jeszcze ściślejszych ograniczeń. Bo przecież jeśli wystarczająco dużo ludzi zdefiniuje swoją tożsamość w jeszcze węższych kategoriach, przypuszczalnie będą mogli domagać się własnego korytarza.

Propozycja ta ma trzy godne uwagi aspekty: wyklucza jedynie cisdgenderowych mężczyzn (choć już nie cisdgenderowe kobiety); nie jest oparta na żadnych obiektywnych kryteriach czy klasyfikacji, ale na subiektywnym samookreśleniu; i daje początek kolejnym podziałom klasyfikacyjnym. Ten ostatni punkt jest kluczowy, ponieważ pokazuje, że przy całej tej gadani nie o plastyczności, wyborze i różnorodności efektem jest nic innego jak nowy rodzaj apartheidu, rozumianego jako hierarchiczny układ stałych i zstandaryzowanych tożsamości.

Ideologia woke oferuje więc paradygmatyczny przykład sposobu, w jaki permissywność staje się zakazem: w reżimie woke nigdy nie wiemy, czy ktoś z nas skończy jako „skancelowany” za coś, co zrobił lub powiedział (przy czym kryteria są płynne i wątpliwe), czy za sam fakt urodzenia się w niewłaściwej kategorii.

Zamiast sprzeciwiać się nowym formom barbarzyństwa (co sama głosi), lewica woke w pełni w nich uczestniczy, promując i praktykując nieskrywany dyskurs opresyjny. Choć broni pluralizmu i promuje różnicę, jej subiektywny locus enuncjacji (miejsce, z którego przemawia) jest bezwzględnie autorytarny i nie toleruje dyskusji na temat jej prób narzucenia arbitralnych wykluczeń, które wcześniej, w tolerancyjnym i liberalnym społeczeństwie, zostałyby uznane za niedopuszczalne.

To powiedziałszy, powinniśmy pamiętać, że całe to zamieszanie ogranicza się przede wszystkim do wąskiego świata akademickiego (i różnych zawodów intelektualnych, takich jak dziennikarstwo); reszta społeczeństwa idzie raczej w przeciwnym kierunku. W Stanach Zjednoczonych, na przykład, 12 republikańskich senatorów po prostu zagłosowało w ubiegłym miesiącu wraz z większością demokratyczną za ochroną prawa par jedнопłciowych do zawierania małżeństw.

Cancel culture, z jej ukrytą paranoją, jest desperacką (i oczywiście kontrproduktywną) próbą zrekompensowania bardzo realnej przemo-cy i nietolerancji, której od dawna doświadczają mniejszości seksualne. Jest to jednak wycofanie się w obręb kulturowej twierdzy, fałszywej „bezpiecznej przestrzeni”, której dyskursywny fanatyzm jedynie wzmacnia opór większości. ●

da Schrödera. Zerwanie tego projektu przez Merkel po objęciu przez nią rządu w koalicji z SPD nie było możliwe. Co do Nord Streamu 2 – żadna cząsteczka gazu nigdy nie przepłynęła przez ten rurociąg, ale tak, z perspektywy czasu wiem, że to był błąd. Wtedy jednak, w 2015 r., chcieliśmy szybciej odejść od energetyki jądrowej, po Fukushima nie chciało tego 80 proc. Niemców. Zielona energia nie była jeszcze gotowa, a węgiel ze względów klimatycznych nie stanowił alternatywy. Rosyjski gaz był najszybszym i najtańszym rozwiązaniem, a SPD i niemiecki biznes były jednoznacznie „za”. Nie usprawiedliwiam się, wskazuję tylko kontekst. Ale to był błąd.

Kiedy byłby właściwy moment na ponowne rozmowy z Rosją?

– Zawsze chcieliśmy rozmawiać z Rosją. Ale ze zbrodniarzem wojennym Putinem nie można zawierać żadnych wiarygodnych umów. Próbowaliśmy z nim już wszystkiego. Wyraźnie pokazał, że realizuje imperialną politykę w imię jednostronnych roszczeń i nie pójdzie na żadne ustępstwa. Liczy na to, że Zachód się w końcu podda, że Niemcy nie będą dostarczać Ukrainie ciężkiej broni, że USA i Europa zmniejszą ogólne wsparcie gospodarcze i wojskowe dla Ukrainy, podczas gdy on będzie posyłał na śmierć kolejne dziesiątki tysięcy rosyjskich żołnierzy. Z Rosją w jakimś stopniu będziemy żyć w pokoju dopiero w epoce po Putinie. My, Niemcy, popełniliśmy horrendalne zbrodnie w Ukrainie podczas II wojny światowej i właśnie także dlatego mamy moralny obowiązek wspierać ten kraj. Powinniśmy w końcu dostarczyć mu czołgi Leopard. I bezwzględnie musimy przygotować społeczeństwo niemieckie na kolejne poświęcenia. Przy czym uważam, że ludzie w Niemczech są już w tej sprawie mentalnie bardziej do przodu niż politycy.

Czy nie musimy też zdystansować się od Chin? Niedawna wizyta kanclerza Scholza w Pekinie wyglądała na wolę zbliżenia.

– Złym sygnałem było to, że Scholz nie pojechał w imieniu całej UE i razem z prezydentem Francji, jak sugerował Paryż, a do tego tak krótko po zjeździe Komunistycznej Partii Chin, który przyniósł triumf Xi Jinpingowi. Niemniej jednak słuszne jest kontynuowanie rozmów z Chinami. I jeżdżenie do Chin także. Swoją drogą, nie sądzę, żeby Pekin realnie wspomógł Moskwę w wojnie z Ukrainą. Pekin jest całkiem zadowolony z tego, że Moskwa zostanie na długo bardzo osłabiona przez tę wojnę i stanie się jeszcze bardziej zależna od Chin.

W tej chwili Chiny mają duże problemy gospodarcze, które będą w najbliższym czasie rosły z powodu wymuszonego odwrótu od błędnej strategii „zero COVID”. Możemy to wykorzystać do wywierania wpływu na Pekin. Niemniej jednak nie powinniśmy być naiwni. Należy w dłuższej perspektywie osłabiać zależność, zmniejszyć nasz handel z Chinami i nasze zaangażowanie tam. A w zamian aktywnie i rozsądnie dywersyfikować nasze decyzje inwestycyjne i naszych partnerów handlowych. Tu jest wielki potencjał dla nas i całej UE. ●

Slavoj Žižek – słoweński socjolog, filozof, marksista, psychoanalitik i krytyk kultury. Jest profesorem Uniwersytetu w Lublanie, wykłada w European Graduate School i na uniwersytetach amerykańskich, jest dyrektorem Birkbeck Institute for the Humanities na Uniwersytecie Londyńskim

LENA LEADING — EUROPEAN NEWSPAPER — ALLIANCE

ODCZEPICIE SIĘ OD BAJEK KRYŁOWA



Adam Michnik poleca

Ani Puszkina, ani Do- stojewski, ani Lew Tolstoj nie poparli- by Putina i napaści na Ukrainę.

Z **TOMASEM VENCLOVĄ***
ROZMAWIA **NATALIA ZVERKO,**
LRT

Co należy zrobić z radzieckim dziedzictwem na Litwie, np. architektonicznym? Zlikwidować?
– Mamy choćby carskie dziedzictwo architektoniczne i trudno je nazwać znakomitym. Choć jeden budynek w Wilnie, dzieło architekta Wasilija Stasowa, jest genialny – Pałac Prezydencki. Zdobí miasto i jest zabytkiem nie gorszym od zabytków Petersburga. Albo weźmy wileńską cerkiew Romanowów. Nic nadzwyczajnego, ale powinna zostać. Takich budynków jest dużo, choćby carska architektura kościelna. To zabytki epoki.

Albo spójrzmy na carskiego architekta Nikołaja Czagina. To wybitna postać. Stworzył pseudogotycką dzwonnice przy wileńskim kościele św. Anny, dzieło dalekie od wybitności. Niektórzy znawcy

architektury uważali, że należy ją zburzyć. Nie, niech sobie stoi. Dziś pseudogotyki szlachetnie.

Co do sowieckich budynków w stylu socrealizmu, jak dworzec kolejowy czy terminal lotniczy, to Wilno zasługuje na lepsze. Kiedy się przylatuje z Rygi, widać, że lotnisko w Wilnie jest bardzo prowincjonalne.

Wielu ludzi na Litwie, nastawionych antysowiecko i antyrosyjsko, zachowuje mentalność sowiecką właśnie, komsomolską: zmieniać nazwy, burzyć stare symbole, stawiać własne, zdejmować tablice pamiątkowe itd. Czyli niszczyć, a przy okazji zdobywać prestiż dla siebie. Taka mentalność nie prowadzi do niczego dobrego. To w ogóle nie jest patriotyzm.

Publicysta Andrius Užkalnis napisał, że język rosyjski nie jest nam potrzebny i nie powinien być nauczany w szkołach. Może powinno się go uczyć mniej, tak jak francuskiego, niemieckiego czy polskiego. To język sąsiada, który nigdzie się stąd nie ruszy bez względu na to, jak rozwiną się stosunki polityczne.

Do tego Rosja jest teraz wrogiem Litwy. Trzeba znać język wroga. W czasie II wojny niemieckiej uczono w szkołach amerykańskich, brytyjskich, a nawet radzieckich.

Na froncie jego znajomość była konieczna.

Przez Europę przetacza się dziś fala wymazywania kultury rosyjskiej.

– Słuchać, że nie jest nam w ogóle potrzebna albo że nie dała nam nic dobrego, że jest toksyczna, że należy ją...

..., „poddąć kwarantannie”, jak proponuje pisarka Kristina Sabaliauskaitė?

– I że powinniśmy na nowo rozważyć jej istotę. Przecież to ona, według niektórych, stworzyła rosyjską mentalność imperialistyczną. Pojawiają się przy tym opinie przesadne, wręcz groteskowe.

Przeczytałem gdzieś, że Majakowski nie był utalentowanym poetą. A jednak był to utalentowany poeta, postać tragiczna, zniszczył go reżim sowiecki. Anna Achmatowa powiedziała – słyszałem to od niej samej – że został zabity tak samo jak wszyscy inni, tylko w nieco inny sposób. Albo mówiono, że Tolstoj kiepsko pisał po rosyjsku, a połowę „Wojny i pokoju” napisał po francusku. Albo że Kryłow był plagiatorem i brał wątki z bajek La Fontaine’a. Racja, ale tak to już jest z bajkami. La Fontaine wszystkie wątki wziął od Fedrusa, starożyt-

nego poety rzymskiego, a Fedrus od Ezopa, który je wziął z folkloru. Bajki Kryłowa to pomniki bogatego i giętkiego języka rosyjskiego.

Słuchać głosy, że warto chronić młode umysły przed tą miękką rosyjską siłą, bo Rosja poprzez wielkich klasyków, próbuje stworzyć wyobrażenie o pięknej rosyjskiej duszy.

– Soft power kultury rosyjskiej, tak jak amerykańskiej czy angielskiej, to współczesny pop. Ponieważ wielu piosenkarzy popiera Putina, należy im odmówić wjazdu na Litwę, to oczywiste. Dla nich też droga do krajów zachodnich jest zamknięta. Albo weźmy dyrygenta Giergijewa czy śpiewaczkę Netrebko. Poparli Putina i muszą za to zapłacić.

Gdyby Władimir Wysocki żył do dziś – jestem pewien, bo trochę go znałem – nie poparłby Putina. Okudźawa, który był Gruzinem, ale typu moskiewskiego, jak sam mówił – nie poparłby Putina.

A co z Allą Pugaczową, z Galkinem, jej mężem? Czytałem gdzieś, że Galkin też nie jest nam potrzebny, bo kiedyś popierał Putina. Ale teraz już nie.

Co wymaga odwagi.

– Człowiek ma prawo do zmiany. Jeśli teraz tak bardzo się zmie-

nił, chwała Bogu. Ale to dotyczy żywych postaci. Jeśli chodzi o klasyków, to czasami mamy kłopot. Powiedzmy, że Puszkina był piewą rosyjskiego imperializmu. Są tego przykłady w jego wierszach:

„O co ten krzyk, trybuni ludu? (...) / Co tak wzburzyło was? Litewski bunt i kaźń?”.

Litewski bunt to powstanie listopadowe. Puszkina jest mu wyraznie przeciwny. Zacytujmy dalej:

„To Słowian spór, rodzinny spór domowy / Nie rozwiążecie go krasomowczymi słowy” (przekład Tuwima).

Przez Słowian Puszkina rozumie Polaków, bo Litwa, inteligencja litewska, szlachta, mówiła głównie po polsku. Poza tym Puszkina, jak wszyscy wtedy, nie odróżniał zbyt wiele świata bałtyckiego od słowiańskiego. Teraz rozróżniamy je ściśle.

Jednak Puszkina generalnie nie ma na koncie zbyt wielu wierszy o imperialistycznej wymowie.

– Lermontow napisał imperialistyczny wiersz „Spór”, ale to jednak nie Puszkina i Lermontow stworzyli rosyjski imperializm. Puszkina ani Tolstoj nie należy mylić z ministrem Uwarowem, który stworzył rusyfikacyjną formułę „prawosławie, samowładztwo, ludowość”, której sprzeciwiała się więk-



• **Popularna litewska miejscówka turystyczna – muzeum radzieckich pomników w parku Grūtas niedaleko Druskiennik**

FOT. MINDAUGAS KULBIS/AP

rys Jelcyn – nie żywiły antyukraińskich uczuć.

Brodski nie opublikował więc tych wierszy, ale raz je publicznie wyrecytował, w Ameryce czy w Kanadzie, czyli za plecami Ukraińców. I te stały się znane. Teraz są wykorzystywane przez putinowską propagandystów. Adam Michnik powiedział: „Nie wiem, kto wygra wojnę ukraińską, ale stanowczo wiem, kto ją przegrał – Josif Brodski. Zrujnował sobie reputację na wiele dziesięcioleci, a może i wieków”. Bardziej niż Puszkina wierszem „Oszczercom Rosji”.

Ale czy można tak surowo oceniać człowieka za jakiś wiersz? Życie Brodskiego to także konfrontacja z władzą radziecką. – Twarda konfrontacja. Brodskiemu daleko było do oficjalnego patrioty. Zawsze traktował ojczyznę z ironią, ale uważał się za Rosjanina, człowieka języka rosyjskiego. Jednocześnie wiadomo było, że jest Żydem. Nie wyolbrzymiał jednak swej żydowskości. O tematach

w tamtym czasie, gdy stało się jasne, że wojna to poważna sprawa, że prowadzi do utraty życia i trudnej sytuacji gospodarczej, bliżej 1917 r. nastroje całkowicie się zmieniły. Była rewolucja lutowa, a potem, niestety, październikowa. Po czekajmy trzy lata, a naród rosyjski tak samo się zmieni.

Mówi się, że Niemcy winy odpokutowali, a Rosjanie nigdy. I że ten naród to straszny barbarzyńca, który chodzą z przekleństwami na ustach, gwałci każdą napotkaną kobietę, nawet małe dziewczynki, i torturuje więźniów. Są tacy ludzie. Ale są też w innych narodach.

Wina jest zawsze indywidualna. Trzeba udowodnić, że ta konkretna osoba zabiła nieuzbrojonego człowieka, inna zgwałciła dziewczynkę lub dorosłą kobietę, i trzeba ją ukarać. Ale karać indywidualnie, a nie wszystkich hurtowo.

Słusznie mamy empatię dla Ukraińców. Ale musimy ją czuć także wobec tych otumanionych, oszołomionych ludzi, którzy są rzucani na front i tam bezsensownie giną. Niektórzy popełniają przestępstwa. Ale tego, który nie popełnił przestępstwa, tylko zginął bezsensownie, też mi trochę żal. Nie nazwę go faszystą, rasistą albo orkiem. To by była dehumanizacja.

ła złapana i stracona [wraz kolegami]. W Rosji była Natalia Gorbaniowska, którą dobrze znałem – przemawiała podczas sześcioposobowej demonstracji przeciwko inwazji na Czechosłowację. Nie miała w sobie rosyjskiego szowinizmu i sowietyzmu. Umieszczono ją w zakładzie psychiatrycznym. Potem ją zwolnili i wyemigrowała.

Niektórzy mówią, że Rosjanie nie powinni dezertować, uciekać do wolnych krajów, powinni się buntować przeciwko Putinowi, bo milczą i swoim milczeniem go wspierają. A przecież Litwa milczała przez prawie 50 lat, zanim powstał Sąjūdis [ruch niepodległościowy, działał od 1988 r.]. Wielu wychwalało reżim sowiecki. Chociaż wielu ludzi głęboko nienawidziło systemu i w głębi serca było „za Litwą”, milczeli. Przerwali milczenie, kiedy Gorbaczow na to pozwolił, i to też nie od razu.

Trzeba więc zaczynać od rozliczania siebie samych? – Tak. Znowu niektórzy powtarzają: „Rosjanie nas wygnali”, „Rosjanie nas zabijali”, „Rosjanie nas okradli”. Ale czy Litwini nie byli w to zamieszani? Czasem nawet opowiadają, że to wszystko zrobili Żydzi, co jest już zupełnie oderwane od rzeczywistości. Trzeba jednak przyznać: gdyby nie sowiecka, czyli w dużej mierze rosyjska, oku-

– Niewątpliwie.

Gdyby Hitler, siedząc w bunkrze, posiadał broń atomową, by ją odpalił. Nie dopuścił do tego Werner Heisenberg, fizyk, któremu Hitler zlecił stworzenie broni atomowej. Albo polecenie sabotował (tak mówił po wojnie), albo po prostu nie miał dość czasu, by ją stworzyć.

Jest pan znawcą Holocaustu. Wielu mówi: „To, co Rosja robi w Ukrainie, to ludobójstwo, zwłaszcza to, co stało się w Buczy, Irpinu czy Iziumie”. Te zbrodnie można porównać?

– Z ludobójstwem mamy do czynienia wtedy, kiedy ludzie są masowo zabijani. I kiedy spotyka to każdego członka danego narodu, który wpadnie w łapy zbrodniarzy. To właśnie stało się z Żydami czy podczas I wojny z Ormianami.

Jest też ludobójstwo „niższego rzędu” – władza sowiecka dokonała go na Czeczenach, wygnała ich co do jednego. Wygnała wszystkich Tatarów krymskich. To przykład represji za to, że należysz do danego narodu. I za nic innego. Możesz kochać władzę sowiecką – i tak zostaniesz deportowany. Możesz za nią walczyć na froncie – i tak cię deportują. Podobno w czasach sowieckich władza chciała też deportować wszystkich Ukraińców, ale okazało się to zbyt trudne – było ich za dużo.

A Litwini? Stalin chciał wszystkich wygnać, rozważał takie plany, ale ich nie zrealizował. W końcu wygnał tylko elitę narodu.

Co do Buczy – owszem, zabijano tam ludzi, cywilów, najwyraźniej tylko dlatego, że mówili po ukraińsku, a okupant ich nie lubił. To jest ludobójstwo. Ale ludobójstwo na mniejszą skalę niż Holocaust. Jeśli, nie daj Boże, takie zbrodnie będą się w Ukrainie powtarzać, to może dojść do ludobójstwa podobnego do Holocaustu.

Jednak to, co wydarzyło się w Buczy i w wielu innych miejscach, nosi wszelkie znamiona ludobójstwa – ta zbrodnia musi zostać zbadana, udokumentowana i ukarana. I mam nadzieję, że osoby odpowiedzialne za to zostaną ukarane, tak jak ukarano wielu sprawców Holocaustu. ●



FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomas Venclova

• ur. w 1937 r., litewski poeta, eseista, tłumacz. W czasach ZSRR dysydent, obrońca praw człowieka. Od końca lat 70. na emigracji w USA, w 2019 r. wrócił do Wilna.

Tekst ukazał się 20 października 2022 r. na stronie portalu pierwszego kanału litewskiej telewizji publicznej LRT, lrt.lt. Tytuł – „Wyborcza”. Więcej: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Ktoś powiedział niedawno:

„Rosja to rak ludzkości, trzeba go wyciąć”. Ale jak wyciąć? Eksterminować 140 mln Rosjan?

żydowskich pisał dość rzadko i nigdy nie pojechał do Izraela.

Jest taka formuła, również Michnika: „amnestia, ale nie amnezja” – pamiętać o tym, co ktoś zrobił, ale umieć wybaczyć. Dzisiaj bombardowani przez Rosję Ukraińcy nie mogą jej wybaczyć. Ale minie 10, a może i 100 lat, i wybaczą, choć nie zapomną.

Mówiliśmy o walce z władzą sowiecką, więc przypomnę list, który napisał pan w 1975 r. do KC partii komunistycznej: że w ZSRR nie da się żyć, a reżim wyrządza wielką krzywdę kulturze i ludziom. Jak się pan wtedy czuł i jak się pan dzisiaj czuje, myśląc o tych ludziach w Rosji, którzy teraz nie chcą wyrazić jasno stanowiska?

– Dzisiaj słysząc: „Putin to ciemny typ, ale czy naród jest taki nieskazitelny? Przecież popiera Putina”. Otóż są Rosjanie, którzy go nie popierają i jest ich coraz więcej. Dowodem reakcja na mobilizację.

Kiedy wybucha wojna, najpierw prawie każdy naród wspiera mocno swój rząd. Tak było w Rosji podczas I wojny, ale też w Niemczech, we Francji. W Niemczech najgorzej było podczas II wojny, bo naród w zdecydowanej większości popierał Hitlera. Potem trzeba było długo reedukować ludzi.

We Francji w czasie I wojny każdy był patriotą: „Bijcie szkodów, dojdziemy do Berlina”. W Rosji

Ktoś, ważna u nas w świecie polityki figura, powiedział niedawno: „Rosja to rak ludzkości, trzeba go wyciąć”. Ale jak go wyciąć? I jakie znaleźć miejsce dla Rosji? Eksterminować 140 mln Rosjan? Albo okupować ją jak w swoim czasie Niemcy i reedukować?

Przypomnę Karla Jaspersa, który dzięki swojej pracy „Kwestia winy” bardzo pomógł Niemcom uświadomić sobie, co zrobili w czasie II wojny. A przykład tego człowieka jest wyjątkowy – nie wyjechał z Niemiec i z żydowską żoną pozostał w kraju przez 12 lat, w czasach III Rzeszy. Czy w Rosji mogą się pojawić tacy ludzie jak Jaspers czy Sacharow? – Mogą. Jednak Jaspers pod rządami nazistów siedział cicho, dopiero gdy nazizm upadł, napisał głębokie studium filozoficzne na temat winy. A Heidegger popierał nazistów, będąc jednocześnie wielkim filozofem, może większym niż Jaspers.

Regularnie oglądam program „Żywy gwóźdź” [kanał zablokowanego radia Echo Moskwy na YouTube]. W nim rosyjscy dziennikarze – niektórzy przebywają w Rosji, więc ryzykują – wypowiadają się przeciwko Putinowi. To rzadki przypadek odważnych ludzi przeciwko reżimowi.

W III Rzeszy była Sophie Scholl, młoda katoliczka, która rozrzuciła antyhitlerowskie ulotki. Zosta-

pacja (choć wśród okupantów byli też Ukraińcy, Ormianie, Kazachowie czy Czeczeni), nie doszłoby do tych strasznych rzeczy.

A potem słysząc, że Rosjanie nie są zdolni do pokuty. W XIX wieku był taki niezbyt wybitny i niezbyt znany poeta Władimir Pecherin, który napisał: „Jak słodko jest nienawidzić ojczyzny i niecierpliwie czekać na jej koniec”. Czyż nie jest to pokuta? Czy Herzen nie żałował tego, co działo się w jego kraju? A Sałtykow-Szczedrin, który sportretował straszną, a zarazem śmieszną w swej grozie Rosję?

Przypominam sobie dyskusję, która odbyła się pięć lat temu na Uniwersytecie Wileńskim. Powiedział pan wtedy, że jest różnica między Putinem a Stalinem, ale chciałby pan, żeby była większa. Zaczęła się wojna w Ukrainie i trwa nadal. Czy ta różnica jest coraz mniejsza? – Z całą pewnością, chociaż jeszcze istnieje. Bo gdyby Putin nie różnił się od Stalina, to 10 mln ludzi siedziałoby, a 3 mln zostało by rozstrzelanych. Putin postawił się w historii niemal obok Stalina. Mówi się też: Putin to Hitler, Puder. Ale nie stał się jeszcze w pełni Hitlerem. Hitler zabił więcej ludzi i dokonał większych zniszczeń.

Jednak groźby Putina, że może użyć broni jądrowej, dają mu szanse w tej „rywalizacji”?

ŁEMKOWIE WRACAJĄ

Oto poezja wypowiedana po historycznych kataklizmach

Leszek Szaruga*

Wydanym w 1964 r. zbiorze Jerzego Harasymowicza „Podsumowanie zieleni” zwraca uwagę cykl „Elegie łemkowskie”, a jeden z bardziej przejmujących wierszy – „Na cmentarz łemkowski” – opisuje opuszczone, zapomniane miejsce spoczynku tych, którzy tu niegdyś żyli, a których, w ramach akcji „Wisła”, oczyszczającej Bieszczady z ludności rusińskiej, wysiedlono do Sowietów bądź rozproszono po obszarach poniemieckich zachodniej i północnej Polski:

„Oto cmentarz/ zielem zarosły// Oto poręba/ po krzyżach zwalonych// wiatrołom/ świętego drzewa// Oto cmentarze Łemków/ w Złockiem/ w Szczawniku/ w Leluchowie// Oto śpią na podłodze/ dawno już spróchniały/ bez krzyża nad głową/ Filipy/ Nykyfory/ Harasymy”.

Powroty Łemków rozpoczęły się w latach 60., lecz dopiero w latach 80. poeta Władysław Graban – po przeniesieniu się spod Wrocławia do Gładyszowa – zainicjował festiwal Łemkowska Watra, który od 40 lat odbywa się w Zdyni, małej miejscowości w Beskidzie Niskim, gromadząc coraz liczniejsze grono uczestników zarówno z Polski, jak i z zagranicy, co o tyle ważne, że silna społeczność łemkowska osiadła w Kanadzie i USA. W wierszu „Wigilia” pisze Graban:

„Nas kilku ludzi/ to tak/ jak by nas nie było/ wdeptani/ w mroźne morze śniegu/ w górzystą dziedzinę/ Łemkowie/ rozproszeni jak ptaki/ a chaszczy tu tyle/ że mogą przysiąc/ tysiące”.

Opublikowana ostatnio antologia poezji łemkowskiej „Powroty”, choć dość skromna, skupiona jest na próbach dochodzenia swej tożsamości. Píše o tym inna autorka prezentowanych tu wierszy, Helena Duć-Fajfer, wyodrębniająca „nurt łemkowskiej autoprezentacji”, wskazując na najważniejszy rys twórczości pokolenia pisarzy urodzonych już po wojnie, z dala od stron rodzinnych, a zatem kształtowanych przez odmienne doświadczenia niż generacje ojców czy dziadów:

„Twórcy tego nurtu to najmłodsze pokolenie poetów łemkowskich, urodzone już po tragicznych dla Łemkowszczyzny latach 1945-1947 daleko od ojczystych gór, na ziemiach Polski zachodniej. Inna więc niż w przypadku poprzednio wymienionych poetów rzeczywistość kształtowała ich dzieciństwo i lata młodości. Inny jest ich stosunek zarówno do Łemkowszczyzny przedwojennej, jak i współczesnej.

Tę dawną, etnicznie jednolitą krainę znają tylko z opowiadań i wspomnień rodziców, zazwyczaj bardzo idealizowanych. Współczesna Łemkowszczyzna – rozproszona, asymilowana, problematyczna – jest dla

nich wartością aktualną, o której zachowanie trzeba walczyć, i to nie tylko piórem, lecz całym swym życiem”.

„Powroty” to zbiór stanowiący poetycką manifestację istnienia Łemkowszczyzny, co prawda odmiennej od tej, z jaką mieliśmy do czynienia przed kataklizmem II wojny światowej, niemniej, wbrew wyrokom polityki, ocalonej jako wartość nierodukowalna, co znajduje wyraz w wierszu „Rekomendacja” Petra Murianki:

„To tylko/ Łemkowyna/ przyszła ku mnie kiedyś/ dotknęła mego serca/ i rzekła/ pisz”. Ten sam autor w wierszu „Wiosna” subtelnie wpisuje partykulę „łem” w nazwę stron rodzinnych, co oczywiście sprawia spore trudności translatorskie, zważywszy, że w jego rodzimym języku „łem” oznacza „tylko”:

„Łem.../ jeno czekać/ aż ptaki strzechem/ radość roztrzepoczą/ do gniazd rodzinnych powrócą// Ptaki jeno/ Łem...”.

Tym, co zwraca uwagę w niemal całej tej poezji, jest skłonność do postrzegania swego doświadczenia w swoście pomniejszającej perspektywie, jak choćby w wierszu Pawła Stefanowskiego „Do Polaków”:

„Idę/ do dębów/ z dębową gałązką Drzymały/ zwykły/ szczery/ mały”.

Takie określenia jak „tylko” czy „mały”, wspomnianie o garstce ludzi zbierających się w przestrzeni dawnego bytowania, zdają się ewokować poczucie znikomości istnienia. Ale jednocześnie jest to istnienie utwierdzone w kosmicznym porządku, jak w wierszu Oleny Duć-Fajfer, w którym jej świat „to cząsteczka przestrzeni/ w absoluście”. I właśnie ta „cząsteczka”, drobna, lecz niezbywalna, ocalana jest w słowach tej poezji wypowiedzianych po historycznych kataklizmach.

Łemkowyna, skazana na niebyt, jednak odradza się z tym samym uporem, który nakazywał malarzowi Nikiforowi trzy razy powracać pieszo z wygnania do rodzimej Krynicy, by wreszcie wymusić na władzach swe prawo do życia na swojej ziemi.

Ale też tytułowe „powroty” to sięganie ku przeszłości głębokiej, zakorzenionej w dziejach RP, o której pamięć, zdawać by się mogło, została ocenzurowana i przytłumiona. To kresowe doświadczenie wielogłosowej wspólnoty, w której Łemkowyna ma swój pełnoprawny udział, a której rolę w zbiorowej pamięci wyznacza zarówno „szkoła ukraińska” polskiego romantyzmu, jak i współczesna twórczość inspirowana przez rekonstrukcję zaginionych światów. Interesująco pisał o tym wywodzący się z tych obszarów Zygmunt Haupt, któremu poświęcony jest doroczny festiwal towarzyszący Łemkowskiej Watrze:

„Jak zasłuchać się w imiona rzek, dolin, lasów, szczytów górskich, wsi, miasteczek i miast, to jedno swym brzmieniem przywołują całe panoramy światów zagrzebanych na cmentarzyskach pamięci, a znowu inne zaskoczą nieznany odkryciem, nigdy nie zasłyszany czemuś echem. Rumienimy się ze wstydu, że jak można było tak zapomnieć, roztrwonić, porzucić albo zagłuszyć w sobie, kiedyś nie przyswoić bogactwa, które dopiero przypadek, dobry los potrafi nam dzisiaj przywrócić”.

Przestrzenie Karpat, zwłaszcza ich beskidzkie obszary, mają bogatą i wartą osobnego omówienia literaturę – od wspaniałej, rozpoczętej jeszcze w międzywojniu epopei Stanisława Vincenza „Na wysokiej poloninie”, przez podolskie opowiadania Juliana Wołoszynowskiego, po rozgrywające się w Beskidzie Niskim „Opowiadania galicyjskie” i „Duklę” Andrzeja Stasiuka.

Dziś, rzecz jasna, po wstrząsach historii, przywracanie przeszłości jest niemożliwe. Możliwe jest jednak, nawiązując do tego, co bezpowrotnie utracone, komponowanie przyszłości w nowych już okolicznościach, które wszakże nie stłumiły – co poświadczają ilustrujące wiersze skomponowanych przez Silvę Bruni „Powrotów” zdjęcia, które wykonali Simona Ottolenghi i Roberto Gabriele – miejscowego genius loci. ●

* **Leszek Szaruga** – ur. w 1946 r., poeta, eseista, tłumacz, prozaik, badacz literatury. Niedawno wydał tom poezji „Łowca” i poemat „Mucha” (wyd. Convivo).

„**Ritorni. Powroty. Wiertania. Antologia di poesia lemka. Antologia poezji łemkowskiej. Antologija łemkiwskoj poezii**”. Wybór, oprac. i postowie Silvia Bruni, Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2022.



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Andrzej Bursa*

Dno piekła

Na dnie piekła
ludzie gotują kiszą kapustę
i płodzą dzieci

mówią: piekielnie się zmęczyłem
lub: piekielny dzień miałem wczoraj
Mówią: muszę się wyrwać z tego piekła
i obmyślają ucieczkę na inny odcinek
po nowe nieznane przykrości
ostatecznie nikt im nie każe robić tego wszystkiego
a są zbyt doświadczeni
by wierzyć w możliwość przekroczenia kręgu
mogliby jak ci starcy
hodowani dość często w mieszkaniach
(przeciętnie na dwie klatki schodowe jeden starzec)
karmieni grysikiem
i podmywani gdy zajdzie potrzeba
trwać nieruchomo w proroczym geście
z dłońmi uniesionymi ku górze

ale po co
dokładne wydeptywanie dna piekła
uparte dążenie
z pełną świadomością jego bezcelowości
ach ileż to daje satysfakcji

1957



* **Andrzej Bursa** – 1932-57, zmarły przedwcześnie poeta i prozaik, zaliczany do tzw. poetów wyklętych. W jego wierszach obecne są antyestetyzm i brutalny naturalizm, ironia i prowokacyjny cynizm, a jednocześnie ukryty liryzm.

Wiersz za antologią **Bohdana Drozdowskiego i Bohdana Urbankowskiego „Od Staffa do Wojaczka. Poezja polska 1939-1988”**, t. 2, Wydawnictwo Łódzkie 1991.



Satysfakcja

Krystyna Pawłowicz martwi się o Micka Jaggera: „Merry Christmas... Czy Pan jest osobą wierzącą w Christmas? Był Pan u spowiedzi? A może na Mszy Św. w czasie Święta Christmas?”

Michał Rusinek*

W 1929 roku węgierski pisarz Frigyes Karinthy opublikował nowelę zatytułowaną „Láncszemek”, czyli „Ogniwa łańcucha”. Zainspirowała ona naukowców do potwierdzenia zawartej tam teorii, że od każdej osoby na świecie dzieli nas „sześć kroków”. Amerykański psycholog społeczny Stanley Milgram dowiódł, że liczba stopni znajomości między dwiema dowolnymi osobami w całej ziemskiej populacji nie przekracza sześciu. Czyli na przykład piszemy list do swojego idola mieszkającego na innym kontynencie. Wysyłamy ów list najpierw do swojego znajomego, żeby przesłał go dalej, do swojego znajomego, który prześle go swojemu z kolei znajomemu – i w sumie najdalej za szóstym razem list nasz trafi do naszego idola, wprawiając go zapewne w zakłopotanie.

• Eksperyment Milgrama został przeprowadzony w 1967 roku, czyli w czasach, kiedy nikomu nie śniło się jeszcze o mediach społecznościowych. Owszem, umożliwiają one wyłącznie kontakty wirtualne, ale za to drastycznie zmniejszają liczbę kroków dzielących nas od dowolnej, acz mającej konto w owych mediach, osoby. Drastycznie, bo do kroku jednego. O ile wykonanie sześciu kroków wiąże się z jakimś wysiłkiem, którego wizja może działać na nas zniechęcająco, o tyle zrobienie jednego kroku wydaje się wysiłku nieomal pozbawione. Nie ma się zatem co dziwić, że i dyktans wobec osób publicznych skrócił się drastycznie, skoro nieomal do każdej z nich można po prostu napisać. I nawet nie trzeba naklejać znaczka.

Media społecznościowe, jak wiadomo, pozwalają zarówno pisać prywatne wiadomości do konkretnego adresata czy adresatki, jak i pisać u niego (niej) na profilu, co powoduje, że wiadomość ta jest publiczna. Dawniej trzeba było pisać w tym celu tzw. listy otwarte i liczyć na to, że jakaś gazeta je wydrukuje. Tego typu publiczne wiadomości zawsze wzbudzają podejrzenie, że ich autor czy autorka chcą po prostu zwrócić na siebie uwagę, przypomnieć o swoim istnieniu i dać znać swoim znajomym czy osobom podzielającym jego czy jej poglądy, że trwają na posterunku, że trzymają rękę na pulsie, że walczą o jakąś sprawę.

• I tak na przykład dr hab. Krystyna Pawłowicz, sędzia Trybunału Konstytucyjnego, napisała ostatnio taką publiczną wiadomość do sir Micka Jaggera, lidera zespołu The Rolling Stones, prawdopodobnie swojego muzycznego idola. Pod życzeniami świątecznymi („Merry Christmas and Happy Holidays to you all!”), które umieścił on na Twitterze wraz z własnym zdjęciem na tle choinki, napisała: „Merry Christmas... Czy Pan jest osobą wierzącą w Christmas? Był Pan u spowiedzi? A może na Mszy Św. w czasie Święta Christmas?”. To znamienne, że fani martwią się nie tylko o zdrowie cielesne, ale i duchowe swoich idoli. I nie ma się co dziwić, że emocje związane z pisaniem do idola mogą wpłynąć na skłonność do nieuzasadnionego ortograficznie stosowania wielkich liter czy błędy frazeologiczno-teologiczne (nie można wierzyć lub nie wierzyć w święta, można w istoty nadprzyrodzone lub niepotwierdzone dowodami wydarzenia historyczne). O duchowym życiu Micka Jaggera wiem niewiele, za to z góry współczuję księdzu, który wysłucha spowiedzi dotyczącej jego życia doczesnego. Jeśli dobro kleru katolickiego jest ważne dla sędzi Pawłowicz, to na jej miejscu nie namawiałbym Jaggera do przystępowania do tego akurat sakramentu.

• Kilka dni później, również na Twitterze, Andrew Tate, amerykańsko-brytyjski kickbokser,

mizogin i przestępca specjalizujący się w zmuszaniu kobiet do tworzenia treści pornograficznych, ukrywający się przed organami ścigania, napisał publiczną wiadomość do Greta Thunberg. Chwalił się, że jest właścicielem 33 samochodów o potężnych silnikach i innych turbosprężarkach, oraz poprosił ją o podanie adresu mejlowego, żeby móc – już w wiadomości prywatnej – przesłać jej pełną ich listę oraz informacje o ich „ogromnych emisjach”. W przeciwieństwie do Micka Jaggera Greta Thunberg odpisała i podała Tate’owi adres, którego nazwa była słownym żartem i sugerowała, że kickbokser nie jest szczególnie hojnie obdarzonym przez naturę mężczyzną. Doprowadziło go to do szału. Zaczął publikować obraźliwe filutki i zdjęcia. Na jednym z nich widać pudełko po pizzy z nazwą lokalu – w Rumunii. Policja szybko go namierzyła i został aresztowany pod zarzutem handlu ludźmi, gwałtu i tworzenia zorganizowanej grupy przestępczej. Wtedy dopiero odpowiedziała mu Greta Thunberg: „Oto czym grozi niepoddawanie recyklingowi pudełek po pizzy” – napisała. Niestety, odpowiedzi tej Tate nie może przez jakiś czas przeczytać, chyba że ma w areszcie dostęp do internetu. Całą wymianę ognia między Tate’em a Thunberg przeczytało za to pół miliarda ludzi. Zapewne większość z nich – z przyjemnością. Miło jest bowiem patrzeć, do czego potrafi być zdolna błyskotliwa złośliwość. Napawa to nadzieją, że inteligencja może wygrać z tępą siłą.

• W tym samym czasie podobnie morderczą ripostę postanowił zastosować europoseł PiS Dominik Tarczyński, odpowiadając Melanie C, która odmówiła udziału w organizowanym przez Telewizję Polską koncercie sylwestrowym, tłumacząc, że istnieje rozdzźwięk między ideologią, którą promuje TVP (w domyśle: homofobią), a wartościami i społecznościami, które wspiera artystka. Melanie C wystąpiła bowiem w 2018 roku w Rosji (zaproszona wprawdzie przez instytucję nie polityczną, ale kulturalną). Tarczyński umieścił jej zdjęcie z koncertu w Sankt Petersburgu ze złośliwym podpisem: „A tutaj w Rosji, ty stara hipokrytka!”. Dodajmy, że jest od niej pięć lat młodszy (on – rocznik 1979, ona – 1974), więc jego wpis, zamiast Melanie C zmiażdżyć, ujawnił, kiedy zaczyna się dla niego starość. Jak widać, nie każda złośliwość jest błyskotliwa, zwłaszcza gdy nie jest podszyta inteligencją. Czasami lepiej milczeć, żeby samemu nie zrobić sobie krzywdy.

• Wróćmy jednak do Greta Thunberg. Z niepokojem przypominałem sobie bowiem wpis na Twitterze Łukasza Warzechy, czołowego publicysty prawicy, z 2019 roku. Wsiadając do samolotu, zrobił on wymowne zdjęcie tankowanej maszyny i skomentował: „Hej, Greto, ludzie cierpią, ludzie umierają, a ja mam zamiar jeszcze trochę dobić naszą planetę. Jestem złym, złym człowiekiem. Jak ja śmiem?!”. Skoro aktywistka nie odpisała mu przez trzy lata, to może już nie odpisze? Ale co będzie, jeśli po – jak to się teraz mówi – zaoraniu Tate’a Greta Thunberg zacznie przeglądać nieodpisane wiadomości i odpowie Warzesze w podobnym, anatomicznym duchu?

Nie mam prawdziwego mejla Greta Thunberg i nie mam zamiaru szukać sześciorga znajomych, żeby do niej dotrzeć. Łatwiej mi zaapelować tutaj do redaktora Łukasza Warzechy, liżąc na to, że czasami czytuje „Wyborczą”: Pannie redaktorze, dla dobra rodzimej publicystyki prawicowej proszę skasować swój tweet. Owszem, pół miliarda ludzi ma szansę dowiedzieć się o Pańskim istnieniu, ale czy warto? Podobną prośbę kieruję też do sędzi Pawłowicz. Mick Jagger nie ma wprawdzie na koncie tak spektakularnych akcji twitterowych jak szwedzka aktywistka, ale skądinąd wiem, że jest to człowiek, który dla własnej satysfakcji, której szuka od 1965 roku, jest w stanie zrobić naprawdę wiele.

• ***Michał Rusinek** – wykładu (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Brońcie się nieco mądrzej

Przeanalizujemy kazus: feministyczną interpretację święta Trzech Króli.

Marcin Matczak*

Piszę ostatnio o religii, bo zależy mi na praworządności. Wybitny lingwista George Lakoff twierdzi, że te dwie sfery są powiązane, bo kluczowy argument niszczących praworządność populistów, jak Trump czy Kaczyński, brzmi: liberalowie i lewica zagrażają tradycyjnemu porządkowi normalnemu. Chcą zdestabilizować świat norm moralnych i religijnych, atakują tradycję i rodzinę. Stąd narracja o wojnie kulturowej z gender, ustawa o obronie chrześcijan i historyczna reakcja na tęczowe opaski Black Eyed Peas z „Sylwestra marzeń”.

Hipokryzja? Oczywiście! Ci obrońcy wartości sami je ośmieszają, jak Trump, który ma za sobą afery seksualne. Ale dzięki orwellowskiemu dwójmyśleniu ich zwolennikom nie przeszkadza, że jedno mówią, a drugie czynią. Elektorat konserwatywny boi się zmian w świecie, chce stabilności, a populistyczni liderzy tę stabilność napuszonym gadaniem im obiecują.

Według politolożki Karen Stenner jest to gadanie skuteczne. Konserwatyści, zwłaszcza gorzej wykształceni, to często unikacze chaosu i nowości, nieradzący sobie ze złożonym światem, chcący, żeby wszystko było proste jak kiedyś. Ich przywódcy to rozumieją i prowokują drugą stronę, obrażając wartości liberalne i lewicowe, takie jak akceptacja różnorodności seksualnej i płciowej.

A druga strona daje się rozgrywać. Przeciw atakom Kaczyńskiego, który rechoce z niebinarności, nie tylko niebinarność wznosi na sztandar, Na homofobiczne wpisy Kowalskiego odpowiada nie tylko poparciem dla wspólnoty LGBTQ+. W odwecie atakuje wartości religijne. A populisci zacierają ręce i mówią do swego elektoratu: „Czy nie ostrzegaliśmy przed tymi potworami, które chcą zniszczyć to, co dla was ważne?”.

Czy więc obrażani mają milczeć? Nie! Ale jeśli chcą mądrze na prowokację odpowiedzieć, powinni być ostrożniejsi. I nie jest to paternalizm, tylko przyjacielska rada. Aby to unaocznici, przeanalizujemy kazus: feministyczną interpretację święta Trzech Króli. Przeczytajcie, proszę, do końca, zanim wydacie wyrok.

Idąc śladami Margaret Atwood, która w „Peneliopiadzie” przedstawiła kobiecą wersję historii Odyseusza, feministki przedstawiają swoją wersję historii Trzech Króli, której bohaterkami były trzy królowe-mędrzynie. I nie jest ona pozbawiona podstaw.

W 2004 r. komitet rewidujący modlitewnik Kościoła Anglii stwierdził, że termin „magoi” użyty przez św. Mateusza do opisu królów mógł obejmować kobiety: „To słowo, które nie ujawnia nic na temat liczby, mądrości czy płci”. Dziennikarka Julia Baird w artykule „Gdyby kobiety napisały historię Bożego Narodzenia: Trzy mędrzynie i niezbyt cicha noc?” cytuje dominikanina Benedykta Viviano, który też twierdzi, że wśród trzech króli mogły być kobiety. To logiczne: w czasach Jezusa trudno było sobie wyobrazić, że trzej mężczyźni przebywali sam na sam z młodą dziewczyną, a Józef dziwnie znika w momencie wizyty.

Może dlatego w popkulturze pojawiają się memy przedstawiające Trzy Mą-

dre Niewiasty, które w przeciwieństwie do facetów „zapytałyby o drogę, przybyły na czas, pomogły urodzić, zamioty sta-jenkę, zrobiły coś do jedzenia i przyniosły bardziej praktyczne prezenty”. Ten mem, choć utrwalający tradycyjną rolę kobiety, chwali Kittredge Cherry, lesbijka i chrześcijanka, piszącą o duchowości osób LGBTQ. W artykule „Queer-epifania: trzej królowie czy trzy królowe?” sugeruje, że Kacper, Melchior i Baltazar byli gejami.

Dawne obrazy przedstawiają ich wszak śpiących w jednym łóżku (nagich, ale zawsze w koronach). A Virginia Moltenkott, autorka książki „Omnigender”, twierdzi, że stajenkę odwiedziły transkobiety. Może o tym świadczyć to, jak kobieco Baltazara przedstawił na swym obrazie Hieronim Bosch.

Podobnie Janet McKenzie przedstawia na obrazie „Epifania. Mężczyzna? Kobieta? Trans?” trzy wyglądające kobieco osoby w otoczeniu Maryi, co wzbudziło protesty i oskarżenia o przepisywanie historii. A wisienka na torcie to teledysk trzech drag queens niosących złoto, kadzidło i mirrę, opublikowany na YouTube.

I tu stop. Jeśli w czasie czytania powyższego pomyśleliście „bez przesady!”, to rozumiecie, że nie wszyscy z radością przyjmują takie wariacje na temat religijnego święta. A nawet jak wy nie pomyśleliście, wielu pomyślało. Najwrażliwsi z nas dostrzegą w tych nowych interpretacjach coś cennego: oto miłość przypisywana Bogu rozciąga się „poza ludzkie granice rasy, klasy, narodowości, pochodzenia etnicznego, wyznania religijnego i płci” i docenia piękne słowa Julii Baird: „Opowieść o Bożym Narodzeniu może być opowieścią o młodej, pobożnej dziewczynie otoczonej przez inne kobiety, które chwytają ją za rękę, gdy skracają się jej wewnętrzności, szepczą jej do ucha słowa otuchy, gdy ona przynosi na ten świat dziecko”. Nie każdy jednak jest w stanie to zrobić.

I tu konkluzja: skoro nawet ta delikatna wariacja na temat motywu biblijnego powoduje u kogoś dyskomfort, co powiedzieć o artystycznym przedstawieniu Matki Bożej jako waginy czy o graffiti na murze kościoła, głoszącym: „Szkoda, że Maryja nie zrobiła aborcji”?

Każdy ma wolność wypowiedzi. Nawet Ryszard Petru mówiący, że króli było sześciu, czego zresztą nie wyklucza franciszkanin Eryk Hoppe („wiele opracowań i legend mówi o sześciu, a nawet 12 mędrcach”). Ale korzystający z tej wolności musi być przygotowany na reakcję, która wystąpi przy wyborczej urnie. Ci z nas, którzy są mniej otwarci na to, co nowe i burzące standardy, ulegają mamieniu populistów, że to ich rządy ochronią porządek normatywny. A jak ulegną, to i praworządności, i wolności będzie mniej.

Stenner pisze, że konserwatyści gorzej znoszą atak na wartości tradycyjne niż postępowcy atak na wartości postępowe. Co za niesprawiedliwa asymetria! Ale coś w tym jest. Jeśli porządek normatywny jest dla kogoś gwarancją stabilności świata, uderzenie w tradycję to cios bardzo dotkliwy. Co postępowcy powinni z tą wiedzą zrobić? Może pomyśleć, że gromkie „wypierdalać” pod adresem wierzących nie jest najlepszym hasłem wyborczym. •

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”

Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z PROF. **ZBIGNIEWEM MIKOŁEJKĄ**,
FILOZOFEM RELIGII,
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Czy zwierzęta jako istoty nieludzkie...

– ...od razu zaprotestuję. Zwierzęta należą do świata ludzkiego, zwłaszcza koty, psy, papugi i króliki. Węże nie za bardzo – chociaż...

...waż to za Biblią demonicznie się panu kojarzy?

– Biblia nie ma tu nic do rzeczy. Nie mógłbym łączyć się emocjonalnie z wężem, chociaż miałem kiedyś znajomego, który od czuwał taką więź z leżącą za szkłem bestią. Ja nie czuję więc z nimi żadnej bliskości, ani uczuciowej, ani intelektualnej. I nie wydaje mi się możliwa komunikacja z tymi stworzeniami. Ale może jestem więźniem pewnych stereotypów? Tymczasem zachowania zwierząt rozsadzają często rozmaite o nich utarte wyobrażenia. Oglądam oczywiście, jak wszyscy, filmiki o zwierzętach i widziałem na przykład gęs, która biegnie radośnie na przywołanie swej pani, rozpościerając skrzydła niczym ramiona – i tymi ramionami ją obejmuje. I czeka na nią. Nie wyobrażam sobie, żeby węź tak reagował na mój widok, ja w każdym razie wolalbym z nim nie mieć do czynienia. Także z dzikiem nie mógłbym się chyba zaprzyjaźnić.

Dlaczego?

– Dzik jest bardzo niedostępnym i groźnym zwierzęciem, bardzo osobnym. Wiem chociażby o różnych przyjaźniach między człowiekiem a wilkiem, niedźwiedziem albo lwem. Ale o takim związku z dzikiem nigdy nie słyszałem. Ale przecież i w naszym ludzkim świecie są takie osoby, z którymi nam nie za bardzo „po drodze”, i takie, z którymi, i owszem, jesteśmy w stanie nawiązać więź bliską i które stają się częścią naszej rodziny.

Ignacy Karpowicz opowiadał mi, że jako dzieciak znalazł na łące podtopioną, ledwo żywą świnię, która przez wiele lat była jego psem.

– Mój sąsiad w Lidzbarku Warmińskim miał dwie małe świnki, z gatunku tych czarno-białych, z którymi jako dziecko urządzałem sobie wyścigi. Lubily się ze mną bawić, czekały na mnie codziennie. Ten sąsiad był człowiekiem wrażliwym i przyzwoitym: nie zabił ich, abym nie cierpiał, tylko sprzedał. Teraz wiem, że pewnie poszły gdzieś pod nóż, ale wtedy chciałem wierzyć, że tak się nie stało. Świnie zresztą są bardzo inteligentne i bardzo czyste. I potrafią być nader oddane. Parę lat temu czytałem, że w Australii świnia obroniła swoją panią przed złodziejami.

A w jednym z wierszy „Wpatrywaliśmy się w siebie przez chwilę,/ wilk i ja,/ potem on pobiegł w swoją dzikość,/ ja zostałem w tym ciemnym lesie, lesie zielonym”. To prawda?

– Rzeczywiście tak było, jak napisałem. Z rozmaitych względów prowadziłem w dzieciństwie taki żywot półdziki, trochę jakby zwierzęcy. Włóczyłem się po okolicznych lasach i zagajnikach, wędrowałem przez chaszcze, bagna i koryta strumieni, pomieszkowałem w szalasach. Wilka napotkałem – miałem wtedy ze 12, 13 lat – za tak zwanym cmentarzem rumuńskim, na którym spoczywali jericy, różnych zresztą narodów, z okresu I wojny.

Nie bał się pan?

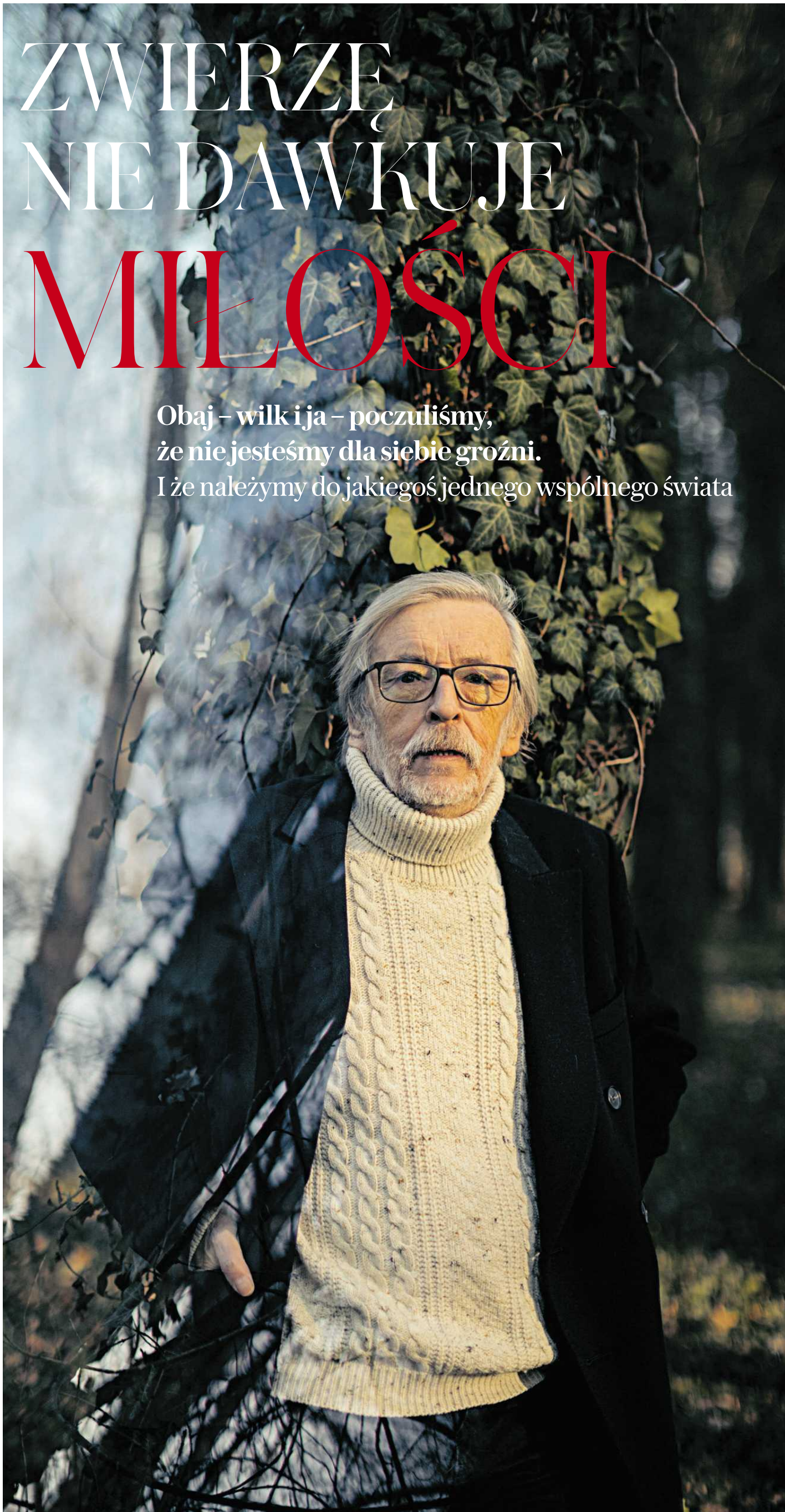
– Lęk wstąpił we mnie ex post, słaby zresztą i chwilowy, więc się zaraz rozplynął. Obaj bowiem – wilk i ja – poczuliśmy chyba, że nie jesteśmy dla siebie groźni. I że – może – należymy do jakiegoś jednego wspólnego świata. Do natury czy wręcz „dzikości”.

Dzieci są intuicyjnie bardziej ufne wobec zwierząt niż dorośli.

– Istotny jest ich stosunek do śmierci z jej grozą. Dziecko nie jest do końca jej świadome, a zwierzę – jak napisał Rilke – „idzie, mając śmierć za sobą”. Już za sobą. Istotny jest też chyba pewien element kulturowy.

ZWIERZĘ NIE DAWKUJE MIŁOŚCI

Obaj – wilk i ja – poczuliśmy,
że nie jesteśmy dla siebie groźni.
I że należymy do jakiegoś jednego wspólnego świata



W „późnej nowoczesności”, w epoce dzie-
wīętnastowiecznego zwłaszcza kapitalizmu,
urbanizacji i odejścia od dawnych, archa-
icznych wīęzi z naturą, przekształcaną te-
raz w romantyczny mit, dziecko – jak pisa-
łem w jednym z esejów – stało się, aż po la-
ta 60. XX stulecia, takim „wewnętrznym dzi-
kim”. I wymagało „okrzesańia”, „hodowli”,
„poddania dyscyplinie”, „przystosowania”
do norm i zwyczajów. Słowem, denaturali-
zacji, którą praktykowały upojnie i z niema-
łym sadyzmem wszystkie środowiska – od
protestanckich i katolickich instytucji wy-
chowawczych oraz mieszczańskich domów
po sowiecki system makarenkowski, w isto-
cie półwiezienny. To paskudny paradoks za-
chodniej cywilizacji, który sprawił, że cywi-
lizacyjnemu i materialnemu postępowi, opi-
sanemu trafnie przez Philippe’a Arięsa „od-
kryciu dzieciństwa” u schyłku oświecenia
i obrazom „małych aniołków” towarzy-
szyła zarazem represyjna dydaktyka – zamy-
kanie do jakichś mentalnych klatek i two-
rzenie dla owego dzieciństwa swoistej „nie-
ludzkiej ziemi”. Nic dziwnego zatem, że dzie-
ci – jak powszechnie zaświadcza literatura
– odnajdują własną przestrzeń egzystencjal-
ną, autonomię duchową, przez wīęz ze zwie-
rzętami. Ba, nawet w stanie dzikości, jak mó-
wią o tym nie tylko „Księga džungli” czy le-
genda Tarzana, ale też rzeczywiste przypad-
ki odnajdywania tak zwanych dzikich dzie-
ci. To jeszcze jeden dowód na to, że bez tych
milionów psów, kotów i królików nasz świat
byłby nieludzki. One obnażają niedoskona-
łość naszych ludzkich wspólnot, dopełnia-
jąc w nich swoją obecnością to, czego w nich
brak. Zwierzęta są spontaniczne i o wie-
le szersze w manifestacji swoich uczuć.
I w mniejszym stopniu niż my urządzają
rozmaite maskarady.

Czyli tego moglibyśmy się od nich uczyć albo tego im zazdrościć?

– Nie pamiętam, kto jest autorem aforyzmu,
Wilde czy Twain, że „od psów możemy się
nauczyć sztuki miłości, a od kotów sztuki ży-
cia”, ale mogę się pod nim podpisać. Sam je-
stem, podobnie jak obaj wspomniani pisa-
rze, zapalonym kociarzem, chociaż bardzo,
bardzo lubię też psy i zdarzyło mi się je mieć.

**Ja też nie pamiętam autorki lub autora,
ale zapamiętałam zdanie o wpatrywaniu
się w psie oczy i odczuwaniu wspólnoty
losu. Poczul je pan w tamtej wymianie
spojrzeń z wilkiem?**
– Tak prawdopodobnie było.

**Alte czego to głębokie porozumienie
dotyczy? Tego, że umieramy? Chociaż
może moje pytanie jest jednak pięknodu-
chowskie?**
– Że cierpimy, że pisany jest nam los jedna-
ki, że mamy siebie na krótko. Że dar istnie-
nia jest darem strasznym, a jednocześnie
świętym i przejmującym, który ma w so-
bie pewną ekstatyczność. Wielu ludzi zapo-
mniało o niej, a jeśli już się ją przypomina,
stacza się ona w puerylizm, w kondycję opi-
saną w latach 30. minionego stulecia przez
Johana Huizingę w jego „Homo ludens”, czy-
li w sferę przasnej, tandetnej, jałowej roz-
rywki, dalekiej od prawdziwej zabawy, która
angażuje nas głęboko i ma doniosły sens eg-
zystencjalny, łączący się z wtajemniczeniem,
inicjacją w rozmaite obszary życia, przeisto-
czeniem duchowym.

Jak rozumieć tę ekstatyczność i czy zwie- rzęta mogą ją odczuwać?

– Odpowiedź wymagałaby chyba osobnego
traktatu... Ale dobrze, postaram się coś po-
wiedzieć pokrótce. Jeśli zatem paleolitycz-
ny artysta z jaskini Lascaux czy jeszcze star-
szej Jaskini Chauveta malował zwierzę, któ-
re zabił, i oddawał mu cześć, czynił to za-
pewne w poczuciu wielkiego ekstatycznego
zjednoczenia z ofiarą łowów: zwierzę z ma-
lowidła nie było tylko podobizną, było rze-
czywistym zwierzęciem i jego duchem zara-
zem, a sam twórca stawał się tym jednocze-
śnie uśmierconym przez siebie i przez siebie
też ożywanym stworzeniem, ofiarą i ofiar-
nikiem zarazem. Nie był więc, jak to się dzie-

je w późniejszych kulturach Zachodu, pod-
miotem całkowicie różnym od przedmiotów
swych czynności życiowych, magicznych
i artystycznych czynności, ale stapiał się z ni-
mi w jedną żywą duchową realność, puls-
ującą pospólnym rytmem.

Była to zatem rzeczywistość totalna,
która w miarę przeobrażeń cywilizacyj-
nych ulegała rozmaitym podziałom (na sa-
crum i profanum, święte i przekłęte, praw-
dę i fałsz, podmiot i przedmiot, dzieło i je-
go twórcę, ofiarę i ofiarnika itd.). Ale wciąż
przez większość dziejów ta rzeczywistość
ekstatyczna i totalna znajdowała dla sie-
bie rozległe miejsce, ujawniając się cho-
ciażby w religijnych transach, w inicjacyj-
nych obrzędach, w opętaniach i czarownic-
twie, w upojeniu przez rytualne tańce i mu-
zykę, w okresowym misteryjnym szaleń-
stwie (przykładem są między innymi trac-
ko-greckie bachanalia nacechowane dziki-
mi tańcami menad, ich wyuzdaniem, spa-
zmatycznym krzykiem i rozdzieraniem ży-
wych zwierząt), w mistycyzmie, biczownic-
twie czy kompulsywnym, oczyszczającym
chaosie wszelkich świąt archaicznych, zwią-
zanych z naruszeniem obowiązujących na
co dzień norm i rozmaitymi formami auto-
transcendencji, samoprzekroczenia. Chre-
ścijaństwo i racjonalna, materialistyczna,
pragmatyczna kultura Zachodu nie wyrugo-
wały wprawdzie doszczętnie tych zjawisk,
ale je mocno zdegradowały, sprowadzając
nierzadko do płytkich form rozrywkowych
czy chorych form autotranscendencji, tak-
kich jak narkomania czy alkoholizm. Zwie-
rzęta – i na tym także polega ich wspania-
łość – mają natomiast zdolność takiej eksta-
zy czystej, związanej z samą tylko radością
istnienia. Choć są i takie, które odkryły roz-
kosze, jakie płyną z konsumpcji sfermen-
towanych owoców i potrafią gromadzić je
w tym celu...

Swoją drogą według Ewangelii św. Marka Jezusowi na pustyni towarzyszyły zwie- rzęta. Może był wśród nich pies?

– Tego nie wiemy, ale Tobiaszowi młodsze-
mu w trudnej drodze do Medii towarzyszyły
anioł i pies właśnie – jedyny, jaki pojawia się
w Biblii: „I poszedł chłopiec, a razem z nim
anioł, a także i pies wyszedł z nim i podró-
żował razem z nimi” (Księga Tobiasza, 6, 1).
A potem znikł z tekstu bez słowa, równie ta-
jemniczo, jak się pojawił – by odnaleźć się
potem, najczęściej jako kudłaty piesek po-
kojowy, na obrazach wielkich renesanso-
wych malarzy, takich jak Neri di Bicci, Filip-
pino Lippi, Cima da Conegliano, Andrea del
Verrocchio, Andrea del Sarto, Tycjan, San-
ti di Tito... Chrześcijaństwo jest chyba jed-
nak bardziej laskawe dla zwierząt niż staro-

ale też św. Rocha de la Croix, który nie tylko
chroni od zarazy, ale jest ponadto patronem
zwierząt domowych. Ten średniowiecz-
ny tercjarz franciszkański przedstawiany
jest na obrazach jako pielgrzym lub żebrak
z psem, który liże mu rany albo biegnie obok
z chlebem w pysku. Kiedy podczas wędrów-
ki zachorował na dżumę i schronił się w le-
sie, by nie zarażać innych, odnalazł go wła-
śnie pies, który przynosił mu pożywienie
i uchronił go od śmierci. I więcej: bowiem od
XIII wieku do 1930 roku we Francji, w okoli-
cach miasteczka Villars-lès-Dombes, istniał
ludowy, choć tolerowany przez Kościół, kult
świętego psa Guineforta, patrona chorych
dzieci. Zgodnie z legendą ów wyżeł czy chart
zginął z ręki swojego pana, gdy ten zobaczył
go zbroczonego krwią przy pustym łóżeczku
dziecka. Zabiwszy psa, rycerz zorientował
się, że pies zagryzł nie dziecko, ale węża, któ-
ry próbował dostać się do kołyski. Właściciel
wymurował więc swojemu psu grób, przy
którym potem pokutował i do którego piel-
grzymowały spodziewające się dziecka ko-
biety. W chrześcijańskiej ikonografii ten pies
się stopniowo uczłowieczył i pojawiał się już
jako mężczyzna w otoczeniu chartów.

Święty Krzysztof też się uczłowieczył.

– W katolicyzmie. Prawosławie natomiast
pamięta – świadczą o tym ikony, zwłaszcza
bizantyjskie – o jego psiej czy szakalej gło-
wie, co jest rzecz jasna reminiscencją egip-
skiego kultu Anubisa, czuwającego nad mu-
mifikacją i strzegącego umarłych podczas
ich podróży w zaświaty. A w X bodaj wie-
ku pewien mnich zachodni zastanawiał się
nad tym, czy psiogłowcy mogą zostać zba-
wieni, i doszedł do wniosku, że jako stwo-
rzenia Boże – owszem. Średniowiecze by-
ło więc bardziej otwarte niż wczesna nowo-
żytność, u progu której, w 1487 roku, poja-
wia się instrukcja dotycząca czarów, czarow-
nic i ich związków z szatanem, czyli „Młot
na czarownice” dominikańskiego inkwizy-
tora i teologa Heinricha Kramera. I owszem,
wcześniej też płonęły stosy, a na nich kobie-
ty oskarżone o czary, ale od tej pory, w XVI-
-XVIII stuleciu, zjawisko to bardzo przybra-
ło na sile. Jednak, trzeba to podkreślić, na
głównym i największym obszarze prześla-
dowań, czyli w krajach Rzeszy Niemieckiej,
mężczyźni stanowili około jednej czwar-
tej ofiar, a na peryferiach Europy, w Islan-
dii czy też szwedzkich Inflantach (dzisiej-
szej Estonii) – 80-90 proc. Na stosy szły tak-
że i zwierzęta czarownic, tak zwane cho-
wańce, zwłaszcza koty. Widziano w nich
istoty demoniczne, które rzekome czarow-
nice miały karmić swym trzecim sutkiem
(śledczy, szczególnie w Anglii, poszukiwa-
li owych mniemanych sutków na całym cie-

Instytucje społeczne, które zapewniają w świecie zachodnim opiekę nad starzejącymi się, chorującymi ludźmi, uwalniają z egoistycznego przymusu posiadania dzieci. Posiadania ich z troski o siebie samych

testamentowy judaizm, który mocno kreśli
różnicę między człowiekiem a „poddanymi”
mu zwierzętami. Oczywiście i tutaj są wyjąt-
ki, choćby gadająca oślica Balaama z Księgi
Liczb czy też owieczka z karzącej króla Da-
wida przypowieści proroka Natana: „Biedak
nie miał nic, prócz jednej małej owieczki,
którą nabył. On ją karmił i wyrosła przy nim
wraz z jego dziećmi, jadła jego chleb i piła
z jego kubka, spała u jego boku i była dla nie-
go jak córka” (2 Sm 12, 2). Chrześcijaństwo
czci już natomiast wielkiego przyjaciela
„braci mniejszych”, św. Franciszka z Asyżu,

le i rozpoznawali je w każdej narośli, w każ-
dej kroście albo wyprysku). W średniowie-
czu i – rzadziej – wczesnej nowożytności
zwierzęta traktowano bardziej podmioto-
wo niż później. Dość przypomnieć proce-
sy, jakie im wytaczano i które dzięki swo-
im obrońcom miały szansę wygrać. Sądzo-
no je zatem przykładowie, ze wszystkimi for-
malnościami, i tak prowadzono potem na
stryczek, szafot czy stos. Spotykało to nie tyl-
ko zwierzęta, które byłyby rzeczywiście nie-
bezpieczne dla ludzi – bydło, wilki, psy albo
świnie – i zdarzało im się nawet ciężko kogoś

poranić albo zabić, ale również i zwierzęta
drobniejsze, oskarżone o to, że podziobały
czy podrapały dzieci. Od połowy XIII do po-
łowy XVIII wieku udokumentowano około
200 procesów przeciwko zwierzętom, które
spowodowały śmierć człowieka lub wyrzą-
dziły znaczące szkody jakiejś ludzkiej zbio-
rowości, ale pierwsza o tym wzmianka po-
chodzi z 824 roku.

Ale jak mogły się bronić?

– W procesie świeckim charakterystyczne
jest traktowanie zwierząt dokładnie tak jak
ludzi. W pewnych społecznościach lokal-
nych właściciel musiał lub mógł się najpierw
opowiedzieć, czy przyznaje się do zwierzę-
cia i za nie odpowiada; jeśli się odeń distan-
sował, uwalniał się od odpowiedzialności,
a zwierzę stawało się bezpańskie i od tej po-
ry to jego tylko dotyczyła procedura kar-
na. Najgłośniejsze jednak przypadki z XIV-
XVII stulecia mówią przy tym o różnych za-
biegach „ucłowieczania” zwierząt, przede
wszystkim o przebieieraniu ich „za ludzi”
i stosowaniu identycznej procedury – arest-
tów, przesłuchań połączonych z torturami,
powoływania obrońcy, formalnych wezwań
do stawienia się przed trybunałem, „listów
żelaznych”, odroczeń, względów dla „dzieci”
i „ciężarnych”, takiego samego systemu kar,
umorzeń, aktów łaski, uniewinnień w ra-
zie rażących błędów albo fałszywych oskar-
żeń. Tak stało się więc w 1314 roku w Moisy-
-le-Temple, gdzie byka, który zabił człowie-
ka i „zbiegl”, osadzono w więzieniu, prze-
słuchano i powieszono na szubienicy. Tak
też stało się w wypadku lochy z Falaise, któ-
ra w roku 1386 pogryzła dziecko w twarz
i rękę tak bardzo, iż zmarło: wyprowadzo-
no ją na plac miejski w ludzkim przebraniu
(pludry, kubrak, gacie i białe rękawiczki), ob-
cięto ryj i tylną nogę, a następnie powiesz-
ono na szubienicy, aby się wykrwawiła. Inną
świnie z kolei oskarżono w 1457 roku w Sa-
vigny-sur-Etang o to mianowicie, że wraz
z sześcioma prosiakami zamordowała pię-
cioletnie dziecko. Maciorę wzięto na tortury,
na których przyznała się jakoby do zbrodni,
po czym powieszono ją za tylne nogi (prosię-
ta jednak uniewinniono z braku dowodów).
W sądowych archiwach do końca XVIII wie-
ku, a niekiedy jeszcze i w XIX stuleciu, poja-
wiają się też procesy, w wyniku których eks-
komunikuje się i skazuje na mękę i śmierć
– przez spalenie, utopienie, poćwiartowa-
nie, powieszenie itd. – obie „strony”, człowie-
ka i zwierzę, oskarżonych o zoofilię. Tak zda-
rzyło się więc między innymi w 1466 roku
w Corbeil (mężczyzna i maciora), w 1546 ro-
ku (mężczyzna i krowa), w Montpellier
w 1596 roku (mężczyzna i osioł), w Neder-
rad w 1609 roku (mężczyzna i klacz). 4 paź-

dziennika 1601 roku powieszono natomiast
w Rognon szesnastoletnią Claudine de Cu-
lam i jej psa, oskarżonych o „współżycie cie-
lesne”. Oba ciała potem spalono, a prochy
rozrzuciono „na cztery wiatry”. Oprócz pro-
cesów świeckich istniały również procesy
kościelne.

Zwierzęta oskarżano o profanację?

– Sądzono nieuchwytnych „sprawców” plag,
dokuczających ludziom, jak zające, gryzonie
czy owady (tak skazano muchy w 1587 roku).
Sądzono ich zwykle zaocznie, czasem jed-

nak sprowadzano na rozprawę egzemplarz gatunku, skazując go i wykonując na nim egzekucję.

Wieszanie zwierząt za ich domniemane „przestępstwa” nie jest tylko sprawą odległej przeszłości. 13 września 1916 roku odbyła się na przykład egzekucja azjatyckiej słonicy Mary o wadze około pięciu ton, występującej w jednym z amerykańskich cyrków, która zabiła niedoświadczonego pomocnika tresera. Wówczas właściciel cyrku zdecydował się na publiczną egzekucję słonicy. Stało się to w Erwin, w obecności blisko dwóch i pół tysiąca rozochoconych gapiów. Zwierzę powieszono przy użyciu dźwigu i łańcuchów. Któryś z nich zerwał się jednak przy pierwszej próbie i runęło ono w dół, łamiąc nogi. „Sukcesem”, ekstatycznie świętowanym przez chmary mężczyzn, zakończona została dopiero druga.

Istniały też oczywiście mordercze, uświęcone tylko obyczajem praktyki nieprocesowe, którym podlegały szczególnie koty, takie jak „święto” czeladników paryskich, którzy masowo zadręczali wówczas, w niezwykle okrutnych rytuałach, te zwierzęta na śmierć. Trwało to do XVIII stulecia.

Kot też był symbolem szatana, co wyrządziło tym zwierzętom ogromną krzywdę, aczkolwiek nie przypominam sobie, by to Biblia była temu winna. Skąd to domniemane szataństwo kotów się wzięło?

– Myślę, że z niezależności tych zwierząt, z ich „chodzenia własnymi drogami”. Ale też z nocnego trybu ich życia, cichego i sprawnego poruszania się w mroku, który zawsze kojarzył się ze światem demonii i podziemnych, chtonicznych bóstw. Niepokój też budziły swym dziwnym, tajemnym blaskiem kocie oczy. Niepokoiła i dwoistość kociej natury: z jednej strony były to zwierzęta drapieżne, z drugiej – skłonne do wyszukanych pieszczoł, przymilne. I kojarzone mniej lub bardziej z kobiecością, z erotyzmem kobiecym, co naturalnie fascynowało, ale także trwożyło mężczyzn.

Swoją drogą na stronie zajmującej się sprzedażą polis ubezpieczeniowych dla zwierząt znalazłam informację, że na 23 kraje Unii Europejskiej w 16 jest przewaga kotów. Psy to domena Polski, Portugalii, Hiszpanii, Irlandii, Grecji, Republiki Czeskiej i Słowacji. Ciekawe, z czego ten podział wynika?

– Kociarze będą oczywiście utrzymywać, że koty mają przewagę w społeczeństwach o wyższych standardach cywilizacyjnych, a dominacja psów jest znamienne dla zbiorowości o charakterze raczej patriarchalnym. Dodam tylko, że w Polsce bywa z tym różnie: do niedawna jeszcze przeważały koty, a przewaga liczbowa psów nie jest u nas tak wielka.

Ja jestem psiarą, ale chętnie posłucham, czego nauczył pana kot?

– Na przykład czerpania przyjemności z życia. Nikt nie umie ich sobie dawkować z taką rafinadą i smakiem. Filip leży na podłodze „czterema kołami do góry” i błogo śpi z wywalonym brzuchem. Oczywiście one też okazują miłość – ocierają się i wpatrują się w nas, zagadują z czułością, mruczą. Czarno-złota szylkretka Sonia czyni to wręcz nabożnie i religijnie. Moja najbardziej ukochana para kotów, bliźniaki Natan i Gaja, za którymi tak bardzo tęsknię, czekały na nas z absolutną miłością i upragnieniem. A kiedy człowiek gdziekolwiek wychodził, urządziły istne rejtanństwo. Filip też jest zresztą „Rejtanem” i wymyśla różne rzeczy, żeby tylko „człowieki” nie wyszły z domu. Zabiega drogę, kładzie się w progu, gada z pretensją w głosie. A przy powrotach wychodzi naprzeciw taka dziesięcioipółkilogramowa osoba typu czarno-biała krówka – i manifestuje swą radość. Sonia się natomiast gdzieś tam czai, przeczekuje, dopóki nie zdejmę kurtki. Z jej lęków da się przy tym wyczytać, że prawdopodobnie została wyrzucona z domu przez mężczyznę w kurtce. I wychodzi się witać dopiero wtedy, kiedy rozgoszczę się trochę w domu.

Te koty są pana rodziną?

– Zawsze w mojej postrzępionej rodzinie był kot. Kot i ja, ja i kot, byliśmy razem. Bywało i tak, że nie licząc dziadków, był jedyną bliską mi osobą. Nigdy mnie przy tym zwierzęta nie zdradzały. W każdej rodzinie zdarza się przecież, że ktoś się nas w jakiś sposób zaparł czy wyrządził nam jakąś krzywdę, czego ja nie umiem powiedzieć o żadnym zwierzęciu. Jedyną krzywdą, jaką nam one robią, jest ich nazbyt wczesne odejście. Cierpiałem, kiedy umarł pies Diasek. Chodziliśmy razem do lasu przy opuszczonym i zaniebanym wówczas kirkucie na Bródnie, siadaliśmy na powalonym drzewie i paliliśmy papierosa (to znaczy ja paliłem, a on uroczyście siedział tuż przy mnie). To był typowy miejski pies, bo kiedy na tym cmentarzu wyfrunęła mu spod nosa kuropatwa, to zupełnie zgłupiał i poleciał za nią, gdy była już ze dwa kilometry dalej.

Nie chcę zmuszać pana do analiz dotyczących zmiany modelu rodziny...

– ...rzeczywiście, te zmiany są oczywiste. Rozsypuje się oto tradycyjne, utarte wyobrażenie, ukształtowane przez chrześcijaństwo w kręgu zachodnim, że rodzina to ona, on plus dziecko/dzieci. Zmienia się też sposób patrylokalny „gniazdowania”, czyli to, że żona przeprowadza się do męża. Tracą na zna-

daje się różnym tabu, a zwierzęta tę normatywność i formalność przekraczają. Musimy je przeszkolić, ale wiemy, że są tylko przeszkolone, bo same w sobie tej usztyniającej normatywności oddalającej nas od siebie nie mają.

Czy nie jest wygodą, że młodzi wolą mieć zwierzęta zamiast dziecka?

– To patriarchalne spojrzenie z wnętrza tradycyjnej rodziny i bardzo archaicznego podziału świata, w którym zwierzęta mają być człowiekowi „poddane”, jak powiada Księga Rodzaju. Tymczasem młodsze pokolenia odrzucają taką hierarchiczność i taki sztuczny podział. I bardziej niż starsze rozumieją zasadniczą jedność wszystkiego, co żyje. I to, że istnienie zwierzęce nie jest gorsze, tylko inne od nas, a równocześnie dopełniające nasze istnienie. Zwierzę może nam bowiem dawać to, czego nie dostajemy od drugiego człowieka. Kiedyś – niedawno jeszcze – nie wypadało tak myśleć. Pamiętam, jak byłem ganiony już choćby za to, że nadaję ludzkie imiona swoim zwierzętom.

Poza tym posiadanie zwierzęcia wymaga dużej troski. Bycie ze zwierzęciem wcale nie jest wygodne. Wygodne jest wyobrażenie, że kot niczego nie potrzebuje, jak tylko przytulenia się do człowieka. A on ma swoje kaprysy, potrzeby, narowy, jak i pies zresz-



FOT. GETTY IMAGES

**Ograniczamy holocaust zwierząt, ale przy miliardach ludzi będzie on rzeczą konieczną.
Niech osobnicy schyleni nad sojową latte poradzą sobie z dramatem głodujących światów, które wyjadają wszelkie mięso**

■
tą. Potrzebuje naszego czasu, rozrywek, odpowiedniego jedzenia, leczenia. On cierpi i przeżywa podobne emocje jak my i wyraża je na swój niepowtarzalny sposób: no bo miesza się w nim przecież – tak samo jak u nas – to, co genetyczne i gatunkowe, z tym, co nabyte w wychowaniu i przez doświadczenie życiowe. W zwierzę trzeba więc zainwestować troskę i uczucia – a zwierzę odplaci tym samym, bardziej odruchowo, bardziej spontanicznie, bardziej „z serca”.

Czy miłość do zwierzęcia może wystarczyć jako jedyne źródło zaspokojenia emocjonalnego?

– W sprawach miłości jesteśmy zachłanni, chcemy być kochani głęboko i szeroko, przez wszystkich. A przecież tak nie jest. Często nie otrzymujemy takiego daru

od innego człowieka albo otrzymujemy go w dawkach o wiele mniejszych, niżbyśmy chcieli. A zwierzę nie dawkuje miłości. Można zatem oczekiwać, że będąc z nami, jednak daje nam całego siebie. Nawet wtedy, kiedy się obraża czy buntuje – bo są i bunty przecież, na przykład kocie wrzaski o czwartą nad ranem: nuuudzę się, no, zrób coś, wstawaj zaraz!

Na szczęście psy o czwartej śpią.

– Bo koty są bardziej niezależne, manifestują swoją równoważność z człowiekiem albo nawet przewagę nad nim. Jest takie potoczne powiedzenie, które się sprawdza, że koty mamy po to, by mieć pana, a z psami – odwrotnie. Oczywiście różnie to bywa, bo role pańskości i niewolniczości są przemienne, nie tylko w związku z osobami zwierzęcymi, ale i ludzkimi.

Osobami?

– Tak właśnie. Termin „osoba” wyraża niepowtarzalność, wyjątkowość, zróżnicowanie istnień – wszak osoba to ktoś odrębny, osobny właśnie. Określenie zatem „osoba”, czy to ludzka, czy też zwierzęca, mówi o tym, że świat istnień jest nieprzemierzony. I że w każdym stworzaku zaklęty jest odmienny świat. Lubię zresztą mówić tak o zwierzętach: że to stworzaki.

Nie stworzenia?

– Stworzenie, creatura, znowu trąci językiem religijnym i metafizycznym, a stworzak to jest ktoś, kto jest między nami ze swoim ciepłem i swą bliskością. I chyba baśnią. To słowo mówi też o opiece – bo jest w nas potrzeba opieki, nie tylko brania, ale też dawania. Być może też dlatego zapraszamy zwierzęta do siebie, żeby móc komuś dawać to, co ten ktoś od nas przyjmie z otwartym sercem. Owszem, czasem z kaprysem i dąsami, ale jednak...

Czy jednak rozmnażania się nie należy traktować jako przymus etyczny?

– Tak chce Pismo. Ale zatrzymajmy się przy tym. Często dzieci są po to hodowane, żeby wobec nas – starzejących się, chorujących i słabych – wypełniały kiedyś obowiązki. Dzieci są więc też wyrazem troski o siebie samych. Żeby dziedziczyły nasze majątki i żeby trwało „dziedzictwo ojców naszych, które mamy we krwi”, jak pisał Oswald Spengler. Ale sytuacja, w której pojawiły się instytucje społeczne, które zapewniają w świecie zachodnim opiekę nad starzejącymi się, chorującymi ludźmi, uwalnia z egoistycznego przymusu posiadania dzieci. Posiadania ich z troski o siebie samych.

Ale to ci bezzdietni często słyszą, że są egoistami, bo nie chcą się poświęcić.

– Komu? Chyba sobie samemu. Takie myślenie jest usankcjonowanie religijnie, katolicko – seks bez założenia płodności jest tam czymś grzesznym. W gruncie rzeczy ludzie, którzy tak powiadają, sami spłodzili dzieci, cierpią, bo dzieci to w końcu obowiązki, rozmaite ciężary, lęki i troski itd. Zadzroszczą więc bezzdietnym i ich stygmatyzują na rozmaite sposoby, utrzymując, że człowiek bezzdietny jest niekompetentny w sprawach dziecięcości dziecka. A to nie jest prawda. I czasem bywa wręcz przeciwnie.

Można mieć dzieci z miłości do życia po prostu. Dać im życie, które kochamy.

– Tylko musimy mieć wówczas świadomość ambiwalencji, która temu towarzyszy. Bo, owszem, to jest nasza radość z życia, ale też ich los ostateczny, czyli ich cierpienia i śmierć. W końcu „wszystko, co żyje, umrzeć musi”, czyli powołujemy do życia kogoś, komu przeznaczone jest wszelkie cierpienie egzystencjalne, komu przeznaczona jest śmierć i lęk, który towarzyszy jej nadchodzeniu. Nie wiemy w końcu, jaki będzie los tego spłodzonego przez nas dziecka, zwłaszcza w kraju takim jak nasz, gdzie chociażby ustawa antyaborcyjna skazuje matki na rodzenie dzieci przeznaczonych wprost do śmierci albo „tylko” do cierpienia. Nie je-

stem więc radykalnym antynatywistą, ale ja-
koś jednak nim jestem.

Na naszej ponad miarę przeludnionej
planecie większość dzieci rodzi się w świa-
tach skazanych na ubóstwo albo drastyczną
nędzę, doświadczanych wojną i przemocą,
kataklizmami, głodem, bezlitosnym prze-
kleństwem wygnania czy ucieczki. Ale też
rozumiem to, co pani nazwała zwykłą ludz-
ką potrzebą szczęścia i miłości, zatem szcze-
gólnej bliskości i pełni życia.

**Zastanawia mnie, dlaczego powszechniej-
sze jest przekonanie, że można być rodzi-
ną z psem lub kotem, ale jednak z papugą
czy królikiem to niekoniecznie.**

– Koty i psy są z nami od bardzo dawna i ja-
koś nauczyliśmy się już siebie nawzajem. Ja-
koś umiemy się między sobą komunikować.
A z innymi zwierzętami domowymi dopie-
ro uczymy się współżyć. Ale jest mnóstwo
przypadków, które świadczą, że już teraz to
często się zdarza. Osiągnięcie porozumie-
nia i bliskości, stworzenie więzi. Bo rodzina
to właśnie stan uczuć, to stan ducha, to od-
powiedzialność, bliskość i porozumienie, nie
jakaś forma kulturowa, społeczna, uświęco-
na przez tradycję, wiarę i prawo.

**Swoją drogą po co nam tkliwość i wzru-
szenie, których uczą nas zwierzęta? Czyż
nie są oznaką słabości, jak to widzą nie-
którzy życiowi „twardziele” lub cynicy?**

– Bycie „twardzielem” czy cynikiem, jak mó-
wi mi doświadczenie, jest tylko maską czy
zasłoną, za którymi ukrywa się zwykła sła-
bość, brak znaczenia lub zranienie przez los.
Tak jest nawet w przypadku psychopatycz-
nych tyranów jak Hitler albo Putin. Im bar-
dziej przy tym starają się oni manifestować
swe kamienne, nieczule oblicze, tym moc-
niej doskwiera im własna małość i słabość.
I nierzadko sięgają wówczas po drastycz-
ne formy teatru okrucieństwa, aby szok, ja-
kiego wówczas doznajemy, zamaskował tę
skrzątnie skrywaną prawdę. Tak właśnie jak
w przypadku Putina, który zastrzelił jele-
nia, a potem wydobyl z jego piersi krwawią-
ce, pulsujące jeszcze życiem serce i podał
je szyderczo Berlusconiemu (a ten oczywi-
ście, zgodnie z oczekiwaniem gospodarza,
zemdłał). Nie wolno dać się zatem zwieść te-
mu fałszywemu językowi symboli, co widać
teraz zwłaszcza, podczas napaści na Ukra-
inę, kiedy „druga militarna potęga świata”
ukazuje swą szokującą i groteskową słabość,
więc sięga po drapieżne i okrutne formy pro-
wadzenia wojny.

**„Mój” pies czy kot nie brzmi w dzisiej-
szych czasach dobrze. Bo można zostać
posądzonym o gatunkową wyższość
na przykład.**

– Albo zawłaszczenie. Ale czym się to róż-
ni od powiedzenia „moja matka”? „Mojość”
przecież może oznaczać bliskość. Nie ma
więc automatycznej jednoznaczności zwią-
zanej z tym, że kogoś mamy, kogoś posia-
damy.

**Ale właściwie posiadamy czy nie posia-
damy?**

– Świat zwierząt oswojonych jest już bez
nas światem bezradnym. Wprowadziliśmy
je – my, ludzie – do własnej przestrzeni egzy-
stencjalnej, która nie jest ich dawną natural-
ną przestrzenią. A skoro zaprosiliśmy je do
własnego świata, przymuszając zresztą nie-
kiedy do tego, by do nas zaszły, to jesteśmy
za nie odpowiedzialni. Nie można już więc
im oddać wolności, bo będą bez nas bezrad-
ne i zgina.

**Wzruszali mnie ludzie, którzy uciekali
z Ukrainy ze swoimi zwierzętami. Ale
czy można potępić tych, którzy uciekli,
zostawiwszy je?**

– Nie potępiam ich, ale boleję nad losem
tych zwierząt. Sam, myślę, swoich stwora-
ków nie porzuciłbym – niezależnie od oko-
liczności. I są tacy ludzie w Ukrainie. Ba, tak-
że tacy, którzy zajmują się cudzymi porzuc-
onymi zwierzętami. Porusza mnie oczywiście
ten masowy exodus nie tylko ludzi i zwie-
rząt, to taszczenie do polskiej granicy klatek,



ale i – przez kilkanaście kilometrów – stare-
go, wielkiego psa, który nie może już cho-
dzić. Poruszają mnie obrazy zwierząt, psów
i kotów w okopach, gdzie dokarmiają je żo-
nierze. I ratownicy, którzy z ruin zburzo-
nych domów, z pożarów, z narażeniem ży-
cia ratują przerażone zwierzęta. Porażają-
ce na mnie wrażenie zrobiły zdjęcia stare-
go człowieka przytulającego kota – z jedena-
stoosobowej rodziny, na której dom spadła
rosyjska bomba, ocaleni oni jedynie. To iko-
na wojennego nieszczęścia. A swoją drogą
Rosja przegrała wojnę również w tym wła-
śnie symbolicznym wymiarze – odnoszącym
się do zwierząt. Jeśli się bowiem widzi zwa-
ły martwych psów i kotów rozstrzelanych
przez Rosjan w jakimś schronisku, kiedy
się słyszy telefoniczne przechwałki ruskich
soldatów, że dziś zjedli charta albo wielbłą-
da z zoo, kiedy się wie o strzelaniu dla zaba-
wy do bezpańskich już zwierząt na ulicach
zburzonych miast – jakie można mieć wte-
dy uczucia, poza wściekłością i nienawiścią?
No i zwierzęcy bohaterowie tej wojny, choć-
by pies Patron, czyli saper odznaczony przez
Zelenskiego, albo słynny gadatliwy celebry-
ta, kot Stepan, który zaginął podczas ukraiń-
skiego exodusu w Krakowie, ale został odna-
lezione i wrócił do swej rodziny...

**Kochamy koty, psy, papugi czy króliki –
i mordujemy zwierzęta hodowlane. Jak
sobie pan radzi z tym potwornym rozdar-
ciem rzeczywistości?**

– Jerzy Nowosielski mówił, że naszym naj-
większym skazaniem jest grzech polegają-
cy na tym, że jadamy naszych „braci mniej-
szych”. I mam w zanadrzu tę świadomość,
że jestem – choć mięso jadam w niewielkich
ilościach i okresowo – karygodnym mięso-
żercą. I to mnie uwiera. Mogę go nie jeść ty-
godniami, ale nagle mój organizm się doma-
ga, a wtedy niestety...

**W swoim tomiku poetyckim „Heilsberg,
to miasto” pisze pan tak: „Świnie, uwa-
żając bardzo na szpicli, bito nad ranem./
I słyszałem z podwórtek sąsiadów, przez
szmatę mroku, brudny krzyk śmierci./
i czulem swąd opalanej spiesznie szcze-
ciny,/ i widziałem zaraz karmin ciał,
porąbanych na sztuki,/ śliskie i żmijowe
powróśla jelit,/ miąższ wątroby, serca
i nerek,/ i patrzyłem na różne posoki w au-
reolach emaliowanych naczyń/ i cybo-
riach kamionek,/ na strzaskane katedry
żeber, na tęcze błon”. I co? Co pan wtedy
czuł? Sprzeciw?**

– Tak, oczywiście sprzeciw i odrzucenie wobec
naszego ludzkiego okrucieństwa. Nie dar-
mo dziś piszę, używając religijnych metafor,
ten kadisz – bo to jest kadisz. Bo to jest mój
płacz nad zamordowanym nieczule życiem.
A z drugiej strony coś musieliśmy przecież
jeść – tam, na głębokiej północno-wschod-
niej prowincji lat 50. i 60., gdzie zimy były
srogie i długie, a pory wegetacji krótkie i lą-
czyły się z bardzo skąpyimi plonami. Tak,
musieliśmy coś jeść – nie dało się przetrwać,
jedząc tylko przywiedle ziemniaki, przywie-
dlą marchew, kiszoną kapustę, resztkę ja-
blek, jakieś kasze czy rzeczy mączne, nawet
jajka. A w sklepach doprawdy nie było nic.
Ale ta konieczność jedzenia mięsa z nielegal-
nego, okrutnego uboju wciąż mnie zadręcza.

**Możemy pójść w stronę krytyki kapitali-
zmu, który przymusza nas do konsumpcji**

**mięsa, ale czy system jest usprawiedliwie-
niem dla indywidualnych wyborów?**

– Paradoksalnie – tu, na zamożnym mniej
albo bardziej Zachodzie – kapitalizm da-
je większe możliwości niejedzenia mięsa
czy przynajmniej ograniczeń w jego spoży-
ciu. To jeden z jego przywilejów, wynikłych
z wielkich możliwości wyboru. Decydują-
ce są zatem kulturowe nawyki, tradycje ku-
linarne – w tym sensie, że one były źródło-
we, pierwotne. Ale teraz to już takie błędne
koło: pewna tradycja kulinarna uruchomi-
ła wielką i zabójczą machinerię przemysł-
owej produkcji mięsa, a ta machina z kolei ro-
bi wszystko, żeby ową tradycję podtrzymać.
System kapitalistyczny zatem odpowiada
jakby połowicznie za nasze wybory – drugą
ich połowę tworzymy sobie sami, uwikłani
w pewne dziedzictwo.

Nowoczesny sposób produkcji i sprzeda-
ży żywności sprawia przy tym, że kupując
paczkowane mięso, nie musimy przywozić
na myśl kształtu zwierzęcia. Estetyka pro-
dukcji i komercji jest jedną z przesłon, któ-
ra ma umniejszyć poczucie etycznego bólu
czy ciężaru, który musimy dźwigać. Jednak-
że nie da się wyżyć samą soją i kiełkami. Je-
stem przeciwko radykalizmowi w tej mate-
rii. Rozumiem wegetarianizm, nie akceptu-
ję wegaństwa.

**Ale dlaczego? Kury hodowane w klatkach
też cierpią.**

– Coś jednak musimy jeść – i to jest nieroz-
wiązalny problem. Ograniczamy holo-
caust zwierząt, ale przy miliardach ludzi bę-
dzie on rzeczą konieczną. Niech osobni-
cy schyleni nad sojową latte poradzą sobie
z dramatem głodujących światów, które wy-
jadają wszelkie mięso. Hindusko-brytyjski
pisarz V. S. Naipaul w „Masce Afryki” pisał
o tym drastycznym wyjedzeniu wszystkiego,
co się rusza – nie tylko zwierząt z dżungli,
ale i tych domowych.

Pan słyszy, jak to brzmi?

– Tak, słyszę. Ta przemysłowa hodow-
la to jest coś potwornego, ale temu win-
ne są przeludnienie i jednak, mimo wszyst-
ko, wzrost globalnego dobrobytu. Za mojego
dzieciństwa było nas trzy miliardy, a teraz
jest nas osiem (to znaczy, jeśli trzymać się
klasyka, że ludzkość jest trzeźwa i młode ko-
biety „nie dają sobie w szyję”). Jestem prze-
ciwko przemysłowemu zabijaniu zwierząt,
ale równocześnie to „przeciwko” jest wymie-
rzone przeciwko mnie samemu. Trudno mi
się z tym pogodzić, ale też trudno jest mi się
pogodzić z własną śmiercią. Chciałbym jed-
nak, by zwierzęce cierpienie zostało przynaj-
mniej zminimalizowane, bo przemysłowej
produkcji nie da się w obecnej sytuacji zlik-
widować.

**Zwierzęta są skazane na cierpienie dlate-
go, że my musimy się najęść, tak?**

– Niestety – tak właśnie. Jestem przeciwko
hodowli zwierząt na futra i wyroby skórza-
ne. W pierwszym tomie mojej książki „We
władzy wisielca”, w części poświęconej odar-
temu ze skóry Marsjaszowi, przywołuję ob-
dzieranie ze skóry węży na Sumatrze, żyw-
cem niemalże, bo są byle jak uśmiercane,
często tylko pozornie – po to, by produko-
wać skórzaną, wytworną konfekcję dla bo-
gatyh ludzi z Zachodu. Za barbarzyństwo
uważam też doroczne masowe mordowa-
nie delfinów na Wyspach Owczych albo od-

rażające praktyki jak masowe zjadanie zwie-
rząt w Chinach i Azji Południowo-Wschod-
niej, dla rozkoszy podniebienia tylko. Presja
na te azjatyckie kraje jest mało skuteczna,
jeśli w ogóle, ale z tym upiornym, morder-
czym rytuałem Farerów (Grindadráp) Unia
Europejska mogłaby wreszcie coś zrobić! Co
innego zjadanie w Afryce, gdzie morduje się
wszelkie zwierzęta, aby przetrwać.

**Testowanie leków na zwierzętach też nie
budzi pana oporów?**

– Wprost przeciwnie. Ikoną medycznych
eksperymentów – najbardziej okrutną, jaką
znam – jest dla mnie zawarty w „Skórze” Cu-
rria Malapartego obraz tortur i śmierci jego
ukochanego psa Febusa, który został schwy-
tany na ulicach Neapolu i umieszczony
w klinice weterynaryjnej uniwersytetu wraz
z chmarą innych zwierząt. Podcięto im tam
struny głosowe, aby nie wyły z bólu, i pano-
wała tam „straszna cisza. Ogromna, lodo-
wata, martwa cisza, cisza śniegu”. A potem
rozpruto ciała, wydobywając wnętrzności,
i umieszczono w jakichś potwornych ma-
chinach. „[Febus] Leżał na plecach z otwar-
tym brzuchem, sondą zanurzoną w wątro-
bie. Patrzył na mnie, a jego oczy napelniły
się łzami. W jego oczach była cudowna sło-
dycz. Oddychał lekko, z otwartym pyskiem,
wstrząsany strasliwym drżeniem. Wpatry-
wał się we mnie, a kłatkę piersiową przeszył
mi potworny ból. »Febus« – powiedziałem
cicho. A Febus patrzył na mnie z cudowną
słodczą w oczach. Widziałam w nim Chry-
stusa, widziałam w nim Chrystusa ukrzy-
żowanego, widziałam Chrystusa patrzące-
go na mnie oczami pełnymi cudownej słody-
czy. »Febus« – powiedziałem niskim głosem,
pochylając się nad nim, głaszcząc go po czo-
le. Febus pocałował mnie w rękę i nie wydal
z siebie żadnego jęku”.

Mam ciary, gdy pan to czyta.

– Sztuka budzi w nas wrażliwość, której nie
ma tak często nauka, i wszystko się w nas
zrywa przeciwko takiej kondycji zwierząt.
Dokonujemy jednak wyboru. Ale wybór ten,
o czym mało się mówi, nie dotyczy tylko
zwierząt. Są przecież ludzie, którzy mają do-
stęp do leków i najnowocześniejszych tech-
nologii medycznych – i tacy, którzy cierpiąc
na te same choroby, muszą umrzeć. Nie ma
bowiem takiego systemu medycznego, który
by wszystkim ludziom zapewnił leczenie na
odpowiednim poziomie. Dokonujemy więc
i na nas samych różnych selekcji. To jakoś
jest bliskie cierpieniu zwierząt – część z nas
skazana jest na cierpienie, od którego inni
są uwalniani.

**Kiedy można zadać cierpienie zwierzę-
ciu? Wtedy gdy nasze potrzeba czy inte-
res są zaspokojone?**

– Mogę odpowiedzieć tylko w imieniu wła-
snym. Gdybym miał świadomość, że w ja-
kiejś strasznej chorobie może mi pomóc
cierpienie zwierzęcia, wołałbym jednak
umrzeć, a jestem człowiekiem w takim wie-
ku, że mogę śmiało złożyć podobną deklara-
cję. Przywiązanie do życia za wszelką cenę
nie we wszystkim jest usprawiedliwione.

**A postęp w medycynie nie jest usprawie-
dliwieniem dla ich cierpienia?**

– Nie jestem przekonany, że rozwój medycy-
ny i wydłużanie ludzkiego życia może się od-
bywać kosztem cierpienia istot żywych. Tak
wielkim kosztem. Pragnienie życia za wszel-
ką cenę, które jest w każdym z nas, musi zo-
stać kiedyś tam przytłumione. Nie będziemy
żyli wiecznie i nie będziemy żyć bez cierpie-
nia. Także fizycznego. ●

FOT. ABACA/EAST NEWS

HASTA LA VISTA, BABY*



PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Raport Rady Bezpieczeństwa ONZ z marca 2021 r.: ponad pięćset stron analizy działań wojennych w Libii. Najciekawszy jest paragraf dotyczący ofensywy pod Trypolisem. W marcu 2020 wspierane przez ONZ siły rządu jedności narodowej (Government of National Accord, GNA) atakują wojska puczysty Chalify Haftara (Haftar Affiliated Forces, HAF). „Wycofujących się żołnierzy HAF nękają bezzałogowe jednostki powietrzne typu STM Kargu-2 wyposażone w autonomiczny system podjęcia ataku z użyciem broni. System został zaprogramowany do podejmowania działań względem wroga bez konieczności zatwierdzenia ze strony operatora. System zadziałał zgodnie z przeznaczeniem, w efekcie uzyskując niezależną zdolność bojową”.

Praca wyprodukowanych w Turcji dronów zostaje oceniona jako „dość skuteczna”. Jeden z przykładów: Kargu-2 z własnej inicjatywy ścigał pojedynczego bojownika. Nie ma informacji, czy w wyniku autonomicznych działań robotów zginęli ludzie. Pojawia się jedynie stwierdzenie o „znacznym stratach” po stronie HAF.

Jako pierwsi uwagę na ten akapit zwracają dziennikarze renomowanego tygodnika „New Scientist”: „Mogło dojść do pierwszego autonomicznego ataku dronów na ludzi”. Tryb przypuszczający znika z tytułów, gdy newsa podchwytują inne media. Obwieszczają pierwszą w dziejach autonomiczną – i zabójczą – operację maszyn przeciw ludziom. „Jak z Terminatora”.

BBC daje materiał o przyszłości robotów zabójców. „Automaty zdolne do wykrywania, śledzenia i zabijania żywych celów, w tym ludzi, działające bez ingerencji operatora, już istnieją. Brakuje międzynarodowych regulacji prawnych. Wydaje się, że jedynie sumienia hamują rozpowszechnianie autonomicznych systemów zabijania. Nie sumienia inżynierów, nie robotów, lecz klientów”. Jeśli klient się znajdzie, technologia czeka gotowa. Jeden z producentów mó-

Choć sami je wychowaliśmy, nie wiemy, na jakiej podstawie decydują, kogo i kiedy zabić

Maciej Jarkowicz

wi: „To odbiorca określa specyfikacje. My jedynie realizujemy zlecenie”.

Dziś, wedle doniesień, obie strony konfliktu w Ukrainie używają autonomicznych maszyn zabójców. Klient się znalazł. Weszliśmy w erę wojen robotów.

Dallas, lipiec 2016 r. W całym kraju trwają demonstracje po zastrzeleniu przez policję, dzień po dniu, dwóch czarnych mężczyzn w Luizjanie i Minnesocie. Micah Xavier Johnson, weteran z Afganistanu, sympatyk radykalnych organizacji afroamerykańskich, wychodzi na ulicę uzbrojony w pistolet Glock i karabin Saiga. Z ukrycia strzela do policjantów. Zabija pięciu funkcjonariuszy, sam zostaje ranny i barykaduje się w budynku uczelni El Centro, przy głównej arterii miasta. Oddziały do zadań specjalnych SWAT otaczają strzelca. Próby negocjacji trwają kilka godzin. Johnson nie chce się poddać. Dowódcy oceniają bezpośredni atak na garaż, w którym się ukrył, jako zbyt ryzykowny. O drugiej w nocy jeden z policjantów wpada na pomysł, aby użyć automatycznego sapera. Na wyposażonym w sztuczną inteligencję (Artificial Intelligence, AI) robocie do wykrywania i rozbrajania min oraz bomb policja umieszcza pół kilograma materiału wybuchowego. Johnson ginie na miejscu.

Tamtej nocy policja w Stanach pierwszy raz zabiła człowieka za pomocą robota. Ekspertki rozpoczęły debatę o reperkusjach prawnych. „Szokujące. Oszałamiające. Pomysłowe. Imponujące” – bezradnie rzucał

przymiotnikami jeden z profesorów prawa. „Nie mieliśmy innych opcji” – tłumaczył szef policji w Dallas David Brown. Inni oceniali decyzję jako pochoptną. „Użycie robotów zabójców niesie ze sobą wątpliwości natury prawnej, etycznej i technicznej”. Wszyscy zgadzali się co do tego, że nie ma przepisów dotyczących takiej technologii.

W ostatnich latach roboty weszły do standardowego wyposażenia amerykańskiej policji. Stało się tak dzięki przepisom stworzonym po ataku na WTC 11 września 2001. Umożliwiły one dozbrajanie komisaratów – z pomocą federalnych grantów – w sprzęt zarezerwowany wcześniej dla armii. Większość automatów używana jest do przeszukań, zadań saperskich, wydobywania ofiar z gruzów, wykrywania wycieków gazów. Na Hawajach czworonożne psy roboty patrolują ulice, w pandemii sprawdzały ludziom temperaturę. Podobne maszyny wprowadził departament w Nowym Jorku. Mechaniczne psy wysłano do najtrudniejszych dzielnic miasta. Rozpętała się burza. Mieszkańcy zwracali uwagę, że na co dzień jednym z problemów biednych kwartałów jest zautomatyzowana – w sensie przenośnym – praca policji. Funkcjonariusze nie znają dobrze swoich rewirów, nie budują relacji z lokalnymi organizacjami, nie angażują się w życie dzielnicy, stosują wyłącznie metody siłowe, szybko sięgają po broń. Wysłanie do pracy robotów tylko spotęguje patologię. Ratusz się wycofał.

Od kilku miesięcy psy roboty są testowane przez amerykańskie służby graniczne. Na rozległym, pustynnym terenie mają ułatwiać wylapywanie ludzi nielegalnie przekraczających południową granicę USA. Ich przeciwnicy mówią o postępującej dehumanizacji migrantów. Nie dość, że traktowani są jak robactwo zagrażające zdrowiu państwa, zamiatane do obozów przejściowych, to teraz wysłę się przeciw nim maszyny.

Zlikwidowanie snajpera w Dallas było dla amerykańskiej policji przełomem otwierającym nowe możliwości. Szczególnie że działający w próżni prawnej dowódcy, którzy zdecydowali o przepro-

wadzeniu operacji, nie usłyszeli żadnych zarzutów. Wiele departamentów domaga się teraz rozszerzenia możliwości używania inteligentnych maszyn w akcjach bojowych. Kilka tygodni temu ratusz San Francisco debatował o wykorzystaniu mechanicznych zabójców przez miejską policję. David Lazar, wiceszef departamentu, został poproszony o opisanie potencjalnej sytuacji, w której wysłanie w bój maszyny byłoby uzasadnione. Przypomniał masakrę w Las Vegas z 2017 r., w której snajper strzelał z 32. piętra hotelu. Według Lazara inteligentna maszyna byłaby zdolna dotrzeć do zabójcy i zlikwidować go, zanim – w 10 minut – zdążył zamordować 59 osób.

Radni dali policji zielone światło, ale kilka dni później cofnęli decyzję po protestach mediów i demonstracjach mieszkańców.

Roboty, o których mowa – policyjne czy graniczne – nie są autonomiczne, tak jak te wojskowe, opisane w raporcie ONZ z Libii. Użycie przez nie broni musi każdorazowo zatwierdzić człowiek. Jednak w obu przypadkach eksperci mówią o długim marszu maszyn. Pozwalamy im na coraz więcej. Jednocześnie nie mamy przepisów definiujących ich rolę. Ani pojęcia o tym, do czego już za chwilę mogą być zdolne.

W 2003 r. rząd Korei Południowej powołał do życia i zasilil obfitym funduszem projekt: najwybitniejsze instytucje naukowe w kraju mają stworzyć robota do ochrony granicy z Północą. Tzw. strefa zdemilitaryzowana ciągnie się przez 250 kilometrów i jest najbardziej zmilitaryzowaną granicą na planecie.

Trudno jej pilnować, szczególnie kiedy wróg po północnej stronie dysponuje dwiema większymi armiami. „Transformacja misji obserwacyjno-strażniczej na frontach zasilanych przez wojsko w system robotyczny” – taki był cel przedsięwzięcia, zgodnie z komunikatem firmy Samsung, która wkrótce do niego dołączyła. W ciągu trzech lat powstał SGR-A1 – inteligentny, zintegrowany, autonomiczny karabin wartowniczy. Nieporównywalnie skuteczniej od ludzi monitoruje teren, wychwytuje ruch, dźwięki, mi-

krozmianę temperatury, śledzi namierzony cel, wysyła komunikaty ostrzegawcze, strzela.

Nie ma informacji, czy z użyciem SGR-AI likwidowano żywe cele. Nie wiemy, czy jeśli są wykorzystywane, pracują w trybie wymagającym zgody operatora na atak czy w pełni autonomicznym. Wiemy, że ich konstrukcja umożliwia misje niezależne od ludzkiej kontroli. Wiemy, że Korea Płd. prowadzi jedno z najbardziej zaawansowanych badań nad wykorzystaniem sztucznej inteligencji w obronności. W 2018 r. ponad stu najwybitniejszych naukowców zajmujących się AI, pochodzących z ponad 30 krajów, podpisało protest przeciw powołaniu przez rząd Południa Centrum Badawczego na rzecz Zespołenia Bezpieczeństwa Narodowego i Sztucznej Inteligencji. O tym, że SGR-AI strzegą granicy i działają autonomicznie, donosiły m.in. BBC, NBC, „The Atlantic” i Human Rights Watch. Seul nie zaprzecza i nie potwierdza.

Korea Południowa nie była pierwsza. Izrael już pod koniec lat 80. rozpoczął prace nad skonstruowaniem autonomicznego drona Harpy, który krąży nad terenem nieprzyjaciela, wykrywa emisję radarową, określa jej sygnał jako swój lub wrogi i bez ludzkiej ingerencji przeprowadza atak. Kolejne wersje wchodziły do wyposażenia armii nie tylko Izraela, ale też m.in. Korei Południowej, Chin i Turcji. Jest produkowany do dziś.

Jednak zasadnicza różnica między systemem Harpy a nowoczesnymi technologiami takimi jak SGR-AI czy Kargu-2 polega na metodach rozpoznania wroga. „Inteligencja” maszyny izraelskiej ogranicza się do wychwycenia sygnału radarowego, który emitują wojskowe obiekty ruchome bądź nieruchome. Harpy powstał przede wszystkim z myślą niszczenia nieprzyjacielskiej obrony przeciwlotniczej.

Tymczasem Kargu-2 został skonstruowany do rozpoznania żywych celów z pomocą sztucznej inteligencji. Sztuczne sieci neuronowe odzwierciedlające zachowanie ludzkiego mózgu pozwalają maszynie „zobaczyć”, że atakuje nieprzyjaciela, a nie żołnierza swoich wojsk lub dziewczynkę, która znalazła się w strefie wymiany ognia.

Obayraktarze śpiewa się w Ukrainie piosenki. Jego imieniem nazywa się lemura w kijowskim zoo. Na jego zakup organizuje się narodowe zrzutki. Jego ataki śledzi i świętuje cały kraj. „New Yorker” napisał, że bayraktar „odmienił naturę sztuki wojennej”.

Bayraktar jest dronem produkowanym w Turcji. Charakteryzuje go niska cena i wysoka precyzja. Nie tylko naród Ukrainy, ale również media i eksperci na całym świecie wynieśli go do symbolu skutecznego oporu Ukraińców przeciw Rosji.

Robot nie jest w pełni autonomiczny. Potrafi sam wyszukiwać cele, ale atak przeprowadza zdalnie operator. Wojna w Ukrainie jest jednak poligonem dla najnowszej technologii zabijania, również autonomicznej. Rosjanie atakują m.in. z użyciem produkowanych w zakładach Kałasznikowa dronów kamikadze Kub. Mają one możliwość w pełni niezależnych działań bojowych opartych na AI. Nie ma pewności, czy zostały tak wykorzystane, bo żadna ze stron nie potwierdza użycia robotów zabójców przeciw ludziom. Ukraińcy dostają od USA setki małych kamikadze typu Switchblade i Phoenix Ghosts, wyposażonych w system rozpoznania żywych celów. Estońska firma Milrem Robotics dostarcza Ukrainie bezzałogowe pojazdy THeMIS. W ich produkcję i rozwój inwestuje również rząd Niemiec. Ich wyjściowym przeznaczeniem jest ewakuacja rannych z pola bitwy, ale mogą zostać uzbrojone i zaprogramowane do zabijania. Produkowany w Ukrainie GNOM wysadza czołgi, podjeżdżając i detonując minę przeciwpancerną. Na razie robi to przy pomocy człowieka, ale jego twórcy zapowiadają upgrade do „zdolności samodzielnego podejmowania decyzji”.

To jedynie kilka przykładów, o których się mówi. Większość najbardziej zaawansowanej technologii pozostaje w ukryciu. Kraje NATO obawiają się, że gdyby wpadła w ręce Rosjan na tym etapie rozwoju, Zachód straciłby technologiczną przewagę, jaką wkrótce uzyska. Wiadomo, że potężne pieniądze na robotyzację armii wydał je Wielka Brytania w ramach rozpisanego na dekady programu Future Soldier. Wiadomo, że amerykański generał Erik Kurilla na konferencji w Bahrajnie pochwalił się udaną operacją dronów w Zatoce Perskiej. Autonomiczna flota wychwyciła, zneutralizowała i przejęła zagłowiec wyladowany tysiącami kilogramów materiałów wybuchowych. Odbył się to „bez rozkazów, nikt w centrum operacyjnym nawet nie naciśnął guzika”.

„Technologia istnieje i nie ma sposobu, żeby ją zatrzymać”

Plk Jarosław Honczar, szef ukraińskiej grupy projektującej autonomiczne drony wojskowe, zapytany, czy ich maszyny samodzielnie atakowały i zabijały

Najbliżej przyznania, że Ukraina, aby obronić niepodległość, używa robotów zabójców, był pułkownik Jarosław Honczar szefujący grupie Aerorozwidka. Skupia ona około tysiąca inżynierów i entuzjastów robotyki, którzy projektują własne drony. W październiku w wywiadzie dla ukraińskiej agencji UNIAN Honczar powiedział, że maszyny Aerorozwidki prowadzą w pełni autonomiczne misje zwiadowcze i mają zdolność samodzielnego podejmowania ataków. Dopytywany przez „New Scientist”, czy do takich ataków doszło i czy zginęli ludzie, pułkownik wymigał się od odpowiedzi: „Technologia istnieje i nie ma sposobu, żeby ją zatrzymać”.

Od 20 lat Stany Zjednoczone prowadzą kampanię tzw. selektywnej eliminacji terrorystów (targeted killing) z użyciem bezzałogowych maszyn latających. Według szacunków w tysiącach ataków na terenie Afganistanu, Pakistanu, Jemenu, Somalii i Iraku zabito od 10 do 20 tysięcy ludzi. Nie ma oficjalnych danych, bo operacje są tajne. Oprócz bojowników drony – z których najczęściej używanym był legendarny już dziś predator (drapieżnik) – zabiły też od tysiąca do dwóch tysięcy cywilów, w tym co najmniej 280 dzieci. Operacje realizują armia i CIA. Każdy atak wymaga autoryzacji prezydenta. Barack Obama, który przejął program po George’u W. Bushu, wydał pierwszą zgodę trzeciego dnia urzędowania. Jedno z dwóch uderzeń okazało się pomyłkowe – pociski spadły na niewłaściwy dom. Zginęła cywilna rodzina, w tym pięcioletnie dziecko. W ostatniej

nagłośnionej „pomyłce”, w sierpniu 2021 r., już za rządów Joego Bidena, dron w Afganistanie zabił 10 cywilów, w tym siedmioro dzieci.

Według licznych ekspertów program jest nielegalny. Nie ma jasnych przepisów prawa międzynarodowego regulujących takie działania. Amerykanie, angażując drony na taką skalę, działają jednostronnie, ignorując ONZ i jakiegolwiek inne mechanizmy wypracowywania ponadpaństwowych konsensusów. Łamią własne zasady – dekret z 1976 r. podpisany przez prezydenta Geralda Forda zakazuje siłom wywiadowczym dokonywania likwidacji osób.

W pierwszym głośnym tekście opisującym kampanię, opublikowanym przez Jane Mayer w „New Yorkerze” w 2009 r., kiedy opinia publiczna prawie nic nie wie-

działa o programie, jeden z ekspertów użył określenia „wojna bez cnót”. Piloci – w wielu przypadkach cywilni, zatrudnieni przez zewnętrznych kontraktorów – zdalnie sterują maszynami z klimatyzowanych centrów operacyjnych w USA. Choć technicznie rzecz ujmując, uczestniczą w krwawej jatce, po pracy wsiadają do aut i wracają do rodzin. Wróg nie jest człowiekiem, tylko punktem na ekranie monitora. Żeby go zabić, niepotrzebne są odwaga, heroizm, wyznanie, pot, nie ma strachu ani ryzyka. Społeczeństwo prowadzące taką wojnę zostaje odizolowane od jej teatru, co niesie ryzyko, że działania mogą trwać w nieskończoność.

Dziś, 13 lat później, wojna z udziałem dronów nadal nie jest prawnie uregulowana, a wątpliwości etyczne wielokrotnie wzrosły, bo maszyny uzyskują autonomię. Mogą śledzić i zabijać nieprzyjaciela bez ingerencji człowieka. Programujemy je, aby odróżniały „nas” od „nich”. „Dobro” od „zła”. Przekroczenie tego progu niesie trudne do wyobrażenia konsekwencje, a robimy to bez większego namysłu.

Jedna z kwestii do rozstrzygnięcia dla inżynierów tworzących samojedźne auta jest taka: czy w przypadku zagrożenia wypadkiem maszyna ma zachować się tak, aby minimalizować ryzyko śmierci pasażerów, których wiezie, czy tych w innym samochodzie. W przypadku maszyn stworzonych, aby zastąpić żywych żołnierzy na polu bitwy, mnożą się tego typu dylematy. W teatrze wojny pojęcia moralności, dobra, zła, życia, śmierci, człowieczeństwa,

cierpienia, okrucieństwa, sprawiedliwości stają się niejednoznaczne i niewyobrażalnie skomplikowane. Teraz odpowiedzialność za podejmowanie decyzji chcemy zrzucić na roboty. Sztuczne sieci neuronowe mają w tych warunkach uczyć się i rozwijać.

Futuryści optymiści rozwiewają obawy. Maszyna być może nie nauczy się empatii i strachu – w takich wymiarach, w jakich te uczucia dotyczą ludzi – ale nie nauczy się też wściekłości. Z natury pozostanie precyzyjna. Gdyby Derek Chauvin, policjant, który udusił George’a Floyda, był robotem, nie doszłoby do tragedii. Maszyna wiedziała-by, kiedy wstrzymać uścisk szyi zatrzymanego. Gdyby w Wietnamie walczyły roboty, a nie amerykańscy żołnierze, nie doszłoby do masakry kobiet i dzieci w My Lai. Gdyby pilot Germanwings, który postanowił popełnić samobójstwo, nie mógł wyłączyć autopilota, w katastrofie w 2015 r. nie zginęłoby 150 osób.

Jednak większość świata naukowego przestrzega przed oddaniem wojny w ręce maszyn.

Anders Sandberg z Instytutu Badań nad Przyszłością Ludzkości na Oksfordzie: „System samouczący, jakim jest AI, może przyswoić wartości i teorie umożliwiające mu podejmowanie właściwych działań. Może osiągnąć zdolność samorefleksji, co uczyni go w sensie filozoficznym jednostką moralną. Zasadniczy problem polega na tym, że nawet bazując na wartościach zaprogramowanych przez człowieka, które powszechnie uznajemy za słuszne, maszyna może wykształcić nowy, własny system zasad, który z naszego punktu widzenia będzie szalony i obcy”.

Między innymi z takich względów od lat trwają próby międzynarodowego zakazu używania autonomicznych robotów, analogicznego do zakazu użycia broni chemicznej czy min przeciwpiechotnych. Debata toczy się w ONZ od 2014 r. Zakaz blokują m.in. USA, Chiny i Rosja. Ostatnia konferencja miała odbyć się w marcu w Genewie, ale od kilku tygodni trwała rosyjska inwazja na Ukrainę. Wszystko, co udało się do tej pory zdziałać, to wspólne oświadczenie 70 państw podpisane w październiku na sesji narodów w Nowym Jorku o pilnej potrzebie wypracowania norm dotyczących autonomicznych maszyn. Na liście sygnatariuszy są USA, nie ma Chin i Rosji (Polski też nie).

Tymczasem przemysł robotów zabójców rozwija się w zawrotnym tempie. Wojna w Ukrainie przyspieszyła nowy wyścig zbrojeń, równoległy do atomowego i potencjalnie bardziej zabójczy. Drony takie jak rosyjskie kuby czy amerykańskie switchblade’y są małe i tanie. Będą coraz tańsze. Ich wytwarzanie jest nieporównywalnie prostsze od produkcji głowic jądrowych. Gdy uzyskają pełną autonomię, ich milionowe armie mogą czynić spustoszenie, jakiego ludzkość nie doświadczyła nawet w Hiroszimie i Nagasaki. ●

* dla zapominalskich – słynna odzywka głównego bohatera w „Terminatorze II”

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na [Kulturalnysklep.pl](https://www.kulturalnysklep.pl) oraz w formie e-booka na [Publio.pl](https://www.publio.pl)



Z PROF. **BARTŁOMIEJEM DOBROCZYŃSKIM*** ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

O czym pan myśli, kiedy myśli „mój dom”?

– On jest dość osobliwy. Bo nie mam wspomnienia jednego domu, tylko wielu. Kiedy miałem siedem lat, byłem już po pięciu przeprowadzkach, a towarzyszące im okoliczności zaważyły na tym, kim jestem. W największym skrócie: mój ojciec był inżynierem leśnikiem w Bieszczadach, więc jak przychodził nakaz „z góry”, że ma się natychmiast przenieść gdzie indziej, to po prostu to robił. W związku z tym w życiu płodowym mieszkalem w Wetlinie, jako dwu-, trzylatek w Stuposianach, potem w Stefkowej, w Bukowcu, a kiedy miałem sześć lat i małżeństwo moich rodziców się rozpadło, wróciłem z mamą, która była w ciąży z moim bratem, do Jarosławia. Do domu babci, która mieszkała w nim ze swoim synem, czyli moim wujkiem. Niby byliśmy „u siebie”, wśród „swoich”...

...ale?

– Na zawsze zostało mi wrażenie, że byliśmy tam intruzami. Oczywiście jako dziecko nie byłem tego świadomy. Mogłem tylko coś wyczuwać, na przykład w reakcjach niezadowolenia budzonych w niedzielę rano domowników, którzy chcieli pospać dłużej. Dziś już potrafię to rozpoznać i nazwać. Weszliśmy w zastany porządek i zakłóciliśmy go. W dorosłości też się wielokrotnie przeprowadzałem – akademiki, mieszkania przejściowe. Bardzo późno mogłem wreszcie powiedzieć: tu jestem u siebie. I do dziś, czego moja żona zupełnie nie może zrozumieć, w naszym wspólnym domu potrafię zapytać: czy mogę otworzyć okno? Czy mogę przestawić fotel? Czy mogę to zjeść?

Jakby pan nie wierzył, że to jest pa-na miejsce?

– Być może nie jest, tak naprawdę? Myślę, że do tego jeszcze dojdziemy.

W każdym razie w punkcie wyjścia moje myślenie o domu jest naznaczone niepewnością, wyobcowaniem, a przede wszystkim – ambiwalencją.

Co ciekawe, kiedy oderwałem się od swojej osobistej historii i zacząłem myśleć o domu w porządku akademickim, który ma zakorzenienie w kulturze, tradycji, ideach, ze zdumieniem odnalazłem w nim bardzo podobne niespójności i ambiwalencje.

Inaczej o domu będą myśleć na przykład wędrujące plemiona w dżungli amazońskiej, Buszmeni w Afryce czy „Travellersi” w Wielkiej Brytanii, a inaczej polscy, hiszpańscy czy niemieccy chłopci. Dla nich dom będzie czymś stałym. Tym kawałkiem ziemi, który zamieszkują i uprawiają.

A dla nomadów?

– „Jestem u siebie” oznacza dla nich „jestem na prerii”, „w dżungli”, „na swojej pustyni”. To jest mój dom, a nie konkretna chata, mieszkanie czy budowla na palach.

Wydaje mi się jakoś niesamowite, że mogę pojechać do Jarosławia i spojrzeć na kamienicę, w której spędziłem ogromną część życia, ale wielu chłopaków, na przykład z amazońskich plemion, nie ma takiej możliwości. Na pewno świetnie się w tej dżungli orientują. Wiedzą, że w tym konkretnym miejscu spędzili jakiś czas, ale po latach ono zarasta, a materialne ślady ich bytności się zacierają. Mówiąc naszym językiem – podwórko ich dzieciństwa znika. Nie mogą przyjąć i spojrzeć na trzepak, na którym się wieszali, na boisko, na którym grali, bo ich już nie ma. Albo wyglądają zupełnie inaczej. Podobne doświadczenie mogą mieć zresztą mieszkańcy dużych, wiecznie przebudowujących się miast. Wyobrażam sobie, że człowiek, który wychował się w Szanghaju czy w Nowym Jorku, może wrócić po latach do swojej dzielnicy i jej nie poznać.

Czyli dom można postrzegać po pierwsze – jako pewne wspomnienie, wyobrażenie o miejscu, z którego wyszedłem i które mnie ukształtowało. Miejsce raczej w moim



Nie powiedziałbym
o ukochanej osobie,
że jest „moim domem”.
Nie chciałbym, żeby mój dom
miał swoją autonomię.
Odchodził i wracał, kiedy chce

MIKROKOSMOS Z MRÓWKAMI

umyśle niż fizyczne. A po drugie – jako „moje schronienie”. Przestrzeń namacalna i mentalną, którą sobie konstruuje tak, jak chce, w której się czuje bezpiecznie.

I jak się te dwie kategorie na siebie nałoży, to się okazuje, że pytanie o dom jest tak naprawdę pytaniem o tożsamość.

Pokaż mi swój dom, a powiem ci, kim jesteś.

– Kim jesteś, skąd przyszedłeś, ale też – jak widzisz i rozumiesz świat. Czy twój dom jest dla ciebie azylem, który cię chroni przed otaczającym cię „kosmosem”? Czymś, co stoi w opozycji do niego? Czy może jest raczej jego przedłużeniem, odzwierciedleniem, potwierdzeniem? Ten dylemat ludzie też rozstrzygają różnie.

Brzmi abstrakcyjnie.

– To teraz konkretnie. Jeśli ktoś wierzy, że „kosmosem” rządzi opatrność, Bóg, któ-

ry składa się z trzech osób, z których jedna z pewną kobietą z nomadycznego ludu spłodziła syna, to wieszta sobie w domu krzyż. Albo wizerunek Matki Boskiej. W dodatku jeśli ten ktoś jest Polakiem albo Polką i istotny jest dla niego aspekt narodowy, to nie będzie to Matka Boska z Gwadelupy, tylko raczej Częstochowska albo Ostrobramska. Z kolei jeśli ktoś uważa, że stary porządek jest nie do zniesienia i jedyne, co może uratować świat, to rewolucja, to może sobie w domu powiesić na przykład portret Stalina, tak jak zrobił to główny bohater filmu pt. „Taniec rzeczywistości” Alejandro Jodorowskiego.

Innymi słowy, można sobie stworzyć z domu portret aktualnej rzeczywistości albo rzeczywistości idealnej, upragnionej.

Z tego wynika, że jedni czują się tu jak u siebie i ich własny dom to potwierdza, a inni wręcz przeciwnie.

– Co nas prowadzi do bardzo mocnego i nieprzyjemnego pytania, czy też dylematu – czy my w ogóle jesteśmy w stanie się tu, na tej ziemi, zadomowić? Czy jest to raczej złudzenie? Takie pytanie stawiało wielu myślicieli, filozofów oraz przedstawicieli różnych systemów religijnych, w tym chyba najmocniej – Platon i gnostycy.

I jak na nie odpowiadali?

– „Nie jesteśmy stąd”. Za niewłaściwy postęp, drożną myśl (tu różne wariacje w zależności od systemu) zostaliśmy wyrzuceni ze stanu, który jest nam przyrodzony, i wrzuceni w aktualny stan, który nie jest nasz. A to oznacza, jak twierdził Platon, że nasza „dusza nigdy nie zazna tu spokoju”. Będzie prześladowana przez hałaśliwą masę materii, ziemi, wody, ognia, powietrza, dopóki nie wróci do siebie, czyli do swojego pierwszego, lepszego usposobienia. I ogromna część świata wierzy w to, że



FOT. SHUTTERSTOCK

jesteśmy tu tymczasowo. Tylko po to, by wypełnić pewne zadania wynikające z „upadku pierwszych ludzi”, „grzechu pierworodnego” czy tym podobnych.

Wszyscy jesteśmy uchodźcami tak naprawdę.

– Albo wszyscy jesteśmy bezdomni.

Przerażające.

– To tylko jedna z propozycji myślenia o domu.

Jednocześnie większość ludzi jednak dąży do stworzenia sobie tutaj schronienia. I w sensie fizycznym – dachu nad głową, i w sensie symbolicznym – miejsca, do którego się przynależy.

– Pyta mnie pani, czy jesteśmy w stanie zidentyfikować w człowieku jakieś miejsce, w którym jest zakorzeniona silna potrzeba domu. Amerykański profesor psychologii i psychoterapeuta, którego bardzo cenię – Joel Weinberger – powiedziałby, że tak! Ale nie wynika ona wcale z lęku przed bezdomnością czy z poczucia wyobcowania, tylko z terytorialności. Bo to jest jedna z naszych najbardziej ludzkich cech – twierdzi Weinberger. Jedno z den naszej nieświadomości, psychologicznych fundamentów, które uruchamiają się zarówno na poziomie fizycznym, społecznym, jak i symbolicznym.

Na przykład jak?

– Proszę zauważyć, że często ustawiamy się do tego, co nas otacza, następująco – czy ten ktoś mi zagraża, wejdzie na to, co moje, i mi to zabierze? Czy może ja mogę wejść na jego i jemu zabrać? I nie chodzi tylko o miej-

sce parkingowe, ale też o zasoby, sukcesy, korzyści, ludzi i tak dalej. Na podstawowym poziomie myślimy w kategoriach plemiennych. Politycy świetnie zdają sobie z tego sprawę i jak przedstawiają wrogie idee, to robią to zwykle w kategorii inwazji na „NASZ dom”. Mówią: „chcą zmienić NASZE obyczaje”, „odebrać NAM nasze dzieci”, „NASZE choinki i jaja malowane”. Wyczuwają, że człowiek najmocniej uruchamia się wtedy, kiedy – używając Nietzscheańskiej metafory – zaatakuje się jego korzenie. Te korzenie to bliscy ludzie, tradycja, historia, światopogląd. Jeśli ktoś jest przekonany, że generał Pułaski był prawdziwym „pater familie”, herosem, który rozstawia wrogów po kątach, a tu nagle się okazuje, że był kobietą czy też transmęczyzną, to wpadnie w przerażenie. Bo to zdemoluje jego porządek i jego „kosmos”. Jakby mu się ktoś włamał do domu.

To poziom symboliczny. Ale terytorialność widać chyba najlepiej na poziomie fizycznym. W naszym upodobaniu do groduenia osiedli, stawiania różnych murów.

– Weźmy choćby odwieczne „chłopskie waliki o miedzę”. Najlepiej to oddaje kultowy film „Sami swoi” z tym „podejdz no do płota!”. W ogóle nie należy tego wyśmiewać, bo to jeden z naszych najstarszych impulsów, który mówi: to jest MOJE! Choć nie wszędzie tak jest. Niektórzy antropolodzy twierdzą na przykład, że australijscy Aborygeni, zanim zostali skolonizowani, nie odróżniali siebie jako jednostki od reszty grupy. Dlatego powtarzam, że dom jest kwestią tożsamości, a tożsamość może być bardzo różna.

Inna jest w społeczeństwach kolektywnych, na przykład w Azji Południowo-Wschodniej, gdzie, mówiąc najbardziej ogólnie, zwraca się większą uwagę na to, żeby być pożytecznym dla innych, i gdzie to „ja” jest bardziej „my”. A inna jest w indywidualistycznych społeczeństwach Zachodu, gdzie ważniejsze jest myślenie o sobie i swoim.

Terytorialność kojarzy mi się z obsi-kiwaniem terenu przez psy. My też często chcemy swój teren zaznaczyć. Na przykład w pokoju hotelowym przestawiamy łóżko albo składamy koc tak „jak w domu”.

– Narzucamy własny porządek. Tak aby to terytorium stanowiło nasz „mikrokosmos”. Widziałem ostatnio kapitalny film o Majach, który dokładnie pokazuje działanie tego mechanizmu. Jednym z najważniejszych miejsc dla Majów było miasto Chichén Itzá na półwyspie Yucatan. Ale po tym, jak przybyli do niego Toltekowie i zaczęli się mieszać z lokalną ludnością, architektura Chichén Itzá zaczęła bardzo przypominać Tulę, najważniejsze miasto dla Tolteków. Dlaczego? Bo Toltekowie byli znacznie bardziej wojowniczy od Majów, szybko uzyskali wyróżnioną pozycję i na różne sposoby zaczęli oddziaływać na otoczenie, między innymi nadając miastu inny styl. Pałac Kultury i Nauki w Warszawie jest podobnym przykładem. W ten sposób Rosja narzuciła narodowi podległemu swój sposób rozumienia przestrzeni. Postawiła znak – „tu jest ruski mir!”.

Takie psy „tu siknąłem”.

– Dokładnie. Oczywiście my jesteśmy bardziej symboliczni od zwierząt, choć świat

■
Ludzie wymyślili różne więzienia: Panoptikon, Alcatraz, Kołymę czy zwykły „szlaban” na nastolatka, ale nie zdają sobie sprawy, że najdoskonalsze więzienie to ich własny umysł

symboli nie jest im obcy. Funkcjonujemy w porządku fizycznym, jednak naszym żywiołem wydają się znaczenie, sens, kultura. I dlatego zagospodarowujemy przestrzeń wokół siebie coraz bardziej symbolicznie.

Co pan ma na myśli?

– Dziś dla części ludzi podstawowym terytorium, w którym się poruszają, jest przestrzeń wirtualna. Tam też są ulice, świątynie religijne, świątynie sztuki, kina, biblioteki, banki, szkoły. Można tę przestrzeń zamieszkać, choć pojawia się jeden zasadniczy problem. W wirtualnej przestrzeni niemal bezwiednie można dokonać operacji, po której status człowieka zmieni się całkowicie. Parę dni temu czytałem o pewnym mężczyźnie, który tak uwierzył w kryptowaluty, że wydał na nie wszystkie oszczędności i w ciągu kilku minut stracił wszystko, nie wychodząc z domu. W głębi nadal jesteśmy społeczeństwem wiejskim. Niby wyewoluowaliśmy, jesteśmy „high-tech”, mieszkamy w wielkich miastach, ale na poziomie umysłu nie bardzo różnimy się od naszych przodków sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat. Nadal myślimy o rzeczywistości bardzo cieleśnie, nie dostrzegając, że operacje, których wymiar fizyczny jest ledwie dostrzegalny – tu sobie coś kliknę, tam sobie coś kliknę – mogą doprowadzić do tego, że zginiemy.

A jednak sam pan zauważył, że coraz więcej ludzi buduje sobie azyl właśnie w wirtualnej przestrzeni.

– I oni mogą powiedzieć: „tam dom mój, gdzie wi-fi moje”. Na marginesie, terytorialność też się tam pięknie uruchamia.

Nie zawsze jednak dom to przestrzeń, choćby wirtualna. Są tacy, którzy na pytanie „gdzie jest twój dom?” odpowiadają, że jest nim drugi człowiek albo ukochane zwierzę.

– Jest nawet to słynne powiedzenie „mój dom jest tam, gdzie serce moje”, ale ja bym chyba nigdy nie powiedział o ukochanej osobie, przyjaciółce, przyjacielu, żonie, krewnym, że są „moim domem”. Nie chciałbym, żeby mój dom miał swoją autonomię, żeby jego ściany się przesuwały, zmieniały. Odchodziły i wracały, kiedy chcą. I generowały niezależne ode mnie obrazy oraz sytuacje. To trochę tak, jakby ktoś wszedł pani do mieszkania, poprzestawiał w nim wszystkie przedmioty, a do szklanki, z której pani zwykle pije wodę, nalał sobie kakao. Dostałaby pani szału, bo naruszył pani „mikrokosmos”. Jakby panią dotknął we wrażliwe miejsce, bez pytania.

Dla mnie dom, jeszcze raz to podkreślę, jest jednak kwestią tożsamości, czyli czymś, co mnie kiedyś ukształtowało, domem mojej pamięci, w którym mogę się schronić, wspominając go. A także czymś, co sam kształtuję teraz dla siebie.

Domem mojej pamięci są Stuposiany i Wołosaty – potok, który wpada do Sanu. Kiedy miałem trzy, cztery lata, chodziłem nad tę wodę, zbierałem kamienie. Uwielbiałem ich zapach, spałem z nimi. Jak się wieczorem orientowałem, że nie mam żadnego, to wyciem dawałem rodzicom znać, że muszą mi przynieść „pakin kółko”, czyli okrągły kamień. I ojciec szedł na podwórze go szukać, bo wiedział, że bez niego nie zasną.

A co jest teraz?

– Moim domem? Bez kombinacji mógłbym powiedzieć, że to jest to mieszkanie, w którym teraz rozmawiamy. Gdzie jest tak, jak zawsze chciałem, żeby było, gdzie się czuję u siebie. Ale od razu coś w środku każe mi spytać: jesteś pewien? W pokoju żony już się nie poruszam z taką samą dezynwolturą jak po swoim. A może trafię na coś, czego się nie spodziewałem? „Uncanny”, jak powiedziałby Lynch, czyli niepokojącego, tajemniczego, obcego? W domu w ogóle nie wszystko jest znowu takie „udomowione”, jak się nam wydaje. Jestem przekonany, że Komancz czuł się pewniej w swoich tipi niż współczesny człowiek w apartamencie sterowanym przez komputer.

To tak zwany dom inteligentny.

– No i wyobraźmy sobie, że taki człowiek wraca któregoś dnia z pracy do tego „inteligentnego” domu, a tam padła sieć i nic nie działa. Nie ma światła, lodówka wyłączona. Albo odkrywa, że odkurzacz robot przesyła Amazonowi informacje o tym, jakie on nosi buty, żeby mu potem wyświetlało dopasowane do jego stylu reklamy. I dociera do niego, że we własnym domu jest permanentnie inwigilowany.

Jak nie pójdziemy w sentymentalizm, to się okaże, że w swoim domu też nie jesteśmy u siebie. Bo na przykład dom jest na kredyt, czyli tak naprawdę należy do banku. I jak polegnę, to mogą mi go odebrać. Albo pod klepkami podłogowymi trafię na różnych gości, na przykład stowarzyszenie siostr mrówek, których wcale do siebie nie zapraszałem itd. Jednym słowem, mój dom może być źródłem rozlicznych zaskoczeń i niepokojów.

Większość osób nie chce się niepokoić. Ani dzielić włosa na czworo.

– Rzecz w tym, że on już jest podzielony.

Mamy w sobie wiele różnych głosów, które na nas wpłynęły. Głosy naszych rodziców, rodzeństwa, dalszych krewnych, ale też nauczycielek, nauczycieli, polityków, polityczek, autorów i autorek, których książki czytaliśmy, muzyków, reżyserów. Często nie pamiętamy o źródle, wydaje nam się, że to nasz własny głos, tymczasem należy on do matki, ojca, a w moim przypadku może należeć jeszcze do Hermanna Hessego, Ernesto Sábato, Aldousa Huxleya, Claude’a Lévi-Straussa. Zmierzam do tego, że jak pani py-

ta: „czym jest dla ciebie dom?”, to uczciwa odpowiedź powinna brzmieć: „zależy, kogo pani pyta. Który z tych głosów?”.

Dam pani prosty przykład, przez analogię. Moje ulubione analogie zwykle wiążą się z erotyką albo z kulinariami.

To poproszę o taką kulinarną.

– Pytanie o gusta kulinarne jest moim zdaniem takim samym pytaniem jak pytanie o dom. Tu też chodzi o tożsamość, a z twierdzeniem „jesteś tym, co jesz” zgodzi się i lekarz zachodni, i dietetyk, buddysta, i hinduski asceta.

Po pierwsze, mój gust kulinarny przez całe życie ewoluował. Dalej – rzeczy, o których byłem przekonany, że stanowią fundament mojej tożsamości kulinarnej, w ogóle mi już nie smakują. Jeszcze pisząc habilitację, uważałem, że mózg potrzebuje dużo cukru, więc zjadałem się słodyczami. Nie wyobrażałem sobie, że pracując ciężko intelektualnie, mógłbym sobie odmówić eklera albo czekolady. Dzisiaj w ogóle nie jem słodyczy. Kiedy pierwszy raz spróbowałem kasy jaglanej, powiedziałam: „w życiu nie jadłem nic obrzydliwszego”. Kiedy po raz pierwszy skosztowałem tofu, dziwiłem się, jak to można włożyć do ust. Dziś uważam, że to jedno z lepszych rzeczy, jakie wymyśliła ludzkość. Podobnie jest z domem. Kiedy miałem 20-30 lat, wyobrażałem sobie, że mój dom będzie wyglądał jakoś. A jak przekroczyłem pięćdziesiątkę – że inaczej. Co więcej, z moją żoną całkowicie się różnimy, jeśli chodzi o gust, ale to ona zawsze była „wzornikiem” w naszym domu. Rozwiązania, które proponowała, na początku zawsze odrzucałem. Ale potem się okazywało, że jej pomysł był lepszy niż ten, który ja sobie wymyśliłem. Jednym słowem, chcę powiedzieć...

...że stale się zmieniamy.

– To po pierwsze. A po drugie, że nie mamy nad tymi zmianami kontroli, bo tak naprawdę nie wiemy, co jest dla nas dobre, co zresztą potwierdza wiele badań psychologicznych. Realizując nasze pragnienia i marzenia dokładnie tak, jak chcemy, częściej poniesiemy porażkę, niż odniesiemy zwycięstwo. I odwrotnie – sytuacje, które wydają nam się trudne, które z miejsca odrzucamy, nierzadko okazują się dla nas rozwojowe i popychają nas do przodu. Jesteśmy dla siebie samych bardzo tajemniczy.

Czyli prawdziwa odpowiedzieć na pytanie „gdzie jest twój dom?” brzmi: „jest ich wiele”. Albo: „dziś jest tu, a jutro – nie wiem”.

– Albo – do czego coraz bardziej się składam – mój dom to mój skomplikowany umysł. Bo tu się narodziłem. Tu się wychowałem. Tu wszystko się ze mną dzieje i tu się skończy, kiedy umrę. To jest jedyne miejsce, które zamieszkuję stale. I z którego w zasadzie nie jestem w stanie wyjść. A jeśli pociągnę to, co powiedziałem wcześniej, czyli że „ja” to tak naprawdę „my”, na które składa się wiele różnych głosów, to znaczy, że bytuję w czymś płynnym, zmiennym, w którym istotą są różne wewnętrzne napięcia oraz niepewność.

No, a skoro nie mogę z tego domu uciec, to znaczy...

– ...że w jakimś sensie mój dom jest więzieniem. Oczywiście, może mi być w nim dobrze, mogę być w nim nawet szczęśliwy, ale „Advocatus Diaboli” powie wtedy: „Tylko że to jest trochę tak, jakbyś był najedzonym lampartem w zoo. Masz pełen brzuch, dach nad głową, no ale spróbuj stąd wyjść!”. Proszę zauważyć, że z jakichś powodów ten wątek stanowi bardzo silny nurt w popkulturze, choćby w takich filmach jak „Westworld” czy „Matrix”. Niedawno oglądałem zresztą dokument, w którym uznana profesor neurologii mówiła, że ludzie wymyślili różnego rodzaju więzienia: Panoptikon, Alcatraz, Kołymę czy zwykły „szlaban” na nastolatka, ale nie zdają sobie sprawy, że najdoskonalsze więzienie to ich własny umysł.

Dla większości osób świadomość, że w głowie mają coś płynnego, co się stale zmienia, a w dodatku są tego czegoś więźniami, jest, myślę, nie do zniesienia.

– Rozumiem to. I szanuję. Potrzebowalibyśmy strasznie długiej analizy, jak doszło do tego, że zachodnia cywilizacja, zarówno przez swoje języki, religie, jak i doktryny kosmologiczno-ontologiczne, stworzyła system, w którym kładzie się nacisk na stabilność, niezmienność i trwale „ja”. Choć i w Europie żył człowiek, w dodatku w XVIII wieku, który mówił, że żadnego trwałego „ja” nie ma, że ego jest złudzeniem, a my cały czas się zmieniamy, i jako dzieci, i jako dorośli. Ten człowiek nazywał się David Hume. Wygląda natomiast, że taki sposób myślenia czyni ludzkie życie trudniejszym. I że większość ludzi, jak pani słusznie zauważyła, nie dałaby rady żyć ze świadomością: nie wiem, co będę myślał jutro, bo jutro będę kimś innym. Albo jak mówiła modelka i piosenkarka Nico, „to, co powiedziałam wczoraj, się nie liczy, bo to było wczoraj”.

Wydaje mi się, że im bardziej świat jawi się jako nieprzewidywalny, tym bardziej ludzie dążą do zbudowania jakiejś stabilności, choćby iluzorycznej. Im bardziej niepewnie, tym mocniej wybrzmiewają takie idee jak naród, ojczyzna, które też są przecież synonimem domu o stabilnych fundamentach.

– Tylko że jedno drugiego nie wyklucza. Wielopostaciowe „ja” czy ciągle zmieniające

łyby znacznie lepsze. Widać to chociażby na przykładzie Odry. To wędkarze, oddolnie, współpracując ze sobą, próbowali zaradzić katastrofie.

Podobnie było w przypadku zbiorowej pomocy Ukraińcom uciekającym przed wojną.

– Niestety wiele współczesnych rządów wyznaje wartości spencerowskie. I tak jak byśmy się pewnie oboje zgodzili, że to zrozumiałe i sensowne, że ludzie chcą stworzyć sobie jakąś przystań, mieć kotwicę, grunt, tak kiedy przeskoczmy z poziomu indywidualnego na poziom społeczny, to szybko się z tego wycofamy. Bo na tym poziomie dążenie do stabilizacji może brzmieć tak: „małżeństwo to związek wyłącznie męczyzny i kobiety”, „dzieci mają się rodzić tylko w małżeństwie”, „mężczyzna rządzi, kobieta jest mu podporządkowana”, „a dzieci w ogóle głosu nie mają”. „To jest stabilność!”. „Stabilnie jest tak, jak było zawsze, bo tak było najlepiej!”. Ja bym się z tym nie zgodził. Znacznie lepsza jest różnorodność. Każdy biolog to zresztą potwierdzi – bioróżnorodność daje większą szansę i na równowagę, i na przetrwanie.

Ktoś powie, że to jakieś hipisowskie brednie. Różnorodność, dążenie do współpracy. Sam pan przed chwilą mówił, że człowiek jest terytorialny, pilnuje swojego.

– Powiem więcej, to człowiek wprowadza w naturę destrukcję. Tworzymy wielkie dzieła kultury, architektury, sztuki. Stworzy-

Nowy serwis



żyć lepiej
psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej



się „ja” nie oznacza, że człowiek nie będzie podejmował różnych zabiegów, żeby to „ja” skrzystalizować. Uczynić siebie jakąś trwałszą tożsamością, przynajmniej na jakiś czas. W jednym ze swoich opowiadań Leonard Cohen przytacza mantrę, która jest w duchu iście buddyjska: jestem cały czas taki sam, cały czas się zmieniam, jestem cały czas taki sam, cały czas się zmieniam. Buddyzm mówi, że istnieje coś takiego jak fundamentalna tożsamość, czyli stałość, ale ona jest pusta. A to oznacza, że można w nią włożyć, cokolwiek się chce – nasze przyzwyczajenie, uwarunkowania, konstytucje, rodzinę, kraj, język. I to one powodują, że wydaje się nam, że nasze „ja” jest trwałe. Prawda jednak jest taka – zgodnie z tym myśleniem – że nie jest. W ogóle nie istnieje.

Natomiast jeśli chodzi o popularność różnych nacjonalizmów, populizmów czy też plemienności, to widzę to trochę inaczej. Owszem, one narastają wtedy, kiedy jest kryzys. Ale sam kryzys nie wystarczy.

A co jest jeszcze potrzebne?

– Ludzie, którzy będą ten kryzys pogłębiać zgodnie ze starożytną zasadą „dziel i rządź”, czyli polaryzować społeczeństwo. Tyle że w odniesieniu do kryzysu – jakiegokolwiek, czy to jest kryzys ekologiczny, gospodarczy, czy inny – polaryzacja nie jest optymalnym zachowaniem. Nastawianie ludzi przeciwko sobie za pomocą pojęć religijnych, narodowych, tożsamościowych tylko pogarsza sytuację. W odwiecznym konflikcie Spencer – Kropotkin, gdzie Spencer reprezentuje socjaldarwinizm, czyli walkę na kły i pazury, a Kropotkin – współpracę w przyrodzie, propozycje z ducha kropotkinowskiego by-

liśmy IX symfonię, „Romea i Julie”, „Upaniszady”, ale gdyby się uczciwie przypatrzeć, historia człowieka jest historią wojen i konfliktów. Jesteśmy niszczyicielami. Pytanie moje jest natomiast takie – czy to znaczy, że mamy się na to godzić? Czy programem dla ludzkości ma być „Mein Kampf”??!

No, nie.

– Ale wszystko wskazuje na to, że nie bardzo potrafimy zerwać z tym wzorcem. I wbrew temu, co lubimy deklarować, naszym przewodnikiem nie są wcale Biblia, „Dialogi” Platona czy kanon palijski, tylko „Moja walka” Adolfa Hitlera. Tam jest ucieleśnione to, czym jesteśmy. Wiara, że istotą świata jest wojna, a ci, którzy ją wygrają, czyli zwycięzcy, zasłużą na największy dom, który będzie się nazywać „Lebensraum”.

Nie przesadza pan?

– Patrząc na to, jak się ludzie zachowują, jak współżyją w ramach własnych społeczeństw, jak radzą sobie z różnymi wyzwaniami, nie mam za wiele nadziei. Wygląda na to, że zmierzamy ku samozagładzie.

Jednak są ludzie, którzy tę nadzieję wciąż mają. I walczą o lepszą przyszłość dla nas wszystkich, o nasz wspólny dom. Na przykład aktywiści ekologiczni, których działania wychodzą poza ludzką terytorialność, którzy myślą o przyrodzie jako całości. A nie że będą ratować rzekę, ale tylko do granicy z Niemcami.

– A zauważyła pani, że słowo „ekologia” pochodzi od greckiego słowa „oikos”, czyli dom? Cały czas jesteśmy w temacie, ani na

moment nie zboczyliśmy. To, o czym pani teraz mówi, nazywa się „ekologią głęboką”, która ma zresztą wiele wspólnego z myśleniem rdzennym, gdzie przyrodę, w największym uproszczeniu, postrzega się jako świętość. A mówiąc dzisiejszym językiem – jako coś, co przedstawia sobą wartość niezależną od naszej korzyści. W ekologii głębokiej człowiek nie stanowi centrum wszechświata, stanowi jego część na równi z innymi istotami i wszędzie czuje się jak w domu. Ale nie możemy zapomnieć o istnieniu tej innej tradycji, która mówi, że jesteśmy tu obcy i tymczasowo. Bo ona ma kolosalny wpływ na naszą kulturę. Ta tradycja mówi: twój dom jest gdzie indziej. Zastanawiała się pani, dlaczego dla człowieka religijnego ekologia może być czymś obojętnym? Bo on wierzy, że po pierwsze, niezależnie od tego, co robi, Bóg o wszystko zadba. A po drugie, że ten dom tutaj nie jest ostatecznym celem. Ludzie w laickich społecznościach Zachodu mogą na to powiedzieć – ale my tak nie myślimy! Tak? To dlaczego naturę traktujecie wyłącznie jako zasób? – można by spytać. Obojętne wam, co się stanie ze zwierzętami, z przyrodą, z waszymi dziećmi? Czym to się różni od światopoglądu monoteistycznego, który mówi, że świat doczesny nie ma żadnej wartości? Ale tu znów wracamy do tego, że we współczesnym zachodnim rozumowaniu nie myśli się o wspólnotcie, o świecie jako całości. Nadzędne jest indywidualne „ja”. MOJE potrzeby, MOJE prawo do szczęścia, MÓJ komfort. Jak chcę wydobywać gaz łupkowy i mieć z tego dużo kasy, to nie będę się przecież zajmował jakąś przyrodą czy przyszłymi pokoleniami, nie? Mamy niesłychane możliwości intelektualne, technologiczne, ale one nie są wsparte, nie wiem, jak to nazwać... Odpowiednim zabezpieczeniem etycznym? Dalekowzrocznością? Człowiek to nie jest piękne zwierzę, mówiąc Barbarą Skargą.

Jest pan pesymistą.

– Jestem. W głębi czuję, że w człowieku jest jakiś gen zniszczenia. Wojny ludzkie są inne niż wojny zwierzęce. Sympansy się wzajemnie atakują, zabijają inne stworzenia, wilki się gryzą między sobą, ale my się wyniszczamy w sposób straszliwy. A w dodatku rozkoszujemy się przemocą.

Miałem przez moment taką myśl, a raczej nadzieję, i dlatego między innymi rozmawiamy, że gdyby ludziom udało się przeznaczyć własną naturę, gdyby chcieli naprawdę zrozumieć, co nam zagraża, to byłaby dla nas szansa... Ale teraz sobie myślę: ty głupku! Przecież to nikogo nie obchodzi! Większość ludzi chce mieć swoje terytorium. I je powiększać.

A pan by wołał, żeby jak było?

– Żeby zamiast „swoje”, było „nasze”, a zamiast „terytorium” – „dobro wspólne”. Wiele osób wydaje się nie rozumieć, jak bardzo jesteśmy od siebie zależni i ze sobą powiązani. Ktoś mówi: to MÓJ ogródek. MOJE drzewa, więc mam prawo je wyciąć, jak mi się podoba. Jakbym był sąsiadem takiej osoby, tobym powiedział: to niech mi pan teraz zapłaci za tlen, który produkują MOJE drzewa również dla pana. ●



FOT. MICHAŁ ŁEPECKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

*Bartłomiej Dobroczyński

• ur. 1958 r., psycholog, dr hab., profesor nadzwyczajny w Instytucie Psychologii UJ. Członek zespołu miesięcznika „Znak”. Zajmuje się historią psychologii, psychopatologii i psychoanalizy, irracjonalizmem, a także sztuką i alternatywnymi ruchami kulturowymi



Autorem wielu haseł jest **Marcin Wesolek**

Weekendówka

34

WEEKENDÓWKA WYCHODZI Z PROGU

S koki narciarskie jakoś od zawsze kojarzyły mi się z Turniejem Czterech Skoczni. Nie mistrzostwami świata, nie igrzyskami olimpijskimi, ale właśnie z tymi niemiecko-austriackimi zawodami.

Nie to, żebym był jakimś zapalonym fanem, ale nazwy Garmisch-Partenkirchen i Bischofshofen miały moc, więc tak gdzieś połowa lat 80., zima, to zawsze był TCS. Pamiętam, jak urządziłem z poduszki skocznię i toczyłem pojedynki ludzikami LEGO wyposażonym w dwie narty – na szczęście obowiązywał wtedy styl klasyczny, więc ludzik mógł skakać zgodnie z panującymi wówczas zasadami. Były też obowiązkowo maszty z flagami – na pewno była polska, austriacka i włoska.

To nie były za to czasy prosperity polskich skoków, daleko było do rodzinnego gromadzenia się rodaków przy niedzielnym rosale, może dlatego w głowie z tamtych czasów mam oczywiście nazwiska Fina Mattiego Nykänena i Niemca Jensa Weissfloga, ale o dziwo chyba najbardziej pamiętam Czecha Pavla Ploca. Pojęcia nie mam dlaczego, bo on wszak, jak sprawdziłem, sukcesów akurat w TCS nie odnosił.

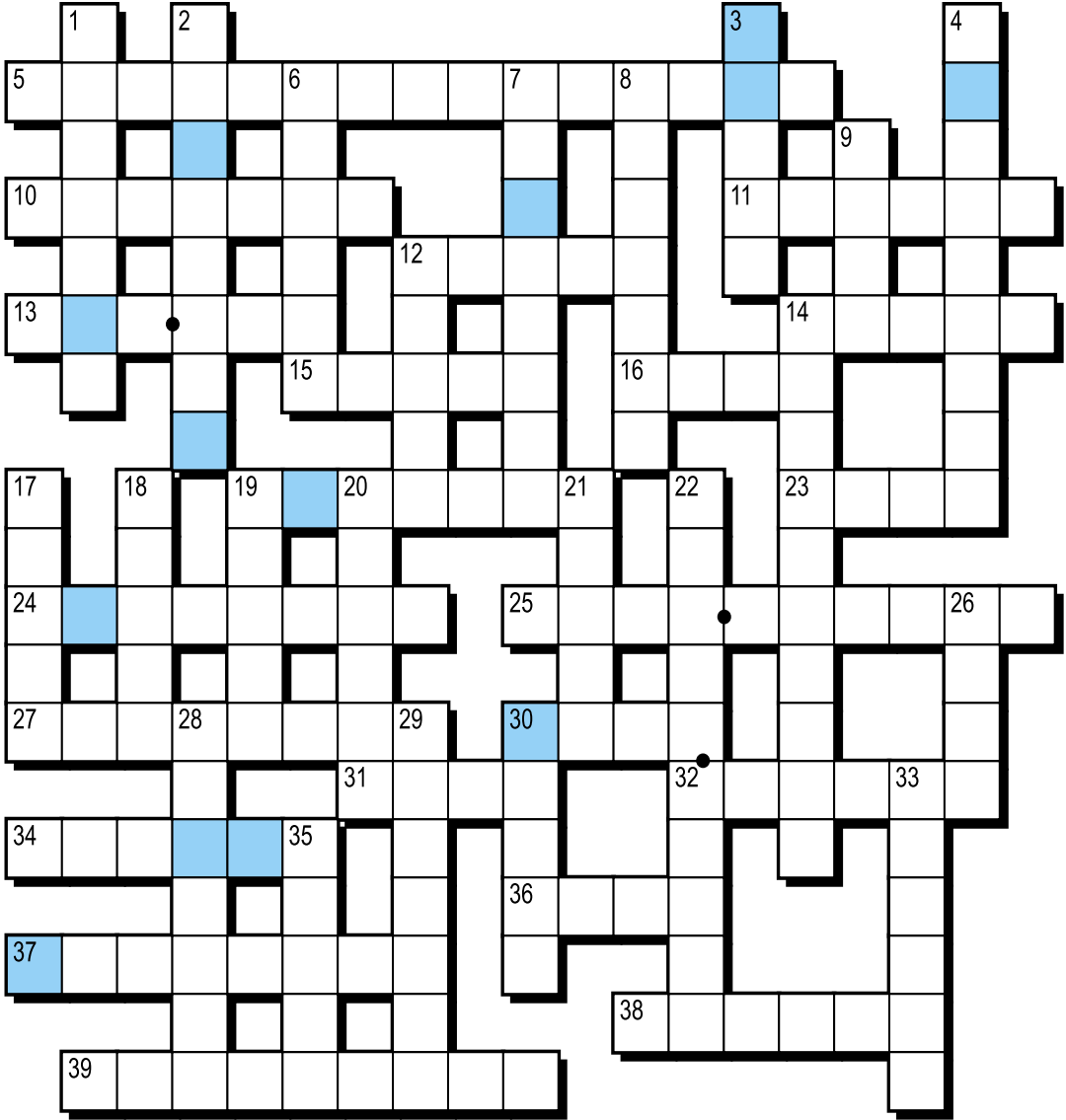
Długo, długo potem, w 2001 roku, Adam Małysz znokautował rywala i już wtedy wjechał ten rosół, choć ja z tego, co pamiętam, ten wspinały triumf śledziłem jednak poza domem, i zdecydowanie bez obiadowego anturażu.

W każdym razie „Weekendówka” wraca w Nowym Roku, i to od razu mocnym wyjściem z progu i lądowaniem z obowiązkowym telemarkiem. Na 6 stycznia bowiem tradycyjnie przypada finał Turnieju Czterech Skoczni, to mityczne Bischofshofen, gdzie wygrywali i Małysz, i Dawid Kubacki, i trzykrotnie Kamil Stoch. Za każdym razem pięcętowali tym samym triumf w klasyfikacji końcowej turnieju. Zresztą Kubacki jest także rekordzistą obiektu im. Paula Ausserleitnera, bo w 2019 roku wylądował tu na 145. metrze.

Wskakujemy zatem w 2023 r. w najlepszy możliwy sposób, a o pomoc w ułożeniu pytań do naszej skocznej krzyżówki poprosiliśmy Marcina Wesółka, szefa działu sportowego „Gazety Wyborczej”, i – co również warto podkreślić – założyciela kultowego w wielu kręgach B-klasowego Odlewu Poznań, z piłkarzami którego niżej podpisany miał zaszczyt i przyjemność zagrać na boisku, oraz pierwszego prezesa tegoż klubu.

No to hop! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 33 z 31.12:

Poziomo:
6) Sami swoi 7) domówka 8) Latkowski
10) Berry 12) kino akcji 13) zakaz
14) Stallone 17) Hobbit 18) rok 20) taryfa
22) Oscar 23) Nowy Jork 25) Jones
26) zegar 28) Bonnard 29) ikona
30) bóstwo 31) Gerbert 34) Bale
35) napastnik 36) impreza

Pionowo:
1) kanarek 2) piłkarz 3) toasty 4) Pawlak
5) Francja 9) Kozera 10) balowanie
11) Rambo 12) kolarz 14) strój 15) aktor
16) szampan 19) komedia 21) fajerwerki
24) koncerty 26) zabawa 27) rewia
32) race 33) feta

HASŁO: **ODLICZANIE**

SKOKI NARCIARSKIE

Hasła Marcina Wesółka oznaczono inicjałami (M.W.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) skaczą, by przetrzeć zasypane śniegiem tory (M.W.)
10) ostatnie czeskie miasto, w którym odbyły się MŚ w narciarstwie klasycznym (M.W.)
11) imię Morgensterna, trzykrotnego mistrza olimpijskiego
12) Fijas lub Żyta

13) cykl zawodów rozgrywanych na skoczniach w Norwegii
14) odgrywane podczas ceremonii medalowych
15) od jurora dla skoczka
16) miasto, w którym oddano najdłuższy ustany skok w historii (M.W.)
19) niedawny polski trener włoskich skoczków (M.W.)
23) przyznawana za styl
24) Tajner, ale nie były prezes Polskiego Związku Narciarskiego (M.W.)
25) Orzeł z Wisły
27) skocznia narciarska w Innsbrucku
30) imię Geigera, niemieckiego skoczka
31) Kryształowa ..., narciarskie trofeum

32) Hula lub Kraft
34) imię skaczącego Kota
36) samochód (M.W.)
37) uchwyty do przymocowywania nart do butów
38) ostatni fiński zwycięzca Turnieju Czterech Skoczni (M.W.)
39) miasto we Włoszech, z kompleksem skoczni Stadio del Trampolino

Pionowo:
1) Richard, skakał w reprezentacji Niemiec
2) jedna stopa z przodu, druga nieco z tyłu, czyli... (M.W.)
3) bywa, że rozdaje karty podczas konkursu skoków
4) mamucia skocznia narciarska w Planicy (Słowenia)

6) dwukrotnie zdobyte przez Małysza na olimpiadzie w Vancouver (2010 r.)
7) miasto ze skocznia narciarską im. Stanisława Marusarza
8) ośrodek sportów zimowych w Turyngii (Niemcy)
9) rozgrywane m.in. na skoczni w czeskim Harrachovie
12) nazwisko skaczących braci ze Słowenii: Petera, Domena i Cene
14) Stefan, austriacki trener reprezentacji Niemiec
17) ... szkoleniowy
18) na plastronie na kombiniezonie
19) chronią głowy skoczków (M.W.)
20) niezbyt udane zakończenie skoku

21) reprezentacja kraju
22) najbardziej utytułowany polski skoczek narciarski (M.W.)
26) ... Hannawald, trzykrotny medalista olimpijski
28) ... skoków narciarskich, czyli mistrz nad mistrze
29) stolica Słowenii, z klubem sportowym Dolomiti (a w nim sekcja skoków narciarskich)
30) Noriaki, uczestniczył w ośmiu igrzyskach olimpijskich
33) Simon, utytułowany skoczek ze Szwajcarii
35) imię sportowca z określenia 38 poziomo

Leszek Rydz

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!





KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pragniemy poinformować, że
INAUGURACJA ROKU JERZEGO NOWOSIELSKIEGO
odbędzie się w Galerii Starmach w Krakowie.

Zapraszamy na otwarcie wystawy

PRACOWNIA

17 stycznia 2023 r. o godz. 18:00.

Wystawa potrwa do 11 maja 2023 r.

kurator: Andrzej Szczepaniak



GALLERY
starmach

ul. Węgierska 5, Kraków
starmach.eu